

L.J. Smith

Wizje w mroku

1. Tajemnicza moc.

*Przekład:
A. Jagodzińska
A. Błasiak*

Wydawnictwo Amber 2010

BY HAZAJA

Rozdział 1

Czarownicy nie zaprasza się na imprezy. Nawet jeśli jest piękna. Na tym właśnie polegał problem.

Mam to gdzieś, pomyślała Kaitlyn. Nikogo nie potrzebuję.

Siedziała właśnie na historii i słuchała, jak Marcy Huang i Pam Sasseen planują imprezę. Trudno było ich nie słyszeć: cichy, przepraszający głos pana Flynnna nie mógł konkurować z podekscytowanymi szeptami. Kait udawała, że nic nie słyszy, i marzyła tylko o tym, by uciec. Nie mogła, zaczęła więc bazgrać w zeszytach do historii.

Miotają nią sprzeczne uczucia. Nienawidziła Pam i Marcy i życzyła im śmierci albo przynajmniej jakiegoś okropnego wypadku, z którego wyszłyby pokiereszowane, pokonane i nieszczęśliwe. A jednocześnie czuła ogromną tęsknotę. Gdyby tylko dały jej szansę i pozwoliły wejść do swojego kręgu. W końcu nie należała, by być najpopularniejszą i najbardziej podziwianą dziewczyną w szkole. Zadowoliliby się własnym miejscem w grupie. A one kręciły głowami i mówiły: „Och, ta Kaitlyn, jest taka dziwna, ale co byśmy bez niej zrobiły?” To by jej zupełnie wystarczyło, żeby tylko mogła gdzieś należeć.

Ale nigdy tak nie będzie. Marcy nigdy nie zaprosi jej na imprezę, nigdy nie przyjdzie jej to nawet do głowy. Czarownicy się nie dostrzegają: nikt się nawet nie domyślał, że Kaitlyn, piękna, tajemnicza dziewczyna o dziwnych oczach, miałaby ochotę gdziekolwiek pójść.

Mam to gdzieś, pomyślała Kaitlyn, wracając do punktu wyjścia. To mój ostatni rok. Jeszcze tylko jeden semestr. Potem kończę liceum i mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie spotkam tych ludzi.

Ale to był kolejny problem. W tak małym miasteczku jak Thoroughfare będzie widywać zarówno kolegów, jak i ich rodziców każdego dnia przez najbliższy rok. A potem następny i następny...

Nie było ucieczki. Gdyby mogła wyjechać na studia, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej. Ale straciła szansę na stypendium artystyczne... Poza tym był jeszcze ojciec. Potrzebował jej i nie mieli pieniędzy. Albo szkoła policealna, albo nic.

Wyobraziła sobie najbliższe lata *spędzone w zimnych* szkolnych salach, które wydawały jej się tak ponure niczym widoczny za oknem zimowy krajobraz Ohio. Już zawsze będzie tak siedzieć i słuchać, jak dziewczyny planują kolejne imprezy, na które nigdy nie zostanie zaproszona. Wiecznie wykluczona. I już zawsze będzie cierpieć, żałując, że nie jest prawdziwą czarownicą, wtedy mogłaby rzucić na nie jakiś okropny, bolesny i ogłupiający czar.

Gdy tak rozmyślała, cały czas rysowała. A raczej poruszała się jej ręka, umysł chyba nie brał w tym udziału. Spojrzała na kartkę i po raz *pierwszy zobaczyła swój rysunek*. Pajęczyna.

Ale najdziwniejsze było to, co było pod spodem, bardzo blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Oczy.

Szeroko otwarte, okrągłe oczy, ukryte za długimi rzęsami. Jak u sarenki Bambi. To były oczy dziecka.

Spojrzała na rysunek i poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie, jakby spadała w dół, a rysunek wciągał ją do środka. Uczucie było okropne, ale znajome. Czuła to samo za każdym razem, gdy narysowała któryś z tych rysunków. To przez nie zyskała przydomek czarownicy.

A do tego się spełniały.

Gwałtownie odsunęła się do tyłu, czując, że robi jej się niedobrze.

Błagam, nie, pomyślała. Nie dzisiaj i nie tutaj, nie w szkole. *To tylko nic nieznaczące* bazgroły.

Błagam, niech to będą tylko bazgroły.

Ogarnął ją lodowaty chłód, jakby jej ciało, zupełnie ignorując umysł, szykowało się na to, co miało nadejść.

Dziecko. Narysowała oczy dziecka, więc jakieś dziecko było w niebezpieczeństwie.

Ale jakie dziecko? Spoglądając na kartkę, Kait poczuła w dłoni nagły skurcz. Palce podpowiadały jej, co powinna narysować. Niewielkie półkole z boku. Zadarty nosek. Potem duże, wypełnione koło. Buzia, otwarta ze strachu, z bólu lub zaskoczenia. Duży łuk w miejscu brody.

Kilka kresek przedstawiających włosy, a potem to nagłe swędzenie zniknęło.

Wpuściła powietrze.

To wszystko. Dziecko na rysunku musiało być dziewczynką z burzą włosów. Kręconych włosów. Ładną dziewczynką z pajęczyną na twarzy.

Coś się miało wydarzyć i chodziło o tę małą i pająka. Ale gdzie i komu? Kiedy?

Dzisiaj? Za tydzień? W przyszłym roku?

To nie wystarczy.

Nigdy nie wystarczyło. To było właśnie najgorsze w tym jej okropnym darze. Rysunki były bardzo dokładne i zawsze, ale to zawsze, się sprawdzały. Wkrótce wydarzy się coś, co narysowała na papierze.

Ale nie wiedziała kiedy.

Co miała teraz zrobić? Biegać po mieście z megafonem, ostrzegając małe dziewczynki przed pająkami? Zejść na dół do podstawówki i szukać małej o kręconych włosach?

Nawet gdyby spróbowała to zrobić i tak wszyscy by od niej uciekli. Jakby to ona powodowała wydarzenia, które pojawiały się na rysunkach. Jakby to była jej wina, a ona je przecież tylko przepowiadała.

Kontury obrazu *zaczęły się rozmywać*. Kaitlyn zamrugnęła. Na pewno nie będzie płakać. Nigdy nie płakała.

Nigdy. Ani razu, przynajmniej od chwili, gdy miała osiem lat i umarła jej matka. Od tamtej pory umiała powstrzymać łzy.

Nagle w klasie zrobiło się zamieszanie. Głos pana Flynna, zazwyczaj tak cichy i melodyjny, że uczniowie mogli spokojnie uciąć sobie drzemkę, nagle zamilkł.

Chris Barnabie, chłopak który był dzisiaj dyżurnym, przyniósł do sali różową karteczkę.

Wezwanie.

Kaitlyn patrzyła, jak nauczyciel bierze świstek do ręki, czyta go i łagodnym wzrokiem wodzi po klasie, marszcząc przy tym nos, by poprawić okulary.

- Kaitlyn, pani dyrektor cię prosi.

Kaitlyn sięgnęła po książki. Szła między ławkami, wyprostowana z wysoko uniesioną głową. Przeczytała kartkę: „Kaitlyn Fairchild pilnie wzywana do gabinetu pani dyrektor!” Słowo „pilnie” nadawało kartce nieco złowieszczy charakter.

- Co, znowu wpakowałaś się w kłopoty? - zapytał jakiś drwiący głos z pierwszego rzędu.

Kaitlyn nie miała pojęcia, kto to powiedział, ale nie zamierzała się odwracać. Wyszła z Chrisem na zewnątrz.

lak, znowu kłopoty, pomyślała, kierując się w stronę gabinetu. O co tym razem chodziło? Te usprawiedliwienia, które ojciec „podpisał” zeszłej jesieni?

Kaitlyn sporo opuszczała, bo czasami miała wszystkiego serdecznie dość. Gdy robiło się naprawdę źle, szła ulicą Piąką w kierunku wiejskich gospodarstw i zaczynała rysować, lam jej nikt nie przeszkadzał.

- Przykro mi, że masz kłopoty - rzucił Chris Barnabie, gdy dotarli do gabinetu. - To znaczy... jeżeli masz kłopoty.

Kaitlyn zmroziła go wzrokiem. Wydawał się w porządku: lśniące włosy, łagodne oczy, trochę jak Hello Sailor, cocker spaniel, którego miała przed laty. Ale ani na chwilę nie dała się nabrać.

Chłopcy byli do niczego. Kait doskonale wiedziała, dlaczego byli dla niej tacy mili. Po matce odziedziczyła kremową irlandzką cerę i płomienne włosy, a także gibką i smukłą figurę. Ale przynajmniej jej oczy były własne, i w tym momencie postanowiła je bezlitośnie wykorzystać. Spojrzała Chrisowi prosto w twarz.

Chłopak zrobił się blady.

Typowa reakcja ludzi, którzy spojrzeli jej w oczy. Były ciemnoniebieskie z ciemnymi plamkami na środku i czarnymi obwódkami wokół tęczówek.

Ojciec mówił, że były piękne i została naznaczona przez wróżki. Ale ludzie wiedzieli swoje. Odkąd sięgała pamięcią, wszyscy wokół szeptali, że jej oczy są dziwne i złe. Widziały to, czego nie powinny widzieć.

Czasami, jak w tej chwili, Kaitlyn używała ich jak broni. Tak długo wpatrywała się w Chrisa, aż w końcu biedak się cofnął. Potem spuściła skromnie rzęsy i weszła do gabinetu.

Poczuła chorą satysfakcję, ale tylko przez chwilę. W końcu to żaden wyczyn wystraszyć cocker spaniela. Sama była zbyt przestraszona i nieszczęśliwa, by się tym przejmować. Sekretarka wskazała jej ręką drzwi do gabinetu. Kaitlyn przygotowała się na najgorsze.

Dyrektor McCasslan nie była sama. Obok niej siedziała opalona młoda kobieta o krótkich jasnych włosach.

- Gratuluję - odezwała się jasnowłosa kobieta. Szybkim i wdzięcznym ruchem podniosła się z krzesła.

Kaitlyn stała w miejscu z wysoko uniesioną głową. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Ale w następnej chwili ogarnęło ją dziwne przecucie.

To jest to. Na to właśnie czekałaś.

Nie wiedziała tylko, że na coś czekała.

Oczywiście, że tak. I to jest właśnie ten moment.

Następne minuty odmienia twoje życie.

- Nazywam się Joyce - przedstawiła się blondynka. - Joyce Piper. Nie pamiętasz mnie?

Rozdział 2

Kobieta wydawała się znajoma. Lśniące jasne włosy przylegały do jej głowy jak wilgotne futro foki, a jej oczy miały niezwykle akwamarynowy odcień. Miała na sobie elegancki różowy kostium, ale poruszała się z wdziękiem instruktorki fitness.

Nagle Kaitlyn coś sobie przypomniała.

- Badanie wzroku! Joyce pokiwała głową.

- Dokładnie! - odparła z ożywieniem. - Co z tego pamiętasz?

Kaitlyn ze zdumieniem spojrzała na panią McCasslan. Dyrektorka, niska, pulchna, ale bardzo ładna kobieta, położyła ręce na biurku. Wyglądała spokojnie, ale oczy jej lśniły.

W porządku, więc nie jestem w tarapatkach, pomyślała Kait. Ale o co tu chodzi? Stała na środku pokoju z niepewnym wyrazem twarzy.

- Nie bój się, Kaitlyn - powiedziała pani McCasslan. Pomachała w powietrzu drobną dłonią z dużą liczbą pierścionków. - Usiądź.

Kait usiadła. -

- Nie gryzę - dodała Joyce. Sama też usiadła, ani przez chwilę nie spuszczając z Kait wzroku.

- No, to co zapamiętałaś?

- To było zwykłe badanie, jak u optyka - odezwała się powoli Kaitlyn. - Myślałam, że chodzi o jakiś nowy program.

Wszyscy testowali swoje nowe programy właśnie tutaj. Najwyraźniej Ohio było na tyle reprezentatywnym stanem, że jego mieszkańcy stanowili idealne króliki doświadczalne.

Joyce lekko się uśmiechnęła.

- Bo to był nowy program. Ale tak naprawdę nie chodziło nam o badanie wzroku. Pamiętasz ten test, w którym miałaś spisać litery, które widziałaś?

- Eee... tak. - Trudno jej było cokolwiek sobie przypomnieć, bo wszystko, co się wtedy wydarzyło, spowiła mgła. To było zeszłej jesieni, gdzieś na początku października, pomyślała Kait. Joyce przyszła do auli i rozmawiała z jej klasą. To pamięta. Prosiła ich o współpracę, a potem pokazała im kilka „ćwiczeń relaksacyjnych”, po których Kaitlyn poczuła się rozluźniona. - Dała nam pani ołówki i kartki papieru - zawahała się Kait. - A potem na ekranie pojawiły się litery, które robiły się coraz mniejsze. Ledwo mogłam pisać - dodała. - Byłam cała odrętwiała.

- To tylko hipnoza, żebyście pozbyli się zahamowań - wyjaśniła Joyce, nachylając się do przodu. - Co dalej?

- Pisałam kolejne litery.

- To prawda - zgodziła się Joyce. Na jej opalonej twarzy pojawił się uśmiech. - Nie da się tego ukryć.

- Więc mam dobry wzrok? - zapytała po chwili Kait.

- Tego nie wiem. - Joyce wyprostowała się, a uśmiech nie schodził jej z twarzy. - Chcesz wiedzieć, jak to naprawdę wyglądało, Kaitlyn? Pokazywaliśmy wam coraz mniejsze litery, aż w końcu wcale ich nie było.

- Niebyło?

- Nie na ostatnich dwudziestu slajdach. Były tam tylko bezkształtne kropki i nawet gdybyś miała sokoli wzrok, i tak nic byś nie widziała.

Kaitlyn poczuła na plecach chłodny dreszcz.

- Ale ja widziałam litery - nalegała.

- Wiem. Ale nie oczami.

W pokoju zapanowała kompletna cisza. Kaitlyn czuła, że serce wali jej jak oszalałe.

- W pokoju obok ktoś był - wyjaśniła Joyce. - Student, o doskonałej koncentracji, i to on przyglądał się tablicom z literami. Dlatego je widziałaś, Kait. Jego oczami. Czekalaś na kolejne litery, więc miałaś otwarty umysł i zobaczyłaś to, co on.

- Ale to nie działa w ten sposób - powiedziała cicho Kaitlyn. Tylko nie to... Tylko nie kolejny przeklęty dar.

- Właśnie, że tak. To jest to samo - odparła Joyce. - To się nazywa zdalne postrzeganie. Świadomość czegoś, co wykracza poza nasze zwyczajne *zmysły*. *Twoje* rysunki to też przykład pozazmysłowe go postrzegania zdarzeń, czasami takich, które się jeszcze nie wydarzyły.

- Skąd pani wie o moich rysunkach? - Kait poczuła silny przyływ emocji, który natychmiast postawił ją na nogi. To niesprawiedliwe: jakaś obca osoba przychodzi i bawi się z nią w kotka i myszkę, testuje, oszukuje, a w dodatku mówi

o jej prywatnych rysunkach. To były bardzo osobiste rysunki

1 nawet ludzie w Thoroughfare mieli na tyle przyzwoitości, by o nich nie wspominać.

- Powiem ci, co wiem - kontynuowała Joyce. Mówiła cichym, rytmicznym głosem, intensywnie wpatrując się w Kaitlyn. - Wiem, że po raz pierwszy odkryłaś swój dar, gdy miałaś dziewięć lat. W twojej okolicy zaginał wtedy mały chłopiec...

- Danny Lindenmayer - wtrąciła szybko dyrektorka.

- Danny Lindenmayer - powtórzyła Joyce, nie spuszczać oczu z Kait. - Policja pukała od drzwi do drzwi, szukali go. Kiedy twój ojciec z nimi rozmawiał, ty akurat rysowałaś. Słyszałaś, co mówili o zaginionym chłopcu. A kiedy skończyłaś, zobaczyłaś rysunek, którego nie mogłaś zrozumieć. Narysowałaś drzewa, most... i coś kwadratowego.

Kaitlyn z rezygnacją pokiwała głową. Wspomnienie nie dawało jej spokoju i czuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Przypomniała sobie swój pierwszy rysunek, taki mroczny i dziwny. Poczowała wtedy strach... Wiedziała, że jej palce narysowały coś bardzo złego, ale nie wiedziała dlaczego.

- A następnego dnia w telewizji zobaczyłaś miejsce, w którym znaleziono ciało chłopca - powiedziała Joyce. - Pod mostem, w pobliżu drzew... w skrzyni.

- W czymś kwadratowym - dodała Kaitlyn.

- To idealnie pasowało do twojego rysunku, chociaż nie miałaś pojęcia o tym miejscu. Most oddalony był o jakieś czterdzieści pięć kilometrów i znajdował się w miasteczku, w którym nigdy nie byłaś. Kiedy ojciec zobaczył wiadomości, od razu rozpoznał twój rysunek i był bardzo podekscytowany. Zaczął go pokazywać i opowiadać całą historię. Ale ludzie nie zareagowali zbyt dobrze. Już i tak uważali, że jesteś dziwna z powodu twoich oczu. Ale to było coś zupełnie innego. I wcale im się nie spodobało. A kiedy wszystko zaczęło się powtarzać, a twoje rysunki okazały się prorocze, ludzie się przestraszyli.

- I teraz Kaitlyn ma pewne trudności w kontaktach z innymi ludźmi - wtrąciła delikatnie dyrektorka. - Z natury jest buntowniczką, a do tego szybko się denerwuje. Zrobiła się też drażliwa i chłodna. To pewnie samoobrona. - Dyrektorka pokręciła głową.

Kaitlyn popatrzyła na nią z gniewem, ale jej spojrzenie nie miało w sobie mocy. Spokojny, miły głos Joyce całkowicie ją rozbroił. Znowu usiadła.

- Więc teraz wszystko już pani o mnie wie - odezwała się do Joyce. - Mam problem w kontaktach z ludźmi, więc...

- Nie masz żadnego problemu - przerwała jej Joyce. Wydawała się wstrząśnięta. Pochyliła się i dodała: - Masz ogromny dar. Nie rozumiesz tego, Kaitlyn? Nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś niezwykła i cudowna?

Z tego co Kaitlyn wiedziała, niezwykła wcale nie znaczyło cudowna.

- Na całym świecie jest zaledwie garstka osób, które potrafią robić to co ty - stwierdziła Joyce. - W całych Stanach znaleźliśmy zaledwie pięcioro.

- Pięcioro?

- Piątkę uczniów z ostatniej klasy szkoły średniej. Pięcioro dzieciaków. Oczywiście każdy z was ma inny talent, nie potraficie robić tego samego. Ale to jest właśnie wspaniałe. Tego właśnie szukaliśmy. Będziemy mogli wykonać serię eksperymentów.

- Chcecie na mnie eksperymentować? - Kaitlyn spojrzała na dyrektorkę.

- Zagalopowałam się. Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię. Przyjechałam z San Carlos w Kalifornii...

To przynajmniej wyjaśniało opaleniznę.

- ...i pracuję w Instytucie Zetesa. To bardzo małe laboratorium, nie takie jak w SRI* czy na Uniwersytecie Duke'a. Powstało w zeszłym roku ze stypendium naukowego Fundacji Zetesa. Pan Zetes jest... Och, co mogę o nim powiedzieć? To niesamowity człowiek. Jest prezesem dużej korporacji w Dolinie Krzemowej. Ale tak naprawdę jego największą pasją są zjawiska nadprzyrodzone. Badania parapsychologiczne.

Joyce przerwała, odgarniając z czoła lśniące jasne kosmyki. Kaitlyn chciała powiedzieć jej coś naprawdę ważnego.

- Wyłożył fundusze na specjalny, bardzo skomplikowany projekt. To on wpadł na pomysł, żeby w całym kraju zorganizować badania w szkołach i poszukać uczniów o nadprzyrodzonych zdolnościach. I znaleźć piątkę czy *szóstkę* tych najlepszych, którzy stanowią prawdziwą śmietankę, i sprowadzić ich do Kalifornii na roczne badania.

- Roczne?

- To jest właśnie najpiękniejsze, nie rozumiesz? Zamiast kilku sporadycznych testów, moglibyśmy was badać codziennie, o regularnych porach. Moglibyśmy zmieniać wasze umiejętności za pomocą biorytmów, diety... - Joyce nagle urwała. Uważnie przyglądała się Kait i chwyciła ją za rękę. - Kaitlyn, opuść swoje mury i posłuchaj mnie przez chwilę. Możesz to zrobić?

Kait czuła, jak jej ręce zaczynają drżeć w chłodnym uścisku jasnowłosej kobiety. Głośno przełknęła ślinę, nie mogąc oderwać wzroku od jej akwamarynowych oczu.

- Kaitlyn, nie przyjechałam tu, by cię skrzywdzić. Bardzo cię podziwiam. Jesteś obdarzona cudownym darem. Chcę go zbadać. Całe życie przygotowywałam się do takich badań. Skończyłam Uniwersytet Duke'a, wiesz, tam gdzie Rhine przeprowadzał swoje telepatyczne eksperymenty. Zrobiłam dyplom z parapsychologii, pracowałam w Laboratorium Dream w Maimonides, w Fundacji Mind Science w San Antonio i w laboratorium zajmującym się badaniem zjawisk paranormalnych w Princeton. Przez cały czas marzyłam o takim obiekcie jak ty. Razem możemy udowodnić, że to, co robisz, jest prawdziwe. Znajdziemy naukowe argumenty i udowodnimy całemu światu, że postrzeganie pozazmysłowe naprawdę istnieje. Przerwała, a Kaitlyn usłyszała szum drukarki z pokoju obok.

- Są w tym też pewne korzyści dla ciebie, Kaitlyn - odezwała się pani McCasslan. - Chyba powinna jej pani wyjaśnić, jakie są warunki.

- Tak. - Joyce puściła rękę Kaitlyn i podniosła z biurka folder. - Będziesz chodziła do bardzo dobrej szkoły w San Carlos, żeby ukończyć ostatnią klasę. W tym czasie zamieszkasz w Instytucie z pozostałą czwórką, którą wybraliśmy. Każdego popołudnia będziemy przeprowadzać testy, ale one nie zajmą wam dużo czasu, najwyżej godzinę albo dwie. A pod koniec roku otrzymasz stypendium na wybraną przez siebie uczelnię.

- Joyce otworzyła folder i podała go Kaitlyn. - Bardzo hojne stypendium.

- Niezwykle hojne stypendium - dodała pani McCasslan. Kaitlyn wpatrywała się w liczbę widoczną na kartce.

- To... dla nas wszystkich, tak? Do podziału?

- To dla ciebie - powiedziała Joyce. - Tylko dla ciebie. Kaitlyn czuła, że kręci jej się w głowie.

- Będziesz pracować dla dobra nauki - namawiała Joyce.

- Poza tym rozpoczniesz zupełnie nowe życie. Nikt z twojej nowej szkoły nie musi wiedzieć, dlaczego tam jesteś. Możesz być zwykłą uczennicą liceum. A na jesieni będziesz mogła pojechać na uczelnię w Stanford albo na Uniwersytet San Francisco. San Carlos jest zaledwie pół godziny drogi od San Francisco. A potem będziesz wolna.

Kaitlyn czuła, że naprawdę kręci jej się w głowie.

- Pokochasz zatokę. Słońce, ładne plaże. Wiesz, że gdy wczoraj wyjeżdżałam, było tam ponad dwadzieścia stopni? I to zimą. Sekwoje, palmy...

- Nie mogę - odparła cicho Kaitlyn.

Joyce i dyrektorka spojrzały na nią w zdumieniu.

- Nie mogę - powtórzyła głośniejszym głosem Kait, chowając się za wewnętrznym murem. Czuła, że inaczej mogłaby ulec wizji, którą roztaczała przed nią Joyce.

* SRI - jeden z najbardziej znanych na świecie ośrodków naukowych, założony w 1946 roku jako Stanford Research Institute, na Uniwersytecie Stanforda (przyp. tłum.).

- Nie chcesz się stąd wyrwać? - zapytała cicho Joyce.

Czy nie chcę? I to jak. Czasami czuła się jak ptak uderzający skrzydłami o szybę. Chociaż nie bardzo wiedziała, co by zrobiła, gdyby wreszcie udało jej się stąd wydostać. Ale musiało być jakieś miejsce, w którym czułaby się jak w domu. Miejsce, do którego by pasowała.

Nigdy nie myślała, że Kalifornia może być takim miejscem. Wydawała jej się zbyt bogata, podniecająca i ekscytująca. To było jak sen. I ta forsa...

Ale ojciec.

- Nic pani nie rozumie. Chodzi o mojego ojca. Nigdy się z nim nie rozstaję, przynajmniej od śmierci mamy. On mnie potrzebuje. Nie jest... On naprawdę mnie potrzebuje.

Pani McCasslan popatrzyła na nią ze współczuciem. Ona oczywiście znała jej tatę. Kiedyś był znakomitym profesorem filozofii, pisał książki. Ale po śmierci matki Kaitlyn stał się jakby... nieobecny. Wykonywał drobne prace w mieście. Wiele na tym nie zarabiał. A kiedy przychodziły rachunki, przestępował z nogi na nogę i zawstydzony szarpał włosy.

Zachowywał się jak dziecko, ale uwielbiał Kait, a ona jego. Nigdy nie pozwoli, by ktoś go skrzywdził.

Miałaby go teraz zostawić i to zanim jeszcze dorosła do college'u? I pojechać na cały rok do Kalifornii...

- To niemożliwe - powtórzyła.

Pani McCasslan przyglądała się uważnie swoim pulchnym dłoniom.

- Ale Kaitlyn, nie sądzisz, że twój ojciec chciałby, żebyś pojechała? Żebyś zrobiła to, co jest dla ciebie najlepsze?

Kaitlyn pokręciła głową. Nie chciała słuchać żadnych argumentów. Podjęła już decyzję.

- Nie chciałabyś nauczyć się, jak kontrolować swoje umiejętności? - zapytała Joyce.

Kaitlyn spojrzała na nią uważnie.

Nigdy nie pomyślała o tym, że mogłaby to kontrolować. Rysunki pojawiały się w najmniej oczekiwanym momencie, przejmowały władzę w jej rękach, a ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Nigdy nie wiedziała, że coś się stało, dopóki nie skończyła rysować.

- Myślę, że możesz się tego nauczyć - twierdziła Joyce. - Myślę, że razem mogłybyśmy się uczyć.

Kaitlyn otworzyła usta, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, na zewnątrz rozległ się potworny hałas.

Łomot, zgrzyt i trzask, wszystko naraz. Hałas był tak ogłuszający, że Kaitlyn od razu pomyślała, że stało się coś nadzwyczajnego. I to gdzieś bardzo blisko.

Joyce i pani McCasslan podskoczyły, ale dyrektorka pierwsza dopadła do drzwi. Wybiegła na ulicę, a Kait i Joyce ruszyły za nią.

Ludzie kręcili się po obu stronach Harding Street, rozgniatając butami śnieg. Zimne powietrze szczypało Kaitlyn w policzki. Blask zachodzącego słońca tworzył ostry kontrast pomiędzy światłem a cieniem, a obraz, który ujrzała Kaitlyn, wydawał się niezwykle skupiony i wyraźny.

Żółty samochód marki Neon stał na ulicy. Tylna koła miał na chodniku, a lewe drzwi były całkowicie wgniecione. Najwyraźniej został uderzony w bok i się obrócił. Kaitlyn rozpoznała wóz. Należał do Jerry'ego Crutchfielda, jednego z nielicznych uczniów, którzy mieli samochód.

Na środku ulicy, naprzeciwko Kaitlyn, zatrzymało się granatowe kombi. Przód samochodu był całkowicie skasowany, metal powykręcany i zdeformowany, a przednie światła rozbite.

Polly Vertanen, uczennica młodszej klasy, ciągnęła panią McCasslan za rękaw.

- Wszystko widziałam, pani McCasslan. Jerry właśnie wyjeżdżał z parkingu, ale tamto kombi tak pędziło. Po prostu w niego uderzyło... Jechało za szybko.

- To samochód Marian Gunter! - krzyknęła pani McCasslan. - A w środku jest jej mała córeczka. Nie ruszajcie jej!
Nie ruszajcie! - Dyrektorka mówiła dalej, ale Kait przestała jej słuchać.
Wpatrywała się w przednią szybę kombi. Wcześniej niczego nie zauważyła.
Zgromadzeni wokół ludzie zaczęli krzyżeć i biegać w różne strony. Kaitlyn stała oniemiała. Cały jej świat skupił się na przedniej szybie samochodu.
Mała dziewczynka uderzyła o szybę, a może to szyba na nią poleciała. Dotykała czołem okna, jakby wyglądała na zewnątrz.
Miała szeroko otwarte oczy. Duże, okrągłe oczy, z długimi rzęsami. Jak u sarenki Bambi. Zadarty nos i zaokrągloną brodę, a jej kręcone jasne włosy przykleiły się do szyby. Szkło przypominało pajęczynę. Pajęczyna przyklejona do twarzy dziecka.
- O nie, proszę, nie... - wyszeptała Kaitlyn.
Poczuła, że kurczowo się czegoś chwyciła, ale nie bardzo wiedziała czego. Ktoś ją podtrzymywał.
W oddali słyhać było zbliżające się syreny. Wokół samochodu zgromadził się spory tłum, przesłaniając Kaitlyn widok dziecka.
Znała Curta Guntera. To musiała być Lindy, jego mała siostrzyczka. Czemu Kait się nie domyśliła? Dlaczego rysunek nic jej nie podpowiedział? Czemu nie narysowała zderzających się samochodów, opatrzonych konkretną datą i miejscem, zamiast twarzy tego nieszczęśliwego dziecka? Czemu to wszystko było kompletnie bezużyteczne, tak cholernie bezużyteczne...?
- Chcesz usiąść? - zapytała osoba, którą ją trzymała. To była Joyce Piper.
Kait się trzęsła. Oddychała bardzo szybko i jeszcze mocniej chwyciła Joyce.
- Mówiłaś serio, że mogłabym kontrolować... to, co robię? - Kait nie mogła tego nazwać talentem.
Joyce spojrzała na nią, a potem przeniosła wzrok na roztrzaskane samochody. Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.
- Jak sądzę, jaką mam nadzieję.
- Ale musisz mi obiecać.
Joyce spojrzała jej prosto w oczy w sposób, w jaki w Thoroughfare nikt nie śmiał na nią patrzeć.
- Obiecuję, że spróbuję, Kait.
- W takim razie jadę. Mój ojciec to zrozumie. Akwamarynowe oczy Joyce zalśniły.
- Jak się cieszę. - Przeszedł ją gwałtowny dreszcz. - Dwadzieścia stopni, Kait - dodała cicho, niemal z roztargnieniem. - Nie pakuj zbyt wielu rzeczy.
Tej nocy Kaitlyn miała dziwnie realistyczny sen. Stała na skalistym cyplu niewielkiej mierzei otoczonej zimnym, szarym oceanem. Chmury nad jej głową były niemal czarne, a wiatr opryskiwał jej twarz wodą. Niemal czuła panujące wokół wilgoć i chłód.
Nagle usłyszała, jak za plecami ktoś krzyknął jej imię, ale gdy się odwróciła, sen się skończył.

Rozdział 3

Gdy Kait wyszła z samolotu, kręciło jej się w głowie, ale była zadowolona. Nigdy wcześniej nie leciała samolotem, a okazało się, że to bułka z masłem. Przy starcie i lądowaniu żuła gumę i co godzinę gimnastykowała się w maleńkiej toalecie, żeby się rozruszać. Kiedy samolot dojeżdżał do rękawa, uczesała włosy i wygładziła czerwoną sukienkę. Idealnie.

Była bardzo szczęśliwa. Gdy podjęła już decyzję o wyjeździe, od razu poczuła się lepiej. Wyprawa do Instytutu przestała być smutną koniecznością, a stała się snem, o którym mówiła Joyce. Początkiem jej nowego życia. Ojciec zachował się wspaniale i był bardzo wyrozumiały. Odprowadził ją nawet na lotnisko, jakby faktycznie wybierała się na studia. Joyce miała czekać na nią w San Francisco.

Na lotnisku jednak panował tłok i nie było śladu Joyce, a wokół przewijały się tabuny ludzi. Kaitlyn stała blisko bramki z wysoko uniesioną głową, próbując wyglądać nonszalancko. Nie chciała, by ktokolwiek do niej podszedł i zapytał, czy nie potrzebuje pomocy.

- Przepraszam.

Kaitlyn zerknęła z ukosa w kierunku, skąd dochodził nieznamy głos. Ale to nie była propozycja pomocy, ale coś o wiele gorszego. Przed nią stał jakiś sekciarz, z tych co to kręcą się po lotniskach i proszą o pieniądze. Miał na sobie dziwne czerwone szaty. Toskańska czerwień, pomyślała Kaitlyn, na wypadek gdyby kiedyś miała ochotę go namalować.

- Czy mógłbym zająć ci chwilę? - Głos miał uprzejmy, ale natarczywy, wydawał się nawet apodyktyczny. Mężczyzna mówił z obcym akcentem.

Kait próbowała się cofnąć, ale on chwycił ją za rękę. Zdumiona spojrzała w dół. Szczupłe palce zacisnął na jej nadgarstku.

W porządku, palancie, sam tego chciałeś. Z wściekłością skierowała na niego całą moc swoich ciemnoniebieskich oczu otoczonych tajemniczymi obwódkami.

Ale mężczyzna spokojnie jej się przyglądał, a kiedy Kait spojrzała mu głęboko w oczy, aż zatoczyła się do tyłu.

Miał karmelową skórę, a oczy skośne i bardzo ciemne, ze zmarszczką nakątną. Patrząc na niego, Kaitlyn natychmiast przyszło do głowy określenie „przenikliwe spojrzenie”. Miał lekko kręcone włosy w odcieniu jasnego brązu. Nic do siebie nie pasowało.

Ale to nie to ścięło ją z nóg, a poczucie, że był bardzo stary. W jego oczach widziała upływające stulecia. Tysiąclecia.

Kait nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu naprawdę krzyczała, ale tym razem postanowiła to zrobić.

Nie miała szans. Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął jej nadgarstek i zanim zdążyła wziąć kolejny oddech, straciła równowagę. *Facet* w dziwnym ubraniu ciągnął ją z powrotem do korytarza, który prowadził prosto do samolotu.

Z tym że teraz nie było tam żadnego samolotu, a korytarz świecił pustkami. Podwójne drzwi zamknęły się, odcinając Kaitlyn od reszty lotniska. Nadal była zbyt zszokowana, by krzyczeć.

- Nie ruszaj się, to nie zrobię ci krzywdy - syknął mężczyzna, patrząc na nią twardym wzrokiem.

Kaitlyn mu nie wierzyła. Obcy należał do jakiejś sekty i najwyraźniej miał nierówno pod sufitem. Zaciągnął ją przecież w kompletnie opustoszałe miejsce. Powinna była go wcześniej zaatakować i krzyczeć, kiedy jeszcze miała okazję. Teraz znajdowała się w pułapce.

Nie puszczać jej ręki, mężczyzna zaczął szukać czegoś pod ubraniem.

Pewnie pistoletu albo noża, pomyślała Kaitlyn, a serce waliło jej jak oszalałe. Gdyby choć na chwilę ją puścił, gdyby mogła przedostać się na drugą stronę drzwi, gdzie byli inni ludzie...

- Proszę - odezwał się mężczyzna. - Chcę tylko, żebyś na to spojrzała.

Nie trzymał pistoletu, a jedynie kawałek papieru. Błyszczącego, złożonego papieru. Kaitlyn pomyślała, że to jakaś ulotka. Nie wierzę, pomyślała. To naprawdę wariat.

- 'tylko popatrz - powtórzył mężczyzna.

Kaitlyn nie miała wyjścia, facet machał jej kartką przed samym nosem. Zobaczyła kolorowe zdjęcie różanego ogrodu. Ogród otoczony był murem, a na samym środku stała fontanna, z której coś tryskało. Może to jakaś rzeźba lodowa, pomyślała oszołomiona Kaitlyn. Fontanna była wysoka, biała i niemal przezroczysta jak kolumna z fasetami. Na jednej z licznych faset odbijała się maleńka róża.

Serce nadal waliło jej z całych sił. *To* wszystko było zbyt dziwne. I przerażające, jakby nieznajomy naprawdę próbował ją skrzywdzić.

- Ten kryształ... - zaczął, a wtedy Kaitlyn dostrzegła swoją szansę.

Mężczyzna rozluźnił nieco żelazny uchwyt i skupił wzrok na fotografii. Wtedy Kaitlyn z całej siły go kopnęła zadowolona,

że ma na sobie buty na obcasach i wbiła mu w łydkę pięciocentymetrową szpilkę. Facet krzyknął i puścił ją.

Kaitlyn rzuciła się do drzwi i wpadła prosto na lotnisko. A potem zaczęła biec, nie oglądając się za siebie. Omijała krzesła oraz aparaty telefoniczne wiszące na ścianach i na oślep kierowała się w *stronę* tłumu zgromadzonego w hali.

Zatrzymała się dopiero, gdy usłyszała, jak ktoś woła jej imię.

- Kaitlyn!

To była Joyce, która szła do bramki. Kait nigdy w życiu nie czuła takiej ulgi na czyjś widok.

- Przepraszam, były straszne korki, a parkowanie w tym miejscu graniczy z cudem... - Joyce urwała. - Co się stało?

Kaitlyn wpadła jej w ramiona. Teraz, kiedy była już bezpieczna, chciało jej się śmiać. To pewnie histeria. Trzęsły jej się nogi.

- To dziwne - wydusiła. - Iam był jakiś facet z sekty czy z czegoś takiego. Złapał mnie.

Pewnie chciał forsy, ale myślałam, że...

- Jak to cię złapał? Gdzie jest? Kaitlyn pomachała w roztargnieniu ręką.

- Gdzieś tam. Kopnęłam go i uciekłam. Akwamarynowe oczy Joyce błysnęły z zadowolenia, ale powiedziała jedynie:

- Chodźmy. Powinnyśmy to zgłosić ochronie lotniska.

- Oj, ale już czuję się lepiej. To był jakiś wariat...

- Takich wariatów się zamyka. Nawet w Kalifornii - odparła stanowczo Joyce.

Ochrona wysłała kilku ludzi w poszukiwaniu mężczyzny, ale ten przepadł bez wieści.

- Poza tym - poinformował je strażnik - nie mógł otworzyć drzwi na tamten korytarz. Cały czas są zamknięte.

Kaitlyn nie chciała się kłócić. Wołała o wszystkim zapomnieć i jechać do Instytutu. Nie tak wyobrażała sobie swój pierwszy dzień w Kalifornii.

- Chodźmy już. - Pociągnęła Joyce za rękę.

Dziewczyna westchnęła i skinęła głową.

Odebrały bagaże Kaitlyn i poszły w stronę małego zielonego kabrioletu. Kiedy ruszyły, Kait miała *ochotę* skakać na fotelu. W domu panował mróz, a na ziemi leżało pięćdziesiąt centymetrów śniegu. A tu jechały z opuszczonym dachem, a wiatr rozwiewał jasne włosy Joyce.

- Jak się czuje ta mała dziewczynka z wypadku? - zapytała Joyce.

Dobry nastrój Kaitlyn prysnął jak bańka mydlana.

- Cały czas jest w szpitalu. Nikt nie wie, czy z tego wyjdzie. - Kaitlyn zacisnęła usta, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać o Lindy.

Ale Joyce nie zadawała więcej pytań. Zamiast tego powiedziała:

- W Instytucie jest już troje twoich współlokatorów. Lewis i Anna. Myślę, że ich polubisz. Lewis - to chłopak.

- Ilu będzie chłopaków? - zapytała podejrzliwie Kaitlyn.

- Obawiam się, że trzech - odparła ponuro Joyce, posyłając Kait rozbawiona spojrzenie.

Ale Kaitlyn wcale nie było do śmiechu. Trzech chłopaków i tylko jedna dziewczyna. Trzech niechlujnych, nieopanowanych i nakręconych hormonami Power Rangersów.

Kaitlyn próbowała już kiedyś zadawać się z chłopakami. Jakies dwa lata temu, kiedy była w drugiej klasie. Pozwoliła jednemu z nich zabierać się na randki nad jezioro Erie w każdy piątkowy i sobotni wieczór. Znosiła nawet jego głupie umizgi, przynajmniej w pewnych granicach, a on opowiadał jej o Metallice, Brownsach, Bengalsach i czerwonych

samochodach Trans Am. Czyli o wszystkim, o czym nie miała zielonego pojęcia. Po pierwszej randce stwierdziła, że faceci są jednak jakimś obcym gatunkiem, i przestała go słuchać. Cały czas miała nadzieję, że zaprosi ją w końcu na jakąś imprezę ze swoją ekipą. Wszystko miała zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Zabierze ją do jednego z tych dużych domów na wzgórzach, do których nigdy nie została zaproszona. Włożyłaby coś luźnego, ale nie za bardzo, żeby nie obrazić gospodyni. On będzie ją obejmował, a ona będzie zachowywać się skromnie. Wszyscy mieliby okazję przekonać się, że nie jest żadnym potworem. Pozwoliliby jej wejść do swojego świata, może nie od razu, ale wcześniej czy później przyzwyczailiby się do jej towarzystwa.

Niezupełnie.

Jak tylko wspomniała o imprezie, jej miłośnik jezior zaczął coś kręcić. Ale w końcu prawda wyszła na jaw. Nie miał zamiaru zabierać jej w żadne miejsce publiczne. Świetnie sprawdzała się na wypadach nad jezioro, ale nie była wystarczająco dobra, by pokazywać się z nią w towarzystwie.

To była jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy trudno jej było powstrzymać łzy. Zaciśnięta usta i kazała odwieźć się do domu. Przez całą drogę chłopak robił się coraz bardziej wściekły. Aż w końcu z hukiem otworzył jej drzwi i syknął:

- I tak miałem cię rzucić. Nie jesteś jak normalne dziewczyny- Jesteś oziębła.

Kait gapiała się za odjeżdżającym samochodem. Więc była nienormalna, świetnie. To akurat wiedziała. I oziębła. Ze sposobu, w jaki to powiedział, domyśliła się, że nie chodziło o jej charakter. Miał na myśli coś więcej.

Świetnie. Wolałaby już całe życie być sama, niż przeżywać cokolwiek z takim facetem. Na samo wspomnienie jego wilgotnych dłoni na swoich ramionach miała ochotę wytrzeć ręce o czerwoną sukienkę.

Wiec jestem oziębła, myślała Kait, wierząc się na przednim siedzeniu kabrioletu. I co z tego? W życiu jest wiele innych ciekawszych rzeczy.

Poza tym miała gdzieś, ilu chłopaków będzie w Instytucie. Będzie ich ignorować i trzymać się blisko Anny. Oby tylko Anna nie miała fioła na punkcie facetów.

I oby cię polubiła, dodał cichy, natarczywy głos w jej głowie. Kaitlyn stłumiła tę myśl i pozwoliła, by wiatr rozwiewał jej włosy. Cieszyła się jazdą i słońcem.

- Daleko jeszcze? - zapytała. - Nie mogę się doczekać. Joyce się roześmiała.

- Nie, już niedaleko.

Teraz jechały po *osiedlowych* uliczkach. Kaitlyn rozglądała się wokół z zapalem, ale i z lekkim uczuciem niepokoju. A jeśli Instytut okaże się zbyt duży, zbyt sterylny i onieśmielający? Wyobrażała sobie ogromny, przysadzisty budynek z czerwonej cegły, podobny do jej szkoły w Thoroughfare.

Joyce wjechała na podjazd, a Kait z niedowierzaniem rozglądała się wokół.

- To tutaj?

- Aha.

- Ale ten budynek jest fioletowy.

I to jeszcze jak. Ściany miały chłodny fioletowy odcień, drewniane wykończenia wokół okien były ciemnofioletowe, a drzwi i balkony - jaskrawofioletowe. Wyjątek stanowiły szary skośny dach i komin.

Kait czuła się tak, jakby ktoś wrzucił ją do basenu wypełnionego sokiem z ciemnych winogron. Nie była pewna, czy kolor jej się podoba, czy nie.

* The Browns, The Bengal - zawodowe drużyny futbolu amerykańskiego (przyp. tłum.).

- Nie mieliśmy czasu, by go pomalować - wyjaśniła Joyce, parkując samochód. - Byliśmy zbyt zajęci przekształcaniem parteru w laboratorium. Jutro zobaczysz cały budynek. Może teraz pójdziesz przywitać się ze swoimi współlokatorami?

Kait poczuła, jak ogarnia ją niepokój. Instytut był o wiele mniejszy i bardziej przytulny, niż sobie wyobrażała. Naprawdę będzie tu mieszkać i to z zupełnie obcymi ludźmi.

- Jasne, świetnie. - Uniosła wysoko głowę i wysiadła z samochodu.

- Nie zwracaj sobie teraz głowy walizkami i wejdź do środka. Przejdź przez salon, a po prawej stronie będą schody.

Idź na górę, całe piętro jest dla was. Mówiłam Lewisowi i Annie, żebyście sami podzielili się pokojami.

Kaitlyn ruszyła do przodu. Nie chciała się ani ociągać, ani śpieszyć. Nie chciała też, by ktokolwiek zauważył, jak bardzo się denerwuje. Fioletowe drzwi były otwarte. Na szczęście wewnątrz domu miało inny kolor i wyglądało zupełnie zwyczajnie. Po prawej stronie znajdował się duży salon, a po lewej spora jadalnia.

Nie patrz na to teraz. Idź na górę.

Kaitlyn przeszła przez wyłożony glazurą korytarz, który oddzielał oba pomieszczenia, i znalazła się przy schodach. Tylko powoli, oddychaj spokojnie.

Ale serce waliło jej z całych sił, a nogi same wyrwały się do góry. Schody zakręcały na podeście i nagle znalazła się na szczycie.

Korytarz był pełen różnych niepasujących do siebie sprzętów. Kait zauważyła otwarte drzwi, a w środku usłyszała głosy.

W porządku, kogo to obchodzi, czy są mili? Pewnie to jakieś palanty, mam to gdzieś. Nikogo nie potrzebuję. Może nauczę się rzucać na ludzi czar?

W ostatniej chwili ogarnęła ją jednak panika i wpadła przez otwarte drzwi w bojowym nastroju.

Zatrzymała się w pół kroku. Na pustym łóżku klęczała jakaś dziewczyna. Śliczna, pełna wdzięku, ciemnowłosa, o wysokich kościach policzkowych i spokojnym wyrazie twarzy. Bojowe nastawienie Kaitlyn rozplynęło się jak we mgle, a mury, które zazwyczaj budowała wokół siebie, runęły. Od dziewczyny bił niezwykle spokojny, który przypominał chłodny wiatr. Nieznajoma się uśmiechnęła.

- Ty pewnie jesteś Kaitlyn.

- A ty... Anna?

- Anna Eva Whiteraven.

- Jakie cudowne nazwisko - powiedziała Kaitlyn.

W szkole imienia Warrena G. Hardinga nie mówiło się w ten sposób, ale Kaitlyn nie była już w swojej szkole. Na spokojnej twarzy Anny pojawił się uśmiech.

- A ty masz cudowne oczy - dodała.

- Naprawdę? - usłyszała czyjś podekscytowany głos. -Hej, odwróć się.

Kait się odwróciła. Po drugiej stronie pokoju znajdowała się wnęka z oknem, z której właśnie wychodził jakiś chłopak. Nie wyglądał groźnie. Miał czarne włosy i ciemne migdałowe oczy. W rękach trzymał aparat i Kaitlyn domyśliła się, że robił zdjęcia przez otwarte okno.

- Uśmiech! - Kaitlyn oślepił błysk aparatu.

- Au!

- Przepraszam, chciałem tylko uchwycić ten moment. -Chłopak wypuścił z rąk aparat, który zawisł na tasiemce zawieszony na jego szyi, i wyciągnął rękę. - Ale fajne oczy. Trochę dziwne. Nazywam się Lewis Chao.

Miał taką słodką twarz, zdecydowała Kaitlyn. Wcale nie był duży ani okropny, a raczej mały i schludny. Jego ręka nie była spocona, a oczy wygłodniałe.

- Lewis od samego rana robi zdjęcia, odkąd przyjechaliśmy - wyjaśniła Anna. - Uwiecznił już chyba całą dzielnicę.

Kaitlyn zamrugła, żeby pozbyć się mroczków, spojrzała z zaciekawieniem na Lewisa.

- Naprawdę? Skąd jesteś? - Pewnie przyjechał jeszcze dalej niż z Ohio, pomyślała.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Z San Francisco.

Kaitlyn roześmiała się i po chwili wszyscy się śmiali. I nie był to złośliwy śmiech, ale wspaniały, cudowny chichot. I Kait już wiedziała.

Będę tu szczęśliwa, pomyślała. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Będzie szczęśliwa i to przez cały rok. W głowie pojawił jej się taki obraz: siedzi przy kominku, który zauważyła na dole, i odrabia lekcje. Pozostali są zajęci swoimi sprawami, ale łączy ich ciepłe poczucie wspólnoty, chociaż każdy robi coś innego. Każdy jest inny, ale nie zwracają na to uwagi.

Nie muszą budować murów.

Zaczęli z zapalem rozmawiać, coraz bardziej czując do siebie sympatię. Kait dołączyła do Anny, która siedziała na łóżku. To było naturalne.

- Jestem z Ohio - zaczęła Kait.

- Aha, Buckeye* - wtrącił Lewis.

- A ja ze stanu Waszyngton - powiedziała Anna. - Z okolic Puget Sound.

- Jesteś z pochodzenia Indianką, prawda?

- Tak, z plemienia Suquamish.

- Ona rozmawia ze zwierzętami - dodał Lewis

- Wcale z nimi nie rozmawiam - zaprzeczyła łagodnie Anna. - Czasami potrafię sprawić, żeby coś zrobiły. To rodzaj projekcji myśli, tak mówi Joyce.

Projekcja myśli i zwierzęta? Parę tygodni temu Kait powiedziała, że to bzdura, ale przecież jej własny „dar” też był czymś niepojętym. Jeżeli to było możliwe, coś innego również.

- A ja zajmuję się PK - powiedział Lewis. - Psychokinezą. Przewaga umysłu nad materią.

- Jak... wyginanie łyżeczek? - zapytała z wahaniem Kait.

- Nie, wyginanie łyżeczek to zwyczajna sztuczka. Prawdziwą psychokinezą dotyczy bardzo małych rzeczy, na przykład przesuwania igły na kompasie. A ty co robisz?

Kaitlyn podeszło serce do gardła. Nigdy w życiu nie powiedziała jeszcze tego na głos.

- Ja... Właściwie to potrafię przewidywać przyszłość. To znaczy, nie ja, a moje rysunki, i kiedy później na nie patrzę, widzę, że tak miało być. Ale zazwyczaj dopiero po tym, jak to się już wydarzy - skończyła bez ładu i składu.

Lewis i Anna głęboko się zamyślili.

- Super - odezwał się w końcu Lewis.

- Więc jesteś artystką? - dodała Anna.

Kaitlyn poczuła ogromną ulgę, a potem ogarnęła ją euforia.

- Chyba po prostu lubię rysować.

I chętnie bym teraz coś narysowała, pomyślała, nie mogąc się doczekać, kiedy sięgnie po swoje pastele. Annę narysowałaby za pomocą palonej umbry, matowej czerni i sjeny. A Lewisa granatowoczną kredką i jakąś w odcieniu skóry.

Później, powiedziała sobie. A na głos dodała:

- Więc co robimy z pokojami? Kto gdzie śpi?

* Ohio często określane jest jako Buckeye State, ze względu na powszechne występowanie kasztanowców {*buckeye trees*}, a jego mieszkańców nazywa się Buckeyes (przyp. tłum.).

- Właśnie się nad tym zastanawialiśmy - odparła Anna. - Problem polega na tym, że jest nas pięcioro, a są tylko cztery pokoje. Ten, w którym jesteśmy, obok jest większy i dwa mniejsze na tyłach domu.

- A tylko duże pokoje mają dostęp do kablówki. Już jej tłumaczyłem - westchnął Lewis z tragiczną miną - że muszę mieć dostęp do MTVJ ale ona tego nie rozumie. Poza tym muszę gdzieś podłączyć komputer i wieżę. A tylko duże pokoje mają odpowiednie wyjścia.

- Nie możemy zająć najlepszych pokoi przed przyjazdem reszty - stwierdziła Anna spokojnie, ale stanowczo.

- Ale ja muszę mieć MTV Inaczej umrę.

- Nie potrzebuję kablówki - odezwała się Kaitlyn. - Ale chciałabym mieć pokój z północnym światłem, lubię rano rysować.

- Jeszcze nie słyszałaś najgorszego. Każde pomieszczenie jest inne - wyjaśnił Lewis. - Pokój obok jest ogromny z olbrzymim łóżkiem, balkonem i jacuzzi. Ten ma wnękę i osobną łazienkę, ale nie ma żadnej szafy. A dwa pozostałe mają spore szafy, ale za to wspólną łazienkę.

- Wygląda na to, że największy pokój dostaną ci, którzy będą razem mieszkać, bo dwoje z nas musi razem spać - dodała Kaitlyn.

- Świetnie. Ja mogę mieszkać z którąkolwiek z was - rzucił szybko Lewis.

- O nie, nie, nie. Poczekaście, pójde sprawdzic światło w małych pokojach - powiedziała Kaitlyn, zeskakując z łóżka.

- Sprawdź lepiej to jacuzzi! - krzyknął za nią Lewis. Kaitlyn roześmiała się, zerkając przez ramię, i nagle wpadła na kogoś, kto stał na szczycie schodów.

Zderzenie nie było mocne, ale Kaitlyn odruchowo się cofnęła i uderzyła nogą o coś twardego. Poczula za kolanem ostry ból i na moment zaniemówiła. Zacisnęła zęby i z wściekłością spojrziała na to, co ją uderzyło. Nocna szafka, z wyciągniętą szufladą o ostrych kantach. Co te wszystkie meble w ogóle robiły na korytarzu?

- Bardzo przepraszam. - Usłyszała cichy południowy akcent. - Nic ci nie jest?

Kaitlyn zerknęła na opalonego, jasnowłosego chłopaka, który na nią wpadł. To był oczywiście chłopak. I to duży, a nie drobny i bezpieczny jak Lewis. Z gatunku tych, którzy robili wokół siebie sporo zamieszania. Wypełniał swoją osobą cały korytarz i był niezwykle męski. Jeżeli Anna przypominała chłodny wiatr, to ten tutaj był jak słoneczna pochodnia. Nie bardzo mogła go zignorować, postanowiła więc spiorunować go wzrokiem. Chłopak spokojnie odwzajemnił spojrzenie, a Kaitlyn ze zdumieniem odkryła, że jego oczy miały bursztynowy odcień, zaledwie parę tonów ciemniejszy od jego włosów.

- Coś cię boli - stwierdził. Najwyraźniej pomylił jej piorunujący wzrok z wyrazem cierpienia.

- W którym miejscu?

A potem zrobił coś, co całkowicie zbiło ją z tropu. Upadł przed nią na kolana.

O rany, on chyba chce mnie przeprosić, pomyślała z rozpaczą. Boże, w Kalifornii są same świry.

Ale chłopak jej nie przeprosił. Wyciągnął rękę i dotknął ostrożnie jej nogi.

- lujaj, prawda? - zapytał z uprzejmym południowym akcentem.

Kaitlyn otworzyła usta, ale nie była w stanie nic powiedzieć, mogła mu się jedynie przyglądać. Stała oparta o ścianę i nie miała dokąd uciec.

- W tym miejscu, tak? - I bez żadnych ceremonii podwinął jej czerwoną sukienkę. Kaitlyn była wstrząśnięta. W żadnym razie nie była przygotowana na taką sytuację: jakiś obcy facet zaglądał jej pod sukienkę, i to w miejscu publicznym. Poza tym chodziło o to, w jaki sposób to robił. Nie jak ktoś napalony, ale jak... jak... lekarz badający pacjenta.

- Nic sobie nie rozciąłaś, tylko się uderzyłaś - stwierdził. Nie patrzył ani na nią, ani na jej nogę, *tylko* na korytarz. Jego palce delikatnie dotykały bolesnego miejsca, jakby oceniał szkodę. Wydawały się suche, ale ciepłe, nienaturalnie ciepłe.

- Jeśli tak to zostawisz, będziesz miała straszego siniaka. Nie ruszaj się przez chwilę, to ci pomogę, w porządku?

To spowodowało, że Kait wreszcie przerwała milczenie.

- Mam się nie ruszać? Dlaczego? Machnął tylko ręką.

- Proszę, nic nie mów. Kaitlyn była w szoku.

- Tak - szepnął chłopak, jakby mówił sam do siebie. - Chyba mogę ci pomóc. Spróbuję.

Kaitlyn wmurowało, była całkowicie sparaliżowana. Czuła jego palce na swoim kolanie, w niezwykle intymnym, delikatnym i bardzo wrażliwym miejscu. Nie pamiętała, by ktokolwiek ją tam dotykał, nawet prawdziwy lekarz.

Po chwili jego dotyk zmienił się, a Kaitlyn poczuła pieczenie i łaskotanie, jak podczas oparzenia. Było to niemal bolesne, ale...

- Co ty wyprawiasz? Przestań, co robisz? - wykrztusiła Kait

Chłopak odezwał się cichym głosem, nie podnosząc na nią wzroku:

- Przekierowuję energię. Przynajmniej próbuję.

- Powiedziałam, przestań... Och.

- Pomóż mi teraz. Nie walcz ze mną.

Kaitlyn spoglądała na czubek jego głowy. Jego jasnozłote włosy były potargane, a niesforne kosmyki sterczały na różne strony.

Nagle coś dziwnego przeszło całe jej ciało, docierając do każdego naczynia krwionośnego. Poczua się orzeźwiona i odnowiona. Jakby napiła się czystej, chłodnej wody albo zanurzyła w cudownej zimnej mgle.

Chłopak zaczął wykonywać jakieś niekontrolowane gesty, jakby strzepywał coś z jej kolana. Dotykał i strzepywał. Dotykał i strzepywał. Jakby coś zbierał, a potem delikatnie zrzucił krople wody z palców.

Nagle Kaitlyn zdała sobie sprawę, że ból ustąpił.

- I po sprawie - powiedział *wesoło* chłopak. - Jeszcze tylko to zamknę... - Ciepłą ręką objął jej kolano. - I już. Nie powinnaś mieć siniaka.

Podniósł się i potarł dłonie. Oddychał tak ciężko, jakby właśnie ukończył jakiś wyścig.

Kaitlyn przyglądała mu się z uwagą. Sama była gotowa wziąć udział w wyścigu. Nigdy w życiu nie była tak ożywiona. Ale kiedy ponownie zerknęła na jego twarz, poczuła, że powinna usiąść.

Gdy na nią spojrział, spodziewała się... Właściwie sama nie wiedziała czego. Ale na pewno nie szybkiego, roztargnionego uśmiechu, który jej posłał. Chłopak odwrócił się i miał zamiar odejść.

- Przepraszam za to, co się stało. Lepiej pójde i pomogę Joyce z walizkami, zanim znowu kogoś poturbuję. - I zaczął schodzić po schodach.

- Zaczekaj, kim ty jesteś? I...

- Nazywam się Rob. - Uśmiechnął się przez ramię. - Rob Kessler.

Dotarł do podestu, odwrócił się i zniknął.

- .. jak to zrobiłeś? - Kait rzuciła w powietrze. Rob. Rob Kessler, pomyślała.

- Hej, Kaitlyn! - Usłyszała z pokoju głos Lewisa. - Jesteś tam? Kaitlyn, chodź tu szybko!

Rozdział 4

Kaitlyn zawahała się, cały czas wpatrując się w schody. W końcu wzięła się w garść i powoli ruszyła z powrotem po pokoju. Lewis i Anna stali we wnętrzu i wyglądali przez okno.

- Już jest - powiedział Lewis podekscytowanym głosem, podnosząc do góry aparat. - To musi być on!

- Kto taki? - zapytała Kaitlyn. Miała nadzieję, że nikt nie będzie jej się zbyt wnikliwie przyglądał. Czują, że ma na twarzy wypieki.

- Pan Zetes - odezwał się Lewis. - Joyce mówiła, że jeździ limuzyną.

Przed domem stała czarna limuzyna, a jej tylne drzwi były otwarte. Opierał się o nie mężczyzna o białych włosach, ubrany w długi płaszcz. Kaitlyn pomyślała, że musi mu być potwornie gorąco w to ciepłe kalifornijskie popołudnie. W rękę trzymał laskę ze złotą rączką. Prawdziwą laskę ze złotą rączką, pomyślała zafascynowana Kaitlyn.

- Zdaje się, że przyprowadził swoich przyjaciół - dodała z uśmiechem Anna. Z limuzyny wyskoczyły dwa duże czarne psy. Od razu ruszyły w stronę krzaków, ale jak tylko mężczyzna je zawołał, wróciły na miejsce i stanęły przy jego boku.

- Urocze - stwierdziła Kaitlyn. - A to co?

Na podjazd właśnie wjechała biała furgonetka z napisem „Departament ds. Nietletnich”. Lewis odłożył aparat. Był wyraźnie zafascynowany.

- Rany, to Kalifornijski Zakład Poprawczy.

- Czyli...?

- To ostatni przystanek. Tam pakują naprawdę niegrzecznych chłopców. Hardcore'owców, z którymi nie dają sobie rady w zwykłych poprawczakach.

- Chcesz powiedzieć, że to więzienie? - zapytała Anna cichym głosem.

- Mój ojciec mówi, że to miejsce dla tych, którzy potem trafią do zwykłego więzienia stanowego. Wiesz, morderców i takich tam.

- Morderców?! - krzyknęła Kait. - To co ta furgonetka tutaj robi? Nie sądzicie chyba, że... - Spojrzała na Annę, która przyglądała się jej z pochmurnym wyrazem twarzy. Najwyraźniej Anna tak właśnie myślała.

Obie zerknęły na Lewisa. Jego migdałowe oczy zrobiły się nagle ogromne.

- Chyba powinniśmy tam pójść - stwierdziła Kaitlyn. Szybko pobiegli na dół i wypadli na drewnianą werandę, próbując nie rzucać się w oczy. I tak nikt nie zwracał na nich uwagi. Pan Zetes rozmawiał ze strażnikiem ubranym w mundur w kolorze khaki.

Kaitlyn zdołała usłyszeć jedynie kilka słów:

- Decyzja sędzi Baldwin, oddział zakładu dla nietletnich i resocjalizacja.

- ...to pańska odpowiedzialność - zakończył strażnik, odsuwając się od drzwi furgonetki.

Z wozu wysiadł jakiś chłopak. Kaitlyn uniosła do góry brwi.

Był niewiarygodnie przystojny, ale jego twarz i gesty wyrażały chłodną rezerwę. Miał ciemne włosy i oczy, ale jego skóra była blada. To jedna z nielicznych osób w Kalifornii, która nie jest opalona, pomyślała Kaitlyn.

- *Chiaroscuro* - wymamrotała pod nosem.

- Co takiego? - szepnął Lewis.

- To słówko artystyczne. Oznacza „światłocień”, jak w czarno-białym rysunku. - Kiedy skończyła, poczuła, że cała drży. W tym chłopaku było coś dziwnego, jak gdyby...

Jak gdyby nie był do końca normalny, podpowiedział jej umysł. Tak mówili o tobie, w twoim miasteczku, prawda?

Furgonetka odjechała. Pan Zetes i ciemnowłosy chłopak podeszli do drzwi.

- Wygląda na to, że mamy nowego współlokatora - mrucał pod nosem Lewis. - O rany.

Pan Zetes skinął głową do grupy stojącej na werandzie.

- Widzę, że już jesteście. Myślę, że wszyscy już dojechali. Idźcie do środka, będziemy mogli się przywitać. - Mężczyzna ruszył do budynku, a za nim psy. Rottweilery, zauważyła Knillyn. I wyglądały groźnie.

Gdy chłopak podszedł bliżej, Anna i Lewis bez słowa cofnęli się, ale Kaitlyn nie ruszyła się z miejsca. Wiedziała, jak to jest, gdy ludzie cofają się na twój widok. Chłopak przeszedł tuż obok niej i odwrócił głowę, by spojrzeć jej prosto w oczy. Kaitlyn zauważyła, że jego oczy nie były czarne, ale ciemnoszare. Miała wrażenie, że chciał wzbudzić w niej niepokój, zmusić, by spuściła wzrok.

Ciekawe, co takiego zrobił, że wylądował w więzieniu, pomyślała i dostała gęsiej skórki.

Weszła do budynku.

- Pan Zetes! - zawołała radośnie Joyce, wychodząc z salonu. Wzięła starszego mężczyznę pod rękę i zaczęła mu coś opowiadać, uśmiechając się i gestykułując z entuzjazmem.

Nagle Kaitlyn zauważyła przy schodach czyjąś jasną czuprynę. To był Rob Kessler, który trzymał na ramieniu jakąś torbę. Jej torbę. Ruszył w ich stronę... Ale nagle stanął w miejscu. Cały zeszytniał. Kaitlyn podążyła za jego wzrokiem i spojrzała na nowo przybyłego chłopaka.

Obcy też był spięty. Szare spojrzenie skupił na Robie. W jego oczach kryła się lodowata nienawiść. Wyglądał tak, jakby szykował się do ataku.

Jeden z rottweilerów pana Zetesa zaczął warczeć.

- Dobry piesek - wymamrotał nerwowo Lewis.

- To ty - powiedział nowy chłopak.

- To ty - powtórzył Rob.

- Znać się? - zapytała Kaitlyn.

Pierwszy odezwał się Rob, nie spuszczać wzroku z bladej, nieufnej twarzy intruza.

- Tak, z dawnych czasów. - Rzucił torbę na ziemię.

- Nie dość dawnych - odparł drugi chłopak. W przeciwieństwie do miękkiego południowego akcentu Roba jego głos wydawał się szorstki i urywany.

Teraz warczały już oba psy.

Chyba możemy zapomnieć o miłej atmosferze, pomyślała Kaitlyn. Zauważyła, że pan Zetes i Joyce przestali rozmawiać i przyglądali się im z uwagą.

- Wygląda na to, że jesteśmy już wszyscy - stwierdził sucho pan Zetes.

- Chodźcie tu - dodała Joyce. - Długo czekałam na ten moment.

Rob i nowy chłopak powoli odwrócili od siebie wzrok. Joyce obdarzyła ich wspaniałym uśmiechem, a jej akwamarynowe oczy lśniły.

- Dzieciaki, to dla mnie prawdziwy zaszczyt i przyjemność przedstawić wam człowieka, który was tu sprowadził. Człowieka, który odpowiada za cały projekt. Przedstawiam wam pana Zetesa.

Przez chwilę Kaitlyn zastanawiała się, czy nie powinna zacząć klaskać. Zamiast tego wymruczała z innymi: „Dzień dobry”. Pan Zetes skinął głową, a Joyce mówiła dalej.

- Panie Zetes, oto nasi żołnierze. Anna Whiteraven ze stanu Waszyngton. - Starszy mężczyzna podał jej rękę, a potem wszystkim pozostałym, których przedstawiała Joyce. - Lewis Chao z Kalifornii. Kaitlyn Fairchild z Ohio. Rob Kessler z Karoliny Północnej. I Gabriel Wolfe z... stąd i zowąd.

- Tak, zależy, gdzie złożono pozew. - Rob przeciągał sylaby. Pan Zetes przeszył go wzrokiem.

- Gabriel został warunkowo zwolniony i teraz znajduje się pod moją opieką - powiedział. - Może chodzić do szkoły, ale poza tym nie wolno mu opuszczać domu. Doskonale wie, co się stanie, jeśli naruszy te zasady, prawda, Gabrielu?

Chłopak przeniósł wzrok z Roba na pana Zetesa.

- Tak - odpowiedział beznamiętnym głosem.

- Doskonale. - Pan Zetes przyglądał się całej grupie. - Chciałbym, żebyście doszli do porozumienia. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że posiadacie ogromny dar. Musicie jak najmądrzej i jak najlepiej wykorzystać wasze umiejętności.

Teraz dopiero zacznie się gadka, pomyślała Kait, przyglądając się uważnie panu Zetesowi.

Miał imponującą białą czuprynę, przystojną, sędziwą twarz i szerokie, dobrotliwe czoło.

Kaitlyn uświadomiła sobie nagle, kogo jej przypominał. Wyglądał jak dziadek Małego Lorda*, ten hrabia.

Ale pan hrabia nie wygłosił zwykłej przemowy.

- Jedną rzecz musicie od razu zrozumieć. Jesteście inni od reszty społeczeństwa. Zostaliście... wybrani. Naznaczeni. Nigdy nie będziecie tacy, jak pozostali ludzie, więc nawet nie próbujcie. Kierujecie się innymi prawami.

Kaitlyn zmarszczyła brwi. Joyce mówiła podobne rzeczy, ale słowa pana Zetesa brzmiały jakoś inaczej. Nie była pewna, czy odpowiadał jej ten ton.

- Macie w sobie coś, czego nie da się ograniczyć. Ukrytą moc, która płonie w was jak ogień - ciągnął dalej. - Jesteście lepsi od reszty społeczeństwa, nigdy o tym nie zapominajcie.

Czy on chce nam schlebić? - zastanawiała się Kait. Bo jeśli tak, to mu nie wychodzi. To *wszystko* brzmi... jakoś pusto.

- Jesteście pionierami w wyprawie, która niesie ze sobą nieskończenie wiele możliwości.

Praca, którą tutaj wykonacie, może zmienić nastawienie świata do zjawisk nadprzyrodzonych, może zmienić całą ludzkość. Wy, młodzi, możecie pracować dla dobra innych.

Nagle Kaitlyn poczuła niezwykłą chęć, by coś narysować.

Tym razem nie była to zwyczajna zachcianka jak wtedy, gdy naszła ją ochota, by narysować Annę i Lewisa. Ręka zaczęła ją swędzieć i poczuła, jak przechodzi ją dreszcz, a to oznaczało przeczucie.

Ale nie mogła tale po prostu wyjść, kiedy pan Zetes przemawiał. Rozejrzała się po sali i napotkała wzrok Gabriela.

Jego oczy wydawały się mroczne i okrutne, jakby mowa pana Zetesa bardzo go rozbawiła, i to w szczególnie cyniczny sposób.

Kaitlyn ze zdumieniem odkryła, że Gabriel wyglądał tak, jakby również nie wierzył w słowa pana Zetesa. I patrzył na nią w taki sposób, jakby domyślał się, że ona myśli podobnie.

Poczuła, że się rumieni. Szybko przeniosła wzrok na mówiącego, przybierając zainteresowany i pełen szacunku wyraz twarzy. W końcu to on opłacał jej stypendium. Może i był nieco ekscentryczny, ale najwyraźniej miał dobre serce.

Kiedy skończył przemawiać, Kaitlyn nie czuła już potrzeby rysowania.

Po panu Zetesie głos zabrała *Joyce*, prosząc ich, by przez najbliższy rok dali z siebie wszystko.

- Będę z wami mieszkać, tu w Instytucie - dodała. - Mój pokój jest tam. - Wskazała na przeszklone drzwi na tyłach salonu, które wyglądały tak, jakby prowadziły gdzieś na zewnątrz. - Możecie do mnie przychodzić, kiedy tylko będziecie chcieli, w dzień czy w nocy. Aha, jest jeszcze jedna osoba, z którą będziecie pracować.

* *Mały Lord* (oryg. *Little Lord Fauntleroy*) - powieść angielskiej pisarki Frances Hodgson Burnett (przyp. tłum.).

Kaitlyn odwróciła się i zobaczyła wychodzącą z jadalni dziewczynę. Wyglądała na studentkę i miała burzę mahoniowych włosów i nieco posępne pełne usta.

- To Marisol Diaz, studentka ze Stanford - poinformowała ich Joyce. - Nie mieszka z nami, ale będzie codziennie przychodzić, żeby pomagać mi przy eksperymentach. Będzie też gotować. Na ścianie w jadalni znajdziecie godziny posiłków, a jutro porozmawiamy o innych zasadach panujących w domu. Macie jakieś pytania?

Wszyscy pokręcili głowami.

- Dobrze. Idźcie teraz na górę i zajmiecie się pokojami? To był długi dzień i wiem, że niektórzy są zmęczeni po podróży samolotem. Marisol i ja zrobimy jakąś kolację.

Kaitlyn była zmęczona. Chociaż jej zegarek wskazywał zaledwie siedemnastą czterdzieści pięć, w Ohio było już trzy godziny później. Pan Zetes pożegnał się, podając każdemu rękę. Potem wszyscy udali się na górę.

- I co o nim myślicie? - zapytała szeptem Lewisa i Annę, kiedy znaleźli się na piętrze.

- Robi wrażenie, ale jest trochę przerażający. Jakby należał do rodziny Adamsów - szepnął Lewis.

- Te psy były interesujące - dodała Anna. - Zazwyczaj potrafię rozszyfrować zwierzęta, powiedzieć, czy są szczęśliwie, smutne, czy cokolwiek. Ale te były doskonale chronione. Nie chciałabym nawet próbować z nimi pracować.

Kait zerknęła przez ramię i zauważyła, że Gabriel się jej przygląda. Poczuli się nieswojo, więc od razu przystąpiła do ataku.

- A ty co myślisz? - zapytała go.

- Myślę, że chce nas wykorzystać dla własnych celów.

- Wykorzystać, ale jak? - dopytywała się ostro Kaitlyn. Gabriel wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Może chce poprawić wizerunek swojej firmy, coś w stylu „Firma z Doliny Krzemowej działa dla dobra ludzkości”. Jak Chevron, który finansuje programy ochrony zwierząt. Oczywiście, w jednej kwestii trzeba przyznać mu rację, jesteśmy lepsi od reszty społeczeństwa.

- A niektórzy z nas są lepsi od innych, co? - zapytał Rob, wchodząc po schodach. - I nie muszą przestrzegać żadnych reguł.

- Dokładnie - odpowiedział Gabriel z lodowatym uśmiechem.

Chodził po korytarzu i po kolei zaglądał do wszystkich pokoi.

- Cóż, Joyce mówiła, żebyśmy wybrali sobie pokoje. Chyba wybiorę... ten.

- Hej! - krzyknął Lewis. - Ten jest największy, ma kablówkę i jacuzzi, i...

- Dzięki za informację - powiedział Gabriel beznamiętnym głosem.

- Ten pokój jest większy od pozostałych - stwierdziła Anna cicho, ale zdecydowanie. - Chyba powinny zamieszkać w nim dwie osoby.

- Nie możesz go sobie tak po prostu zająć - dodał Lewis. - Powinniśmy chociaż zagłosować. Gabriel zmrużył szare oczy, a usta wykrzywił mu grymas. Zrobił krok do przodu i stanął tuż przed Lewisem.

- Wiesz, jak wygląda więzienna cela? - zapytał zimnym, agresywnym głosem. - Ma łóżko o szerokości sześćdziesięciu centymetrów i metalową toaletę. Jeden stołek przyczepiony do ściany i małe biurko. To wszystko. Mieszkałem w takiej celi przez ostatnie dwa lata, z małymi przerwami. Więc myślę, że mam prawo. Zamierzasz coś z tym zrobić?

Lewis podrapał się po nosie, jakby się nad tym zastanawiał. Ale Anna odciągnęła go do tyłu.

- MTV nie jest tego warte - powiedziała. Gabriel zerknął na Roba.

- A ty, chłoptasiu?

- Nie mam zamiaru się z tobą bić, jeśli to masz na myśli

- odparł Rob. Patrzył na Gabriela z mieszkanką obrzydzenia i litości. - Proszę bardzo, weź sobie ten pokój, ty żałosny draniu.

Lewis wydał z siebie cichy jęk protestu. Gabriel wszedł do swojego nowego pokoju i zaczął zamykać drzwi.

- A tak przy okazji - rzucił, odwracając się w ich stronę

- niech nikt nie waży się tu wchodzić. Po tak długim *czasie* w celi człowiek chce mieć odrobinę przestrzeni dla siebie. Robi się zaborczy. Nie chciałbym, żeby komuś stała się krzywda.

Gdy zamykał drzwi, Kait rzuciła:

- Gabriel, jak ten anioł? - Słyszała sarkazm we własnym głosie.

Drzwi ponownie się otworzyły i Gabriel rzucił jej przeciągłe spojrzenie. A potem posłał jej wspaniałą, niepokojącą uśmiech.

- i możesz wpaść, kiedy tylko zechcesz - stwierdził. Tym razem drzwi zamknęły się na dobre.

- Coś takiego - oburzyła się Kaitlyn.

- Chryste - dodał Lewis. Anna tylko pokręciła głową.

- Gabriel Wolfe. Ale on wcale nie zachowuje się jak wilk, bo wilki są bardzo towarzyskie. Z wyjątkiem tych, które zostały wygnane ze stada. Jeżeli zostają wypędzone zbyt daleko, zaczynają wariować i atakować każdego, kto się do nich Buify.

- Ciekawe co on potrafi - zastanawiała się Kaitlyn. Zerknęła na Roba.

Ale on tylko pokręcił głową.

- Nie wiem. Spotkałem go w Karolinie Północnej, w Durham. Tam też jest podobny ośrodek.

- Jeszcze jeden? - Lewis wyglądał na zaskoczonego.

- Tak. Rodzice mnie tam zabrali, myśleli, że ktoś wreszcie wyjaśni im, co się ze mną dzieje. Jego rodzice pewnie myśleli podobnie. Ale on nie chciał współpracować. Chciał robić wszystko po swojemu, nie licząc się z innymi. Skończyło się na tym, że skrzywdził pewną dziewczynę...

Kait przyglądała mu się uważnie. Chciała zapytać: „Jak to skrzywdził?”, ale widząc jego zacięty wyraz twarzy, nie sądziła, by jej cokolwiek powiedział.

- To było ponad trzy lata temu - wyjaśnił Rob. - Po tym co się stało, Gabriel uciekł z ośrodka. Słyszałem, że włączył się od stanu do stanu, wpadając w coraz większe kłopoty. A raczej powodując coraz większe kłopoty.

- Świetnie - rzucił Lewis. - A my mamy z tym gościem mieszkać pod jednym dachem i to przez cały rok.

Anna uważnie patrzyła na Roba

- A tobie ten ośrodek pomógł?

- Pewnie. Pomogli mi zrozumieć, co potrafisz robić.

- A co właściwie potrafisz robić? - wtrąciła Kaitlyn, patrząc znacząco na niego i na swoją nogę.

- Zajmuję się uzdrawianiem - odpowiedział jasnowłosy chłopak. - Niektórzy nazywają to terapeutycznym dotykiem, a inni transferem energii. Próbuję pomagać ludziom.

Patrząc w jego spokojne złote oczy, Kaitlyn czuła się lekko zażenowana.

- Nie wątpię - odparła, jakby chciała powiedzieć „dziękuję”. Nie chciała, by pozostali wiedzieli, co się wcześniej między nimi wydarzyło. Czuła się dziwnie onieśmielona zarówno jego osobą, jak i swoją reakcją na niego.

- Myślę, że wszyscy to robimy - stwierdził Rob.. Jego uśmiech był zaraźliwy i trudno było mu się oprzeć.

- Cóż, staramy się - westchnęła Anna.

Kait zerknęła na Lewisa, który przyglądał mu się z szeroko otwartymi oczami, ale nic nie powiedział. Miała wrażenie, że podobnie jak ona wcale nie wykorzystywał swoich umiejętności, by pomagać innym.

- Słuchajcie - zaczął Lewis, chrząkając głośno. - Nie chciałbym zmieniać tematu, ale... czy mogę teraz wybrać pokój? Bo chciałbym...

Rob zajął do pomieszczenia, który wskazał Lewis, a potem do pozostałych dwóch.

Odwrócił się i spojrzał na Lewisa z wyrazem twarzy mówiącym „chyba żartujesz?”

Lewis wyraźnie upadł na duchu.

- Ale to już ostatni pokój, w którym jest kablówka. A ja potrzebuję MTV. Poza tym muszę podłączyć komputer i wieżę, i...

- Możemy więc zrobić tylko jedno - poradził Rob. - To będzie nasz wspólny pokój. W ten sposób każdy będzie mógł oglądać telewizję, na dole nie ma telewizora.

- Ale co wtedy zrobimy? - zapytał Lewis.

- Podzielimy się małymi pokojami - stwierdził krótko Rob.

Kaitlyn i Anna spojrzały na siebie z uśmiechem. Kaitlyn nie miała nic przeciwko, by dzielić pokój z Anną. Była nawet zadowolona, to tak jakby miała siostrę.

Lewis cały czas jęczał.

- Ale co z moim sprzętem stereo i całą resztą? To się nie zmieści w tym małym pokoju, szczególnie że są tam dwa łóżka,

- Dobrze - tłumaczył Rob nieprzejednanym głosem. - Podłącz sprzęt we wspólnym pokoju.

Wtedy wszyscy będziemy mogli słuchać muzyki. Chodźcie, musimy poustawiać meble.

Gdy Gabriel znalazł się w środku, dokładnie obejrzał pokój, chodząc w tę i z powrotem cichymi krokami.

Zajął w każdy kąt, do łazienki i do szaf. Pokój był duży i luksusowo urządzone, a balkon oferował możliwość szybkiej Ucieczki, jeżeli okazałby się to konieczne.

Podobało mu się.

Rzucił się na ogromne łóżko i zaczął rozmyślać, czy coś Jeszcze mogło mu się tu podobać.

Była oczywiście ta dziewczyna. Z oczami jak czarownica i włosami jak płomień. Mogła stanowić ciekawą odskocznia.

Ale nagle poczuł, jak coś ścisną go w środku. Zerwał się na równe nogi i zaczął spacerować po pokoju.

Będzie musiał dopilnować, żeby była jedynie odskocznia. Tego typu dziewczyna mogła okazać się zbyt interesująca i stanowić pokusę, by się zaangażować...

A to się już nigdy nie powtórzy.

Nigdy. Ponieważ...

Gabriel odrzucił od siebie tę myśl. Poza dziewczyną nie było nic, co mogłoby mu się podobać, było za to parę rzeczy, które mu się nie podobały. Kessler. Ograniczenie jego wolności, areszt domowy. Kessler. Ten cały głupi projekt. Kessler.

Gdyby chciał, mógłby coś z nim zrobić i raz na zawsze mieć go z głowy. Ale wtedy musiałby znowu uciekać, a gdyby go złapali, zamknęliby go w więzieniu, dopóki nie skończyłby dwudziestu pięciu lat. Nie było warto, przynajmniej na razie.

Poczeka i zobaczy, czy Kessler będzie bardzo wkurzający. To miejsce było całkiem znośne, a jak przetrwa w nim rok, zostanie bogaty. Z taką kupą forsy będzie mógł sobie kupić wolność, będzie mógł mieć wszystko, czego zapragnie. Poczeka i zobaczy.

A jeśli chodzi o eksperymenty, cóż, to się jeszcze okaże. Cokolwiek się stanie, to będzie ich problem. Ich wina.

Położył się na łóżku. Było jeszcze wcześnie, ale czuł się zmęczony. Po paru minutach już spał.

Kait i jej przyjaciele nie zrobili zbyt wiele do chwili, gdy Joyce zawołała ich na kolację. Kait spodobał się pomysł jedzenia

obiadu przy wielkim stole w jadalni wraz z piątką pozostałych osób. Piątką, ponieważ Gabriel nie wyszedł ze swojego pokoju, ignorując ich pukanie do drzwi. Czuli się tak, jakby była

częścią dużej rodziny i każdy wydawał się dobrze bawić. Może z wyjątkiem Marisol, która w ogóle się nie odzywała.

Po kolacji wrócili do urządzania pokoi. Było w czym wybierać, na korytarzu i w pokojach zgromadzono sporo mebli, każdy w innym stylu. W pokoju Kait i Anny znalazły się w końcu dwa niedopasowane łóżka, tani regał na książki z prasowanego drewna, piękny fotel w stylu francuskiej prowincji, wiktoriańskie biurko i nocna szafka, ta sama, która wcześniej zaatakowała Kait na korytarzu. Kaitlyn podobało się wszystko.

Rob ustalił, że łazienka pomiędzy małymi pokojami będzie należała do dziewczyn.

- Dziewczyny lubią być blisko swoich rzeczy - powiedział tajemniczo do Lewisa, który tylko wrzucił ramionami. Chłopcy mieli korzystać z łazienki we wspólnym pokoju. Kładąc się do łóżka, Kaitlyn czuła się szczęśliwa. Światło księżycy wpadało do pokoju przez okno za jej łóżkiem. Północne światło, zauważyła zadowolona. Świeciło wprost na piękny cedrowo-wiśniowy kosz, który Anna postawiła na regale, i maskę kruka zawieszoną na ścianie. Anna spokojnie oddychała, leżąc na drugim łóżku.

Kaitlyn wydawało się, że jej stare życie w Ohio zostało daleko w tyle, i była z tego powodu szczęśliwa.

Jutro niedziela, pomyślała. Joyce obiecała pokazać nam laboratorium, a potem może trochę porysuję. Później rozejrzemy się po mieście. A w poniedziałek pójdziemy do szkoły, a ja w końcu będę miała przyjaciół.

Co za cudowna myśl. Wiedziała, że Anna i Lewis będą chcieli jeść razem lunch. Miała nadzieję, że Rob również do nich dołączy. Jeśli chodzi o Gabriela, im dalej będzie się od nich trzymał, tym lepiej. Wcale go nie żałowała...

Jej myśli zaczęły dryfować. Lekki niepokój, który odczuwała z powodu pana Zetesa, zniknął. Szybko zasnęła.

Ale po chwili była już całkowicie rozbudzona. Nad jej łóżkiem pochylała się jakaś postać. Kaitlyn wstrzymała oddech. Czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Księżyc zniknął i nie widziała szczegółów postaci, a jedynie ciemny zarys.

Przez chwilę, nie wiedząc czemu, pomyślała: Rob? Gabriel?

Nagle przez okno wpadło delikatne światło. Dostrzegła aureolę mahoniowych włosów i pełne usta Marisol.

- Co się stało? - szepnęła, siadając na łóżku. - Co ty tu robisz?

Oczy Marisol przypominały dwie czarne dziury.

- Uważaj albo wynoś się stąd - syknęła.

- Co takiego?

- Uważaj... albo wynoś się stąd. Myślicie, że jesteście tacy mądrzy, tacy uzdolnieni, prawda? Lepsi od innych.

Kaitlyn nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Ale nic nie wiecie. To miejsce nie jest takie, jak myślicie. Widziałam tu różne rzeczy... - Pokręciła głową i się roześmiała. - Nieważne. Lepiej uważajcie... - Nagle urwała i obejrzała się za siebie. Kaitlyn widziała jedynie ciemny prostokąt drzwi, ale wydawało jej się, że na dole usłyszała jakiś hałas.

- Marisol, co...

- Zaniknij się. Muszę już iść.

- Ale...

Ale Marisol już wychodziła. Po chwili drzwi do pokoju Kaitlyn się zamknęły.

Rozdział 5

Następnego ranka Kait zdążyła zapomnieć o tajemniczej wizycie.

Obudził ją odległy dźwięk dzwonka i miała wrażenie, że jest bardzo późno. Zerknęła na zegar i stwierdziła, że jest siódma

trzydzieści, co znaczyło, że w Ohio było już w pół do jedenastej.

Dzwonek nie przestawał dzwonić i Anna również usiadła na łóżku.

- Dzień dobry - powitała ją z uśmiechem.

- Dzień dobry - odpowiedziała Kaitlyn. Cudownie było obudzić się obok współlokatorki. - Co to za hałas?

Anna przechyliła głowę.

- Nie mam pojęcia.

- Idę się dowiedzieć. - Kaitlyn wstała i otworzyła drzwi do łazienki. Dźwięk był teraz znacznie wyraźniejszy i towarzyszyły mu dziwne krzyki i tajemnicze buczenie.

Pod wpływem impulsu zapukała do pokoju Roba i Lewisa.

- Proszę, wejść. - Usłyszała głos Roba. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

Rob siedział na łóżku, a jego potargane jasne włosy przypominały lwią grzywę. Od pasa w górę był nagi, zauważyła Kaitlyn i przeszedł ją dreszcz. Na drugim łóżku leżała sterta koców, pod którą najprawdopodobniej znajdował się Lewis.

Kaitlyn nagle sobie uświadomiła, że ma na sobie jedynie sięgającą kolan koszulę nocną. Nie miała oporów, by paradować w niej po domu, dopóki nie zmierzyła się z rzeczywistością.

Wokół byli chłopcy.

Desperacko rozejrzała się po pokoju, szukając źródła hałasu. I wreszcie znalazła.

To była krowa. Porcelanowa krowa z zegarkiem w brzuchu. Z jej wnętrza wydobywał się równy, szorstki głos, który mówił z wyraźnym japońskim akcentem: „Wstawaj! Nie przesypiaj całego życia! Wstawaj!”

Kaitlyn popatrzyła na gadający budzik, a potem zerknęła na Roba, na którego twarzy pojawił się powolny, zaraźliwy, uśmiech i nagle wszystko było w porządku.

- To na pewno Lewisa - westchnęła Kait i zaczęła chichotać.

- Jest świetny, co nie? - Pod stertą koców usłyszeli przytłumiony głos. - Kupiłem go w Sharper Image.

- A więc tego mogę się spodziewać po moich współlokatorach - powiedziała Kait. - Buczenia z samego rana. - Oboje! Robem zaczęli się śmiać, aż w końcu Kait zdecydowała, że najwyższa pora zamknąć drzwi.

A potem zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Zazwyczaj nie spędzała zbyt dużo czasu przed lustrem, ale w tej chwili...

Jej włosy sięgające pasa były potargane, a na czole pojawiły się rozwichrzone, czerwone loczki. Otoczone tajemniczymi obwódkami oczy patrzyły na nią z sarkazmem.

I co, podobno nie zależy ci na chłopakach? - pytały. To czemu myślisz o tym, że następnym razem zanim wtargniesz do ich pokoju, powinnaś przynajmniej uczesać włosy?

Kaitlyn szybko ruszyła w stronę prysznicy i wtedy przypomniła sobie wizytę Marisol.

„Uważaj albo wynoś się... To miejsce nie jest takie, jak myślisz...”

Boże, czy to wydarzyło się naprawdę? W tej chwili wydawało jej się to tylko snem. Kaitlyn zamarła na środku łazienki, czując, jak opuszcza ją radość. Czy Marisol była wariatką? Tak, musiała mieć jakieś problemy psychiczne. Kto to słyszał, żeby zakradać się nocą do czyjegoes łóżka i straszyć ludzi.

Pomyślała, że musi o tym z kimś pogadać, ale nie wiedziała z kim. Jeśli powie Joyce, Marisol może mieć kłopoty. Zostałaby donosicielką, a co, jeśli to był jednak sen?

W blasku porannego słońca, słysząc wokół śmiech i pluskanie wody, *nie* mogła *uwierzyć*, że ostrzeżenie Marisol mogło być prawdziwe. Że w Instytucie naprawdę działo się coś złego.

Kiedy zeszła na śniadanie, Marisol była już w kuchni, ale na pytające spojrzenie Kait odpowiedziała ponurym milczeniem. A kiedy Kait grzecznie zapytała:

- Marisol, czy możemy porozmawiać?

Dziewczyna się skrzywiła, nie podnosząc wzroku znad soku pomarańczowego.

- Jestem zajęta.

- Ale... chodzi o wczorajszą noc.

Oczekiwała, że Marisol powie: „O czym ty mówisz?”, co by znaczyło, że jednak wszystko jej się przyśniło. Ale Marisol potrząsnęła jedynie swoją mahoniową czupryną i rzuciła:

- Aaa, o to chodzi. Nie zrozumiałaś? To był dowcip.

- Dowcip?

- Oczywiście - odparła szorstko Marisol. - Nie domyśliłaś się? Wy, telepaci, jesteście czasami tacy tępi. Nie zorientowałaś się?

Kaitlyn czuła, że zaraz wybuchnie.

- Przynajmniej nie zakradamy się do nikogo po nocy jak kompletne świry! - krzyknęła. - Następnym razem uważaj.

- Bo co? - szydziła Marisol.

- Bo... sama zobaczysz! - Ale w tym momencie inni zaczęli schodzić się na śniadanie, więc Kaitlyn nie musiała wymyślać konkretnej groźby. Wymamrotała jedynie: - Wariatka. - I chwyciła bułeczkę.

Wszyscy byli ożywieni, podobnie jak poprzedniego wieczoru przy kolacji. I znowu Gabriel się nie pojawił. Kiedy Joyce opowiadała im o zasadach panujących w domu i eksperymentach, które będą robić, Kaitlyn zapomniała o Marisol.

- Dziś rano zrobimy pierwszą serię testów, żeby rozpocząć wdrażanie - powiedziała Joyce. - Ale najpierw kto ma ochotę zadzwonić do rodziców, może to zrobić teraz. Kaitlyn, nie dzwoniłaś chyba wczoraj do taty?

- Nie, ale teraz będzie dobry moment, dziękuję - odpowiedziała Kait, z ulgą odchodząc od stołu. Gdy patrzyła na Roba w świetle poranka, ogarniało ją dziwne uczucie. Zadzwoiła do ojca z aparatu, który stał przy schodach.

- Dobrze się bawisz, skarbie?

- Tak - przytaknęła Kaitlyn. - Tato, tu jest ciepło i nie muszę wkładać swetra, gdy wychodzę. Wszyscy są bardzo mili, no,

ławie wszyscy. Przynajmniej większość. Nieważne, myślę, że będzie wspaniale.

- Masz dość pieniędzy?

- O tak. - Kaitlyn wiedziała, że przed jej wyjazdem ojciec wysupłał wszystko, co miał. - Dam sobie radę. Naprawdę.

- To świetnie skarbie, tęsknię za tobą. Kait zamrugnęła.

- Ja za tobą też. Muszę już kończyć, kocham cię.

W pomieszczeniu obok usłyszała głosy. Minęła schody i na niewielkim korytarzu pod podestem zobaczyła otwarte drzwi. Wszyscy byli już w środku.

- Wejdz - zachęciła ją Joyce. - To nasze frontowe laboratorium. Kiedyś był tu duży pokój. Właśnie oprowadzam wycieczkę.

* Sharper Image - amerykańska sieć sklepów specjalizujących się w sprzedaży nowoczesnej elektroniki i upominków (przyp. tłum.).

Laboratorium było zupełnie inne, niż Kait oczekiwała. Wyobrażała sobie białe ściany, lśniące urządzenia, płytki na podłodze i przyciszone głosy. Były tu wprawdzie jakieś urządzenia, ale stały tu też gustowny parawan, dużo wygodnych foteli i sof, dwa regały na książki i wieża, z której dolatywała muzyka w stylu New Age.

- Wiele lat temu udowodniono w Princeton, że najlepiej sprawdza się rodzinna atmosfera - tłumaczyła Joyce. - To tak jak w przypadku efektu obserwatora. Wiecie, trudno wykazać nadprzyrodzone zdolności, gdy badany czuje się niekomfortowo.

Tylne laboratorium, które powstało w miejscu, gdzie kiedyś był garaż, było bardzo podobne, z wyjątkiem tego, że znajdowało się tam metalowe pomieszczenie przypominające bankowy sejf.

- To pomieszczenie daje całkowitą izolację w trakcie eksperymentów - wyjaśniła Joyce. - Jest dźwiękoszczelne i można się w nim porozumiewać wyłącznie za pomocą słuchawki. Pełni również funkcję klatki Faradaya, zatrzymuje fale radiowe i wszelkie przekazy elektroniczne. Jak się kogoś tam umieści, można mieć pewność, że nie wykorzystuje zwyczajnych zmysłów, by uzyskać informacje.

- Mogę się założyć - wymamrotała pod nosem Kaitlyn, czując, że przesywa ją dreszcz. Z jakiegoś powodu to metalowe pomieszczenie wcale jej się nie podobało. - Ja... Nie chcecie mnie chyba tam zamknąć, co?

Joyce zerknęła na nią i roześmiała się. Jej oczy lśniły na jej opalonej twarzy.

- Nie, przynajmniej dopóki nie będziesz gotowa - powiedziała. - Wiesz co, Marisol? - odezwała się do stojącej za Kaitlyn studentki. - Przyrowadź Gabriela. On pójdzie na pierwszy ogień.

Marisol wyszła.

- Słuchajcie, pora rozpocząć przedstawienie! - zawołała wesoło Joyce. - To nasz pierwszy dzień eksperymentów, więc atmosfera będzie raczej nieformalna, ale chciałabym, żebyście się skoncentrowali. Nie proszę was, byście cały czas pracowali, ale żebyście dał z siebie wszystko.

Zaprowadziła ich do frontowego laboratorium. Annę i Lewisa posadziła po obu stronach pokoju przy czymś, co przypominało zwykłe stanowiska do pracy, z tym że było wyposażone w tajemniczo wyglądające urządzenia. Kaitlyn nie usłyszała wszystkich poleceń, ale po chwili oboje pograżyli się w pracy, nie zwracając uwagi na to, co się działo wokół.

- Gabriel już idzie - obwieściła Marisol, stając w drzwiach. - Są też ochotnicy. W niedzielny poranek udało mi się zorganizować tylko dwoje.

Ochotnikami okazali się Fawn, wyjątkowo piękna blondynka na wózku inwalidzkim, oraz Sid, chłopak z niebieskim Irokezem i kolczykiem w nosie. Typowy Kalifornijczyk, pomyślała z uznaniem Kait. Marisol zaprowadziła ich do tylnego laboratorium.

Joyce *poprosiła* Kait, by usiadła na kanapie przy oknie.

- Będziesz pracować z Fawn, ale na spółkę z Robem - powiedziała. - Chyba damy mu zacząć, więc możesz sobie trochę odpocząć.

Kaitlyn nie miała nic przeciwko. Czowała się zarówno podekscytowana, jak i zdenerwowana z powodu zbliżających się

testów. A jeśli nie będzie w stanie nic zrobić? Nigdy nie korzystała ze swojej mocy na zawołanie, z wyjątkiem tamtego „badania wzroku” zorganizowanego przez Joyce, ale wtedy nie wiedziała, że z niej korzysta.

- Posłuchaj, Rob - zaczęła Joyce, zakładając na palec Fawn ciśnieniomierz. - Zrobimy serię sześciu testów, każdy po pięć minut. Chcę, żebyś wyjął z pudełka kawałek papieru. Jeżeli na kartce będzie napisane „Podnieść”, spróbuj podnieść jej ciśnienie krwi. Jeśli będzie napisane „Obniżyć”, chcę żebyś je obniżył. Jeżeli będzie napisane „Bez zmian”, maszynie nie robić. Zrozumiałeś?

Rob spojrział na Fawn, a potem na Joyce i zmarszczył brwi.

- Tak proszę pani, ale...

- Mów mi Joyce. Będę zapisywać wyniki. Tylko nie zdradz, co było na kartce, po prostu rób to, co masz zrobić. - Joyce zerknęła na zegarek i skinęła w stronę pudełka. - Weź pierwszą kartkę.

Rob wyciągnął rękę, ale po chwili ją opuścił. Uklęknął przed jasnowłosą dziewczyną na wózku.

- Nogi bardzo ci dokuczają?

Fawn zerknęła na Joyce, a potem z powrotem na Roba.

- Cierpię na stwardnienie rozsiane. Zachorowałam dość wcześnie. Czasami mogę chodzić, ale teraz akurat jest dość ciężko.

- Rob... - zaczęła Joyce.

Ale Rob zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- Możesz podnieść tę nogę?

- Nie za wysoko. - Dziewczyna nieznacznie uniosła nogę i opuściła ją.

- Rob - powtórzyła Joyce. - Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś... Nie możemy zmierzyć czegoś takiego?'

- Przepraszam panią - powiedział cicho Rob, nie oglądając się za siebie. Po czym odezwał się do Fawn: - A ta? Możesz ją podnieść?

- Nie tak wysoko jak poprzednią. - Noga uniosła się trochę i opadła.

- Dobrze. A teraz się nie ruszaj. Możesz przez chwilę poczuć ciepło lub zimno, ale nie zwracaj na to uwagi. Rob wyciągnął rękę i chwycił dziewczynę za odsłoniętą kostkę. Joyce odchyliła głowę i spojrzała na sufit. Westchnęła i usiadła obok Kaitlyn.

- Mogłam się tego domyślić. - Odłożyła na bok zegarek i notes.

Kaitlyn obserwowała Roba.

Odwrócił głowę w jej stronę, ale było jasne, że jej nie widział. Wyglądało to tak, jakby chciał coś usłyszeć, a jego palce zwinnie przesuwają się po kostce Fawn.

Kaitlyn, zafascynowana, przyglądała się jego twarzy. Niezależnie od tego, co sądziła o chłopcach, jej artystyczna dusza nie dała się oszukać. Przypomniała sobie słowa, które kiedyś przeczytała: „Piękna, uczciwa twarz o oczach marzyciela”. I z zaciętą szczęką wojownika, dodała w myślach, rzucając Joyce rozbawione spojrzenie.

- I jak się czujesz? - Rob zapytał Fawn.

- Ja... Trochę to łąskocze - odezwała się dziewczyna z nerwowym uśmiechem. - Och!

- Spróbuj znowu podnieść nogę.

Tym razem Fawn uniosła stopę prawie dwadzieścia pięć centymetrów nad podłogę.

- Udało mi się - westchnęła. - Nie, to tobie się udało. - Wpatrywała się w niego wielkimi oczami, w których malowało się zdziwienie.

- Sama to zrobiłaś. - Rob się uśmiechnął. Oddychał bardzo szybko. - A teraz popracujemy nad drugą.

Kaitlyn poczuła nagłe ukłucie zazdrości.

Podobnie jak w Ohio, gdy słyszała, jak Marcy Huang planuje kolejną imprezę. Sposób, w jaki Rob koncentrował się na Fawn, a Fawn na niego patrzyła...

Joyce zachichotała.

- To samo widziałam u niego w szkole - odezwała się cichym głosem. - Wszystkie dziewczyny mdlały na jego widok, nie wiedziały, co się dzieje. Chłopak nie ma najmniejszego pojęcia, jaki jest seksowny.

O to właśnie chodzi, pomyślała Kait. On nic nie wie.

- Ale dlaczego? - wypaliła.

- Pewnie przez to, co wywołało u niego ten dar - powiedziała Joyce. - Przez wypadek.

- Jaki wypadek?

- Nic wam nie wspominał? Na pewno wszystko ci opowie, jeśli go zapytasz. Latał na paralołtni i spadł. Połamał niemal wszystkie kości i zapadł w śpiączkę.

- O Boże - jęknęła cicho Kait.

- Nikt się nie spodziewał, że przeżyje. Kiedy się obudził, okazało się, że ma swój dar, ale też różne braki. Na przykład nie ma pojęcia, o co chodzi z dziewczynami.

- Żartujesz. - Kaitlyn wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie. - Joyce się uśmiechnęła. — Jest bardzo niewinny, i to na wiele sposobów. Po prostu postrzega świat inaczej niż pozostali ludzie.

Kaitlyn zamknęła oczy. Oczywiście, to dlatego tak bezceremonialnie zagłąda dziewczynom pod sukienki. To wszystko wyjaśnia, z wyjątkiem tego, dlaczego na jego widok serce zaczynało jej szybciej bić. I dlaczego zabolęła ją myśl, że leżał pogrążony w śpiączce. I dlaczego nagle ogarnęła ją niemęła pokusa, by podbiec i odciągnąć go jak najdalej od pięknej Fawn.

Istnieje pewne słowo na określenie twojego stanu, drwił jej umysł. To...

Zamknij się, pomyślała Kaitlyn. Ale to nic nie dało. Już wiedziała.

- Wystarczy - odezwał się Rob. Usiadł na piętach i przetarł spocone czoło. - Jeżeli będziemy nad tym pracować co tydzień, chyba będę mógł ci pomóc. Chciałabyś?

Fawn powiedziała tylko:

- O tak. - Ale chodzi o sposób, w jaki to powiedziała, pomyślała Kait, i o pełne podziwu spojrzenie, które mu rzuciła. Na szczęście w tym momencie Joyce wstała z kanapy.

- Rob, może najpierw porozmawiajmy - wtręciła się Joyce.

Rob odwrócił się i spojrzał na nią łagodnym wzrokiem.

- Wiedziałem, że się zgodzisz - odparł.

Joyce wymamrotała coś pod nosem. A potem dodała:

- Jasne, coś wymyślimy. Może zrobisz sobie teraz przerwę, co? Fawn, jeżeli jesteś zbyt zmęczona na kolejny eksperyment...

- Skądże, czuję się świetnie - zaszczebotała radośnie Fawn. - Jestem gotowa na wszystko.

- Transfer energii - mruknęła Joyce, zdejmując ciśnieniomierz. - Będziemy musieli to zbadać.

- W tym momencie otworzyły się drzwi łączące oba laboratoria. - O co chodzi, Marisol?

- On nie chce współpracować - odparła Marisol. Za jej plecami stał Gabriel. Wyglądał wyjątkowo zabójczo i na swój sposób elegancko, ale patrzył na nich z chłodną pogardą.

- Dlaczego? - zapytała Joyce.

- Dobrze wiesz dlaczego - odpowiedział Gabriel. Musiał wyczuć na sobie wzrok Kait, bo nagle rzucił jej długie ponure spojrzenie.

Joyce położyła rękę na czole.

- W porządku, musimy o tym pogadać. Rob wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię.

- Pani... Joyce, nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Musisz być ostrożna...

- Dam sobie radę, Rob - zapewniła go Joyce tonem, który sugerował, że ma już dość. Poszła do drugiego laboratorium, zabierając ze sobą Marisol i Gabriela, i zamknęła za nimi drzwi.

Anna i Lewis obserwowali całą scenę ze swoich stanowisk pracy. Nawet Fawn wszystkim się przyglądała.

Kaitlyn zdobyła się na odwagę i spojrzała z bliska na Roba.

- Co to miało znaczyć? - zapytała, siląc się na obojętność.

Rob wydawał się bardzo zamyślony.

- Nie wiem, ale pamiętam, co stało się w Durham. Tam też próbowali robić z nim eksperymenty. - Pokręcił głową. - Zobaczymy się później - dodał cicho i wyszedł.

Kaitlyn była zadowolona, że się nie odwrócił, by spojrzeć na Fawn, ale i niepokieszona, że nie spojrzał nawet na nią.

Po paru minutach Joyce wróciła. Wyglądała na wykończoną.

- Na czym to stanęliśmy? Aha, Kaitlyn, twoja kolej.

O nie, tylko nie teraz, pomyślała Kaitlyn. Po ostatnich odkryciach związanych z Robem była obolała. Miała ochotę zaszyć się gdzieś w samotności i wszystko przemyśleć.

Joyce z roztargnieniem kartkowała jakiś folder.

- Ma być nieformalnie - mruzczała pod nosem. - Kaitlyn, chcę, żebyś tu usiadła. -

Zaprowadziła Kaitlyn za parawan, gdzie czekał na nią pluszowy rozkładany fotel. - Za chwilę poproszę cię, byś założyła słuchawki i opaskę na oczy. - To była dziwna opaska, wyglądała jak gogle zrobione z połówek piłki tenisowej.

- Co to jest?

- To uboga wersja osłony Ganzfeld. Próbuję zebrać pieniądze, żeby zrobić porządne pomieszczenie Ganzfeld, z czerwonym światłem i dźwiękiem stereo, i...

- Czerwonym światłem?

- Pomaga się zrelaksować, ale to nieważne. Głównym celem osłony Ganzfeld jest odcięcie cię od zwyczajnych zmysłów, żebyś mogła się skupić tylko na tych nadprzyrodzonych. Nic nie będziesz widzieć, bo na oczach będzie przepaska, i nic nie usłyszysz, bo na uszach masz słuchawki wypełnione białym szumem. To pomoże ci zobaczyć obrazy, które pojawią się twojej w głowie.

- Ale te obrazy nie powstają w mojej głowie - powiedziała Kait. - Tylko w moich rękach.

- Jasne. - Joyce się uśmiechnęła. - Niech się pojawiają, masz tu kartkę i ołówek. Nie musisz widzieć, żeby rysować. Niech ołówek porusza się, jak chce.

Kaitlyn wydawało się, że to czyste szaleństwo, ale w końcu Joyce była ekspertem. Usiadła i założyła opaskę. Wokół zrobiło się ciemno.

- Spróbujemy z jednym tylko obrazem docelowym - zaproponowała Joyce. - Fawn będzie się koncentrować na fotografii przedstawiającej jakiś przedmiot. A ty spróbuj dowiedzieć się, o czym myśli.

- Jasne - wymamrotała Kaitlyn, nasuwając na uszy słuchawki. Usłyszała dźwięk przypominający szum wodospadu. To musi być ten biały szum, pomyślała, opierając się wygodnie w fotelu.

Poczuła, jak Joyce wkłada jej do ręki ołówek, a na kolanach kładzie notes.

W porządku, rozluźnij się.

To nie było trudne. Wiedziała, że nikt nie widzi jej za parawanem. To dobrze, bo pewnie wyglądała strasznie głupio. Mogła się wyciągnąć i pozwolić myślom swobodnie dryfować. Ciemność i szum wodospadu były jak śliska zjeżdżalnia. Poczuła, że zjeżdża w dół... nie wiadomo dokąd.

I zaczęła się bać. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, ogarnął ją strach. Zacisnęła palce na ołówku.

Spokojnie, wyluzuj. Nie ma się czego bać...

Coś ścisnęło ją w żołądku i czuła, że zaczyna się dusić.

Dopuść do siebie obrazy. A jeżeli to były jakieś przerażające wizje, które tylko czyhały w ciemnościach, by zaatakować jej umysł...?

Poczuła nagły skurcz i swędzenie dłoni.

Joyce mówiła, że bym pozwoliła, by ołówek sam rysował. Ale Kaitlyn nie była pewna, czy tego chce.

Nieważne. Teraz już musiała rysować. Ołówek zaczął się poruszać.

Boże, nie mam pojęcia, co to będzie, pomyślała.

Najmniejszego pojęcia, z wyjątkiem tego, że to było coś przerażającego. Gdy próbowała wyobrazić sobie, co narysowała, widziała jedynie bezkształtną ciemną masę.

Muszę to zobaczyć.

Czuła, że dłużej nie zniesie napięcia w mięśniach. Lewą dłonią ściągnęła gogle i słuchawki.

Jej prawa dłoń wciąż się poruszała. Wyglądała jak odcięta ręka z jakiegoś filmu science fiction, nad którą jej umysł stracił kontrolę. Jakby ręka nie należała do niej. To było okropne.

A rysunek... rysunek był jeszcze gorszy. Wręcz groteskowy... Kreski były trochę krzywe. To była jej twarz. Jej własna twarz z dodatkowym okiem na czole. Oko przesłaniały gęste ciemne rzęsy, co nadawało mu owadzi wygląd. Było szeroko otwarte i niewiarygodnie obrzydliwe. Kaitlyn odruchowo dotknęła czoła, jakby chciała się upewnić, że nic tam nie ma.

Ale poczuła tylko skórę. Mocno potarła czoło.

To by było na tyle, jeśli chodzi o zdalne postrzeganie. Mogła się założyć, że nie o takim rysunku myślała Fawn.

Kaitlyn właśnie miała wstać i powiedzieć Joyce, że zepsuła eksperyment, gdy nagle usłyszała krzyk.

Rozdział 6

Krzyk był donośny, choć wydawał się dość odległy. Brzmiał trochę jak płacz dziecka. Jak gorączkowe, zdesperowane zawodzenie opuszczonego niemowlaka, z tym że był o wiele niższy.

Kait rzuciła notes, wyskoczyła z fotela i wybiegła zza parawan.

Joyce właśnie otwierała drzwi do tylnego laboratorium. Wszyscy stali w miejscu. Kait ruszyła za nią, ale w tym momencie krzyk ustał.

- Uspokój się! Uspokój! - krzyczała Marisol.

Stała przed chłopakiem z niebieskim irokezem, który wił się przy ścianie. Jego oczy miały szalony wyraz, usta miał otwarte, a po brodzie ciekła mu ślina. Chyba zaczął płakać.

- Jak długo? - zapytała Joyce, podchodząc do chłopaka z rozłożonymi rękoma, w geście, który miał oznaczać, że nie chce go skrzywdzić.

- Jakies czterdzieści pięć sekund - odparła Marisol.

- Boże - powiedziała Joyce.

- Co się stało? - wypaliła Kaitlyn. Nie mogła dłużej znieść płaczu chłopaka. - Co się tu dzieje? Co mu jest?

- Kaitlyn, proszę - jęknęła Joyce udręczonym głosem. Kaitlyn rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że drzwi do

metalowego pomieszczenia zaczęły się otwierać. Po chwili z pomieszczenia wyszedł Gabriel.

Na jego aroganckiej, przystojnej twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

- Ostrzegalem cię - odezwał się lodowatym głosem.

- "Ilen ochotnik jest telepatą - powiedziała Joyce słabym głosem.

- Najwyraźniej niewystarczającym - odparł Gabriel.

- Nic cię to nie obchodzi, co? - Kaitlyn aż podskoczyła, gdy usłyszała z tyłu głos Roba. Nie słyszała nawet, kiedy wszedł.

- Rob - zaczęła Joyce, ale w tym momencie chłopak z irokezem rzucił się do ucieczki, i urwała w pół słowa, by go powstrzymać.

- Powiedziałem, że nic cię to nie obchodzi - powtórzył Rob, stając naprzeciwko Gabriela. Kait pomyślała, że wyglądał jak złoty anioł zemsty, ale martwiła się o niego. W przeciwieństwie do Roba Gabriel był otoczony ponurym mrokiem. Był przecież w więzieniu i gdyby doszło do walki, na pewno nie zagrałby fair. Poza tym zrobił coś temu ochotnikowi. To samo może spotkać Roba.

- Nie pchałem się do tego eksperymentu - powiedział Gabriel przerażającym głosem.

- Nie, ale też go nie przerwałeś! - krzyknął Rob.

- Uprzedzałem ich.

- Mogłeś po prostu odmówić.
- A po co? Mówiłem im, co się może stać. Teraz to już ich problem.
- Teraz to również mój problem.

Stali twarzą w twarz, warcząc na siebie nawzajem, a w powietrzu czuć było napięcie. Kaitlyn nie mogła tego dłużej znieść.

- Uspokójcie się oboje! - wybuchła, podchodząc do nich. - Wasza kłótnia nikomu nie pomaga. W dalszym ciągu mierzyli się wzrokiem.

- Rob - zaczęła Kaitlyn. Serce jej waliło. Gdy się gniewał, był niewiarygodnie przystojny, ale wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie.

O dziwo, to nie Rob zareagował pierwszy. Gabriel odwrócił swój ciemny, zimny wzrok od twarzy Roba i spojrzał na Kaitlyn. Posłał jej niepokojący uśmiech.

- Nie martw się - rzekł. - Nie mam zamiaru go zabić, przynajmniej nie teraz. Naruszyłbym zasady mojego zwolnienia warunkowego.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i przeszedł ją dreszcz. Odwróciła się do Roba.

- Proszę.

- W porządku - powiedział powoli Rob. Wziął głęboki wdech i Kait poczuła, jak schodzi z niego napięcie. Zrobił krok do tyłu.

Wszyscy odczuli zmianę atmosfery i uspokoili się. Kaitlyn zdążyła zapomnieć o ochotniku, ale teraz zauważyła, że Joyce i Marisol zaprowadziły go na krzesło. Siedział z mocno pochyloną głową, niemal dotykając kolan.

- Człowieku co ty mi zrobiłeś? - mamrotał pod nosem.

- Co mu zrobiłeś? - zapytał Rob. Kaitlyn umierała z ciekawości, ale chciała uniknąć kolejnej konfrontacji.

Gabriel spojrzał na Roba ponurym, niemal zgorzkniałym wzrokiem.

- Może któregoś dnia sam się dowiesz - odparł znacząco, jakby rzucał groźbę.

W tym momencie Kaitlyn usłyszała z frontowego laboratorium niepewny głos Lewisa:

- Joyce. Przyjechał pan Zetes.

- O rany - jęknęła Joyce, prostując się.

Kaitlyn wcale się nie zdziwiła. Eksperymenty przerwane, wszyscy stoją bezradnie, a jeden z ochotników wije się z bólu na podłodze... To jak wizytacja dyrektora szkoły, w najmniej oczekiwanym momencie, gdy w klasie panuje kompletny chaos.

Pan Zetes znowu miał na sobie czarny płaszcz i ponownie towarzyszyły mu dwa psy.

- Jakież kłopoty? - zapytał Joyce, która szybkim ruchem wygładziła krótkie włosy.

- Niewielkie. Gabriel miał pewien problem...

- Wygląda na to, że ten młody człowiek również - rzucił sucho pan Zetes. Podszedł do chłopaka z irokezem, spojrzał na niego, a potem na Joyce.

- Właśnie miałam dzwonić po karetkę - zaczęła Joyce. - Marisol, możesz...

- Nie ma takiej potrzeby - przerwał jej pan Zetes. - Zawiozę go moim samochodem. -

Odwrócił się i spojrzał na Gabriela, Roba i Kait, którzy cały czas stali obok stalowego pomieszczenia. - Pozostali mogą zrobić sobie przerwę - dodał.

- Iak, możecie już iść. Na dzisiaj koniec eksperymentów - westchnęła Joyce. Nadal była wzburzona. - Marisol może odprowadzisz Fawn do domu? I... dopilnuj, żeby nic już jej nie zdenerwowało.

Marisol wyszła do frontowego laboratorium, nie zmieniając posępnego wyrazu twarzy.

Gabriel również ulotnił się jak wilk. Rob zawahał się, cały czas przyglądając się chłopakowi.

- Może mógłbym jakoś pomóc...

- Dziękuję, nie trzeba. Jeżeli chcecie zjeść lunch, w lodówce jest wędlina - powiedziała Joyce w taki sposób, że Rob nie miał wyboru i musiał wyjść.

Kaitlyn ruszyła za nimi, ale na chwilę zatrzymała się przy drzwiach. Tak naprawdę była zwyczajnie ciekawa. Chciała zobaczyć, czy pan Zetes nawrzeszczy na Joyce.

Ale zamiast tego zapytał tylko:

- Jak długo?

i Około czterdziestu pięciu sekund.

- Ach. - W jego głosie pojawiło się uznanie.

, Kaitlyn zdążyła jeszcze zauważyć, jak pan Zetes w zamyśleniu stuka o podłogę laską, a potem nie miała wyjścia i musiała zamknąć drzwi.

Gabriel zniknął, a Marisol i Fawn właśnie wychodziły. Marisol miała ponury wyraz twarzy, a Fawn cały czas wpatrywała się w Roba, który zagryzł usta. Lewis patrzył to na jedną, to na drugą dziewczynę, a Anna głaskała białą myszkę, którą trzymała w dłoni.

- Skąd ją masz? - zapytała Kaitlyn, czując, że najwyższa pora przerwać *ciszę*.

- Brała udział w moim eksperymencie. Widzisz? W tym pudełku są różne otwory, a ja miałam ją nakłonić, by weszła do któregoś z nich. Tego, który wskazuje monitor.

- W otworach są pewnie jakieś czujniki, które rejestrują, czy ci się udało - zauważył Lewis, podchodząc bliżej.

Anna pokiwała głową, spoglądając ponad jego ramieniem.

- Nie martw się, Rob - dodała. - Joyce i pan Zetes na pewno mu pomogą. Wszystko będzie dobrze.

- Iak, ale czy pan Zetes poradzi sobie z Gabrielem? - rzucił Lewis. - Oto jest pytanie.

Kaitlyn uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Pan Zetes?

- Jasne. Uważam, że nie powinno go tu być - stwierdził w zamyśleniu Rob. - Gabriela. On sprowadza tylko kłopoty.

- Chyba oszaleję, jeśli nie dowiem się, co on potrafi robić - odezwała się Kaitlyn. - Obawiam się, że Joyce nic nam nie powie.

- Gabriel ma prawo do swojej prywatności - powiedziała łagodnie Anna, odkładając mysz do klatki. - Powinniśmy się czymś zająć, żeby o tym nie myśleć. Mamy wolne popołudnie.

Możemy pójść do miasta albo skończyć urządzić wspólny pokój.

Towarzystwo Anny jak zwykle uspokoiło Kaitlyn. Spokój, który bił od Indianki, wypełniał całe pomieszczenie.

- Skończmy najpierw pokój - zdecydowała Kaitlyn. - Możemy tam zjeść lunch, zrobię jakieś kanapki.

- Pomogę ci - zaproponował Rob, a Kaitlyn poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Co mam mówić, co mam mówić? - myślała gorączkowo w kuchni. Lewis i Anna poszli na górę i została z Robem zupełnie sama.

Przynajmniej jej ręce wiedziały, co robić. Często robiła posiłki dla ojca i teraz z wielką wprawą odkręcała słoiki z musztardą, kroila wędlinę. Wszystko było typowo kalifornijskie: drobiowe wędliny, salami z niewielką zawartością tłuszczu i alpejski ser.

Rob pracował równie szybko, ale wydawał się nieco oderwany, jakby myślami był w zupełnie innym miejscu.

Kaitlyn nie mogła dłużej znieść panującej wokół ciszy. W końcu rzuciła, jakby od niechcenia:

- Czasami zastanawiam się, czy to faktycznie dobry pomysł, żebyśmy rozwijali swoje umiejętności. Wystarczy spojrzeć na Gabriela.

Powiedziała to, bo miała wrażenie, że Rob się z nią zgodzi. Ale on tylko pokręcił głową.

- Nie, to co robimy jest dobre. To jest ważne dla całego świata. Gabriel musi tylko nauczyć się kontrolować, a to nie jest jego mocna strona. A może on tego po prostu nie chce. - Rob znów pokręcił głową, przygotowując kanapkę z pełnoziarnistego chleba. - Uważam jednak, że każdy powinien rozwijać swój talent. Czy wiesz, że większość ludzi ma nadprzyrodzone zdolności?

Kaitlyn zaprzeczyła.

- Myślałam, że jesteśmy wyjątkowi.

- Bo my mamy ich więcej. Ale każdy człowiek posiada jakieś zdolności. Gdyby każdy mógł nad sobą popracować... nie rozumiesz? Wszystko byłoby lepsze.

- Chodzi ci... o sytuację na świecie? Przytaknął.

- Ludzie nie troszczą się o siebie. Wiesz, kiedy przesyłam energię, czuję ból. Gdyby każdy mógł to poczuć, byłoby zupełnie inaczej. Nie byłoby morderstw ani tortur, bo nikt nie chciałby sprawiać innym bólu. Serce Kaitlyn nagle podskoczyło do góry. Jej także „przesłał energię”, czy to znaczy, że się do niej zbliżył?

- Nie każdy z nas może być uzdrowicielem - westchnęła łagodnie.

- Ale każdy ma jakiś talent. Każdy może jakoś pomóc. Kiedy skończę studia, chciałbym robić to, co Joyce i zaangażować w to wszystkich. Wszystkich na całym świecie.

Kaitlyn była oszołomiona jego wizją.

- Chcesz ocalić świat?

- Jasne. Chcę zrobić tyle, ile mogę - powiedział tak, jakby mówił: „Jasne, chcę zrobić tyle, ile mogę dla recyklingu”.

Boże słodki, pomyślała Kait, wierzę mu.

W tym chłopaku o złotych rozmarzonych oczach i cichym głosie, było coś, co wzbudzało jej szacunek. Ktoś taki jak on pojawia się niezwykle rzadko. Ktoś taki naprawdę może coś zrobić.

Tak przynajmniej myślała. A czuła... No cóż...

W każdym razie, nie ma co z tym dłużej walczyć, pomyślała, gdy zanieśli na górę kanapki. Całe popołudnie spędzili na przesuwaniu mebli, kłótniach i układaniu sprzętu, a Kait ciągle rozmyślała o swoim odkryciu. To było zarówno przyjemne, jak i bolesne, tak samo jak przyjemne i bolesne było samo patrzenie na Roba i przebywanie w jego towarzystwie.

Nigdy w życiu nie uwierzyłaby, że może się zakochać po jednym dniu znajomości.

A tak się właśnie stało. I z każdą kolejną chwilą spędzoną w jego towarzystwie jej uczucie robiło się coraz silniejsze. Gdy był w tym samym pomieszczeniu, nie potrafiła się na niczym skupić, gdy na nią spoglądał, serce biło jej mocniej, głos jej drżał, a kiedy wypowiadał jej imię...

Zanim nadeszła pora obiadu, była już całkowicie ugotowana. ..

Najdziwniejsze, że teraz, kiedy już przyznała się do tego przed samą sobą, chciała z kimś o tym pogadać. Wyjaśnić, jak się czuła, i podzielić się swoim odkryciem.

Anna, pomyślała.

Jak tylko Anna poszła do pokoju, żeby się umyć przed obiadem, Kait ruszyła za nią.

Zamknęła drzwi i pobiegła do łazienki, żeby odkręcić kran.

Anna siedziała na łóżku, czesząc swoje długie czarne włosy.

- A to po co? - zapytała rozbawiona.

- Żeby nikt nas nie słyszał - odpowiedziała poważnie Kait. Usiadła na łóżku, chociaż cały czas ją nosiło. - Słuchaj, możemy pogadać?

- Oczywiście.

Oczywiście, że mogła. Kaitlyn nagle zdała sobie z tego sprawę.

- To dziwne. W domu nie miałam przyjaciółki, z którą mogłabym naprawdę pogadać. Tylko nie wiem, od czego zacząć - dodała nagle, bo właśnie dotarło to do niej.

Anna uśmiechnęła się, a Kaitlyn poczuła, że ogarnia ją spokój.

- Czy to ma coś wspólnego z Robem?

- O Boże! - krzyknęła Kaitlyn i zeszywniała. - To jest aż tak oczywiste? Myślisz, że on coś wie?

- Nie... ale ja jestem dziewczyną, pamiętasz? Zauważam to, czego nie widzą chłopcy.

- No właśnie, w tym problem - wymamrotała Kaitlyn, opierając się o łóżko. - Mam wrażenie, że on nigdy nie zauważy.

- Słyszałam, co mówiła Joyce.

Kaitlyn odetchnęła. Przynajmniej nie będzie musiała powtarzać tej historii i rozsiewać plotek.

- To wiesz, że sprawa wygląda beznadziejnie - powiedziała.

- Wcale nie beznadziejnie. Musisz tylko sprawić, by cię zauważył, to wszystko. On cię lubi, ale jeszcze o tym nie wie.

- Myślisz, że mnie lubi?

- Oczywiście. Jesteś piękną dziewczyną i każdy normalny chłopak od razu by cię zauważył. Ale w przypadku Roba będziesz musiała się nieco bardziej wysilić.

- To co mam zrobić, zdjęć przed nim bluzkę?

- Miałam na myśli coś mniej radykalnego.

- Myślałam już o różnych rzeczach - przyznała Kaitlyn. - Całe popołudnie nad tym rozmyślałam... Chciałabym go wkręcić w jakąś romantyczną sytuację, ale nie wiem, czy powinnam. To byłoby oszustwo, co?

Anna uśmiechnęła się i był to niezwykle mądry uśmiech, pomyślała Kait.

- Widzisz tamtą maskę? - zapytała Anna, wskazując na ścianę. - To jest Skauk, Kruk. Był duchem czuwającym nad moim pradziadkiem. A kiedy przybyli misjonarze i nadali mojej rodzinie nazwisko „Biały”, to on dołączył jeszcze słowo „Kruk”, żebyśmy zawsze pamiętali, kim jesteśmy. Przyjaciółmi Kruka-Oszusta.

Kaitlyn zafascynowana przyglądała się masce ptaka z długim tępym dziobem.

- Kruk zawsze robił wszystko dla własnego dobra, ale to również było dobre dla innych. Na przykład wtedy, gdy ukradł słońce.

Kaitlyn uśmiechnęła się, czując, że zapowiada się długa opowieść.

- Co zrobił?

- Ukradł słońce - powiedziała poważnie Anna, ale oczy jej się śmiały. - Szary Orzeł miał słońce, ale tak bardzo nienawidził ludzi, że trzymał je w swoim domu i wszyscy żyli w ciemnościach. Kruk chciał zdobyć słońce dla siebie, ale wiedział, że Szary Orzeł nigdy nie pozwoli wejść mu do środka. Zmienił się więc w śnieżnobiałego ptaka i namówił córkę Szarego Orła, by go wpuściła.

- Aha - powiedziała Kaitlyn. Oczy Anny cały czas się śmiały.

- Jak tylko to zrobiła, Kruk złapał słońce i odfrunął, ale Szary Orzeł podążył za nim. Kruk się przestraszył i upuścił słońce... które wylądowało na niebie i od tej pory świeci dla wszystkich ludzi.

- Ładna historia - powiedziała Kaitlyn.

- Jest mnóstwo historii o Kruku. Ale chodzi o to, że czasami małe oszustwo nie zaszkodzi. - Anna spojrzała na Kaitlyn swoimi ciemnymi oczami. - Szczególnie, gdy chodzi o facetów. Kaitlyn wstała. Była niezwykle podekscytowana.

- W takim razie zrobię to! Jeżeli tylko uda mi się coś wymyślić...

- Najpierw się umyj - roześmiała się Anna. - W tej chwili jedyne co zauważy, to twój brudny nos.

Kaitlyn nie tylko się umyła, ale i przebrała. Spięła nawet włosy złotą spinką, ale nie zauważyła, by stosunek Roba do niej jakoś diametralnie się zmienił. Obiad był jednak pewnym wydarzeniem, ponieważ pojawił się na nim Gabriel.

- No proszę, on jednak coś je - Kaitlyn szepnęła Annie do ucha, podając jej miskę z brązowym ryżem. - A już zaczynałam się zastanawiać.

Po obiedzie Gabriel znowu zniknął, a Lewis i Rob udali się do wspólnego pokoju, który w końcu nazwali pokojem do nauki, chociaż Kaitlyn wątpiła, by ktokolwiek mógł się w nim uczyć. Nie przy rozkręconej na cały regulator muzyce U2, która na dodatek konkurowała z horrorem w telewizji. To jednak zupełnie nie przeszkadzało Annie, która zaszyła się we wnęce z książką w rękę. Kaitlyn czuła, że musi się wymknąć.

Chciała pobyć sama, nie tylko z powodu Roba, ale też dlatego że jutro zaczynała się szkoła. Nowa szkoła i nowe możliwości. Czuła w głowie mętlik, na niczym nie mogła się skupić. Ale przede wszystkim chciała rysować.

I nie chodziło o rysunki pozazmysłowe, tylko zwyczajne rysowanie, które zawsze pomagało jej ukoić nerwy. Tak naprawdę nie robiła tego już od dwóch dni.

Przypomniała sobie o rysunku, który namalowała wcześniej w laboratorium. Pewnie zostawiła go za parawanem. Będzie musiała po niego pójść. Nie chciała, by ktokolwiek go widział.

- Niedługo wrócę - rzuciła, wychodząc z pokoju. Zatrzymała się na chwilę, kiedy wszyscy odpowiedzieli jej „cześć”. To było jej marzenie. W końcu miała przyjaciół.

Ale rysunku nie było w laboratorium. Wymknęła się tylnym wyjściem, mając nadzieję, że ktoś go po prostu wyrzucił.

Wzięła ze sobą szkicownik i kawałek węgla drzewnego, bo na dworze było już zbyt ciemno, by odróżniać kolory. Ale blask księżyca oświetlał drzewa, a powietrze było orzeźwiające i przyjemnie chłodne.

Teraz jest trochę jak zimą, pomyślała. Wszystko było srebrne i ukryte w cieniu. Na tyłach domu znajdowała się ścieżka, która prowadziła w dół skarpy do kępy sekwoi. Kaitlyn ruszyła w dół.

U podnóża skarpy był niewielki, niemal wyschnięty strumyk, nad którym znajdował się betonowy most. Droga wyglądała na nieużywaną. Kaitlyn stanęła pomiędzy drzewami, wdychając wieczorne powietrze i zapach sekwoi.

Co za wspaniałe miejsce. Drzewa zasłaniały światła z domu i nie docierała tu nawet muzyka U2. Kaitlyn czuła, że jest zupełnie sama.

Usiadła na betonowym krawężniku, rozkładając na kolanach szkicownik.

Światło księżyca było wspaniałe, ale zbyt słabe, żeby porządnie rysować. Cóż, pomyślała Kaitlyn, w końcu Joyce chce, żebym rysowała na ślepo. Lekkimi, płynnymi ruchami naszkicowała kształt sekwoi stojących po drugiej stronie strumienia. Rysowanie samego kształtu, bez żadnych szczegółów, było dla niej ciekawym doświadczeniem.

Jakie spokojne miejsce. Kaitlyn narysowała krzak.

Czuła się o wiele lepiej. Dodała ciemną, krętą linię strumyka.

W taką noc jak ta można uwierzyć w magię. Dorysowała jeszcze kilka kamieni i wtedy usłyszała jakiś dźwięk.

Głuchy odgłos. Jakby ktoś spadł z drzewa, pomyślała Kaitlyn, nieruchomiejąc.

Albo zeskoczył.

To dziwne, ale od razu wyczuła, że chodzi o człowieka. To nie było zwierzę i z całą pewnością nie był to naturalny dźwięk.

Ktoś tam był.

Rozejrzała się wokół, poruszając jedynie głową. Była spostrzegawcza i idąc w tę stronę, zapamiętała kształt drzew i krzaków. Powinna rozpoznać różnicę.

Ale nie dostrzegła niczego nowego i nic nie usłyszała. Ktokolwiek tam był, nie odzywał się. To nie było śmieszne. To wcale nie był głupi kawał. Kiedy ktoś się ukrywa i nie wiesz, gdzie jest. Kiedy czujesz na sobie czyjś wzrok, ale nie wiesz czyj, to wcale nie jest zabawne. Jej dłonie zrobiły się lodowate i coś ścisnęło ją w gardle.

Wstań i odejdz. Teraz, pomyślała.

Zdołała zrobić dwa kroki, gdy pomiędzy drzewami zauważyła jakiś ruch. Z cienia drzew wyłonił się człowiek.

Kaitlyn była gotowa do ucieczki albo walki, ale musiała sprawdzić, kto to był. Czuła, że nie zdoła się ruszyć z miejsca, dopóki nie zobaczy jego twarzy.

Obcy się zbliżał. Jego bury chrzęściły na suchych liściach. Światło księżycy oświetliło jego twarz, ukazując skośne oczy i miękkie kręcone włosy. To był mężczyzna, który zaatakował ją na lotnisku.

Tym razem nie miał na sobie czerwonych szat, a zwyczajne ubranie. I szybkim krokiem się do niej zbliżał.

Rozdział 7

Walcz, zdecydowała Kait, a raczej zdecydowało za nią jej ciało, które instynktownie wyczuło, że nie da rady wbiec na górę.

Szkicownik spięty był spiralnym drutem, który na jednym końcu był trochę poluzowany i już od tygodni jej przeszkadzał.

Rzuciła na ziemię węgiel i podniosła szkicownik, gotowa do ataku.

Celuj w oczy, pomyślała.

Wiedziała, że powinna teraz krzyżeć, ale miała ściśnięte gardło.

To wszystko przeleciało jej w głowie w ciągu tych kilku sekund, kiedy mężczyzna się do niej zbliżał. Nie brała udziału w bójce od czasów podstawówki, ale jej ciało doskonale wiedziało, co robić. Mężczyzna chwycił ją za ramię, ale Kaitlyn się wyrwała.

Teraz, pomyślała, chwytając za szkicownik. Udało się, drut wbił się w policzek mężczyzny, zostawiając długą, zakrwawioną szramę.

Ogarnęło ją uczucie triumfu. Ale już po chwili mężczyzna wykręcił jej nadgarstek i próbował ją zmusić, by rzuciła szkicownik. To bolało, a ból sprawił, że odzyskała głos.

- Puść mnie - jęknęła. - Puść!

Ale on jeszcze mocniej wykręcił jej rękę. Po policzku spływała mu krew, która w blasku księżycy wydawała się czarna. Kaitlyn próbowała go kopnąć, ale mężczyzna odwrócił się, unikając jej ataku. Złapał ją za rękę i popchnął na ziemię. Miał przewagę.

Krzycz, usłyszała w głowie rozkaz.

Kaitlyn wzięła głęboki wdech i krzyknęła. Ale mężczyzna natychmiast zatkał jej usta.

- Zamknij się - wyszeptał wściekle.

Kaitlyn spojrzała na niego, wiedząc, że w oczach ma strach. Mężczyzna był bardzo silny i o wiele cięższy od niej, nie mogła się ruszyć.

- Jesteś taka lekkomyślna - syknął nieznajomy. Księżyc był za jego plecami, więc jego twarz ukryta była w cieniu, ale Kaitlyn czuła jego gniew.

On mnie zabije. I nigdy nie dowiem się dlaczego, pomyślała. Ogarnęło ją przerażenie, a na ustach cały czas czuła jego dłoń. Coraz trudniej było jej oddychać...

Nagle za mężczyzną pojawił się jakiś kształt.

Kait była tak oszołomiona, że początkowo nie miała pojęcia, co się dzieje. Na tle rozświetlonego księżycowym blaskiem nieba zauważyła jakiś niewyraźny cień. Potem dostrzegła kształt człowieka, który trzymał w ręku błyszczący przedmiot.

Cień poruszył się z taką szybkością, że Kait ledwo nadążyła za nim wzrokiem, ale nagle nieznajomy nieznacznie się cofnął. Światło księżycy odbiło się od ostrza noża.

- Puść ją - usłyszała urywany szorstki głos - albo poderżnę ci gardło.

Gabriel? Kait nie mogła w to uwierzyć. Ale tak było. Dopiero teraz jej przerażone zmysły zrozumiały, co się stało. Gabriel przyłożył mężczyźnie nóż do gardła.

Obcy puścił Kaitlyn, która, charcząc, próbowała nabrać powietrza.

- A teraz wstań - odezwał się Gabriel. - Ale zrób to powoli i spokojnie. Jestem dziś w kiepskim nastroju.

Mężczyzna szybko, zwinnym ruchem stanął na nogi, jakby był tancerzem. Ale Gabriel cały czas trzymał nóż przy jego gardle.

Jak tylko nieznajomy się podniósł, Kaitlyn zrobiła to samo. Wykonała dwa chwiejne kroki pod górę. Drżała na całym ciele i trzęsły jej się ręce.

Muszę pomóc Gabrielowi, pomyślała. Udaje twardziela, ale tamten to dorosły facet. Na dodatek silny.

- Chcesz, żebym pobiegła do domu i powiedziała, co się stało? - wydyszała, starając się, by jej głos brzmiał twardo i pewnie.

- Po co? - zapytał krótko Gabriel. Wykonał gwałtowny ruch i mężczyzna zakręcił się, i wylądował na plecach na twardej ziemi.

- Wynos się - rzucił, spoglądając na leżącą w dole postać. & I nigdy więcej nie wracaj, jeśli ci życie miłe. Jeżeli kiedykolwiek cię tu zobaczę, zapomnę o tym, że właśnie odsiedziałem dwa lata za *morderstwo*.

Kait poczuła się tak, jakby poraził ją prąd. Ale zanim zdążyła o tym pomyśleć, Gabriel znowu się odezwał:

- Powiedziałem, zmiataj stąd. Chcę zobaczyć nowy rekord świata na tysiąc pięćset metrów.

Mężczyzna wstał, ale tym razem w jego ruchach nie było już tej płynności i wdzięku co poprzednim razem. Kait zauważyła na jego twarzy zarówno gniew, jak i strach.

- Jesteście tacy głupi... - zaczął.

- Spadaj - powtórzył Gabriel, trzymając nóż w taki sposób, jakby chciał nim rzucić.

Nieznajomy odwrócił się i odszedł. Po chwili zaczął biec, choć był wyraźnie wściekły.

Kiedy jego kroki ucichły, Kaitlyn spojrzała na Gabriela, który jednym sprawnym ruchem złożył nóż i schował go do tylnej kieszeni.

Morderstwo, pomyślała. Był w więzieniu za morderstwo.

- Dziękuję - odparła niepewnym głosem.

Gabriel rzucił jej szybkie spojrzenie i mogła przysiąc, że wydawał się rozbawiony. Jakby doskonale zdawał sobie sprawę z różnicy pomiędzy tym, co mówiła, a tym, co naprawdę myślała.

- Kto to był? Były chłopak? - zapytał.

- Nie bądź śmieszny - warknęła Kait i od razu pożałowała swoich słów. Gdy przebywa się w towarzystwie mordercy, lepiej być dla niego miłym, szczególnie, gdy jest się z nim sam na sam w ciemnościach. - Nie wiem, kim *on* jest - dodała. - Ale był na lotnisku, kiedy wczoraj przyleciałam. Musiał nas śledzić.

Gabriel przyglądał się jej sceptycznie, po czym wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, by szybko wrócił. - I ruszył w stronę domu, nie oglądając się za siebie. Kaitlyn podniosła szkicownik i poszła za nim.

- Co się stało? - zapytał Rob, wstając na równe nogi. Był razem z Lewisem, Anną i Joyce w pokoju do nauki. Kaitlyn szukała Joyce na dole, a potem przyszła na górę.

Rob spojrzał na Kaitlyn, która właśnie zdała sobie sprawę, że ma we włosach suche liście i trawę, a potem na Gabriela, który stał za nią.

- Co się stało? - powtórzył bardziej opanowanym, ale i groźniejszym głosem.

- A jak myślisz? - drażnił go Gabriel.

Rob ruszył w jego stronę, a jego złote oczy wydawały się płonąć.

- Nie - wtrąciła się Kaitlyn. - Rob, przestań. On mi nic nie zrobił, on mnie uratował.

Poczuła radosne podniecenie. Rob był z jej powodu wściekły i chciał ją chronić. Ale nie mogła pozwolić, by wszczywał bójki z Gabrielem.

- Uratował cię? - zapytał Rob z wyraźną pogardą w głosie. Stał po drugiej stronie drzwi, wpatrując się w Gabriela w taki sposób, jakby chciał wywiercić mu dziurę w brzuchu. Gabriel

stał po drugiej stronie, opierając się leniwie o ścianę. Wyglądał niewiarygodnie przystojnie. Kait stała pomiędzy nimi.

Zwróciła się do Joyce, która właśnie podnosiła się z kanapy:

- To był ten facet z lotniska. Czekał na zewnątrz. - Wyjaśniła, co się stało, a na twarzy Joyce widać było rosnące przerażenie.

- Chryste, chyba powinniśmy powiadomić policję - powiedział Lewis, gdy skończyła.

Wydawał się nie tyle przerażony, ile zafascynowany.

- On ma rację - poparła go Anna, a jej ciemne oczy wyglądały bardzo poważnie.

- Jasne, zadzwońcie po nich - szydził Gabriel. - Dopiero co zostałem warunkowo zwolniony, a oni wprost uwielbiają, gdy tacy jak ja paradują z nożami w kieszeni.

Joyce się skrzywiła. Zamknęła oczy i zaczęła wykonywać jakieś rozluźniające ćwiczenia.

Kaitlyn poczuła, że nogi się pod nią ugięły. Gabriel mógł mieć poważne kłopoty, mógł nawet wrócić do więzienia. Eksperymenty z jego udziałem przejdą do historii, a on nie nauczy się kontrolować swojej mocy. A wszystko dlatego, że jej pomógł.

Za to Rob wyglądał na zadowolonego.

- Tak czy siak, musimy to zgłosić.

- Świetnie. Dajcie mi jakieś dziesięć minut, żebym się wyniósł - wycodził Gabriel przez zaciśnięte zęby.

- Uspokójcie się oboje - westchnęła Kaitlyn. Niełatwo być zakochaną. Nie chciała unieszczęśliwić Roba, ale nie miała innego wyjścia. - Mam pomysł - dodała niepewnie. - Możemy zadzwonić na policję, ale nie mówić im, że Gabriel brał w tym udział. Powiem, że sama uciekłam i tyle. Wtedy nikt nie będzie miał kłopotów, a policja będzie mogła się tym zająć.

Uśmiech Roba zbladł, a Gabriel wciąż rzucał wokół gniewne spojrzenia. Ale Joyce otworzyła oczy i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Świetnie, Kait - rzuciła. - Gdzie jest telefon?

Gabriel nie czekał, by usłyszeć co było dalej.

Poszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Był wykończony, ale też zbyt niespokojny, by usiedzieć w miejscu. Zaczął więc chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Przez głowę przewijało mu się mnóstwo obrazów. Kaitlyn leżąca na ziemi, a na niej jakiś psychol. Co by się stało, gdyby wtedy nie przyszedł?

Psychol miał rację co do jednego, była lekkomyślna. Nie powinna sama wychodzić w nocy.

Nie potrafiła wyczuć niebezpieczeństwa i nie była wystarczająco silna, by się bronić...

I co z tego...? - zapytał sam siebie. Zamierzasz ją teraz chronić?

Na jego twarzy pojawił się niepokojący uśmiech. Niezupełnie.

Będzie się od niej trzymał z daleka i tyle. Przez nią miał same kłopoty, a poza tym zadurzyła się w Kesslerze. Gabriel zdążył to zauważyć, chociaż Rob był zbyt głupi, żeby się zorientować.

Musi się od niej trzymać z daleka. Iak. Poza tym po tym, co widziała dzisiejszej nocy, sama będzie go unikać, pomyślał, uśmiechając się pod nosem.

Dwie godziny później Kait leżała w łóżku i próbowała zasnąć.

Z policją było sporo zamieszania. Funkcjonariusze poszli do ogrodu na tyłach domu, ale niczego nie znaleźli. Obiecali wysłać patrol, który miał kontrolować okolicę, a Joyce kazała dzieciakom dokładnie pozamykać drzwi i na przyszłość uważać, czy wokół nie kręcą się jakieś obce osoby.

- I nie chcę, żebyś wychodziła gdziekolwiek sama - dodała stanowczym głosem. -

Szczególnie w nocy. - Kait bez wahania przyznała jej rację.

Ale teraz nie mogła zasnąć. To wszystko było zbyt dziwne i niepokojące. Czemu jakiś facet z sekty miałby jechać za nią aż z lotniska? I czy faktycznie należał do sekty? Jeśli nie, to czemu wtedy miał na sobie to dziwne, ubranie? To miało być jakieś przebranie? Zupełnie idiotyczne.

Czego chciał?

A do tego cały czas dręczyła ją inna myśl... Gabriel był mordercą.

Nikt się nawet nie domyślał. Z wyjątkiem Roba. Czują, że chłopak o wszystkim wie.

Zauważyła, że nikt nie podziękował Gabrielowi za to, że uratował Kait. Lewis i Anna cały czas trzymali się na dystans, jakby obawiali się, że w każdej chwili wyciągnie na nich nóż, a Rob przyglądał mu się z rosnącą wściekłością.

Rob - nie będzie o nim teraz myśleć. Nie zniosłaby tego.

W drugiej części pokoju słyszała spokojny oddech Anny. Zerknęła w jej stronę i dostrzegła w ciemnościach nieruchomy kształt. Potem bardzo cicho i ostrożnie wysliznęła się z łóżka.

Włożyła szlafrok i bezszelestnie wymknęła się za drzwi.

W pokoju do nauki panował półmrok. Kait usiadła we wnęce okiennej, opierając brodę na kolanach. Za oknem pomiędzy poruszającymi się gałęziami dostrzegła kilka świateł. Zauważyła też światło w oknie Gabriela.

To co zrobiła potem, uczyniła pod wpływem chwili. Gdyby się nad tym zastanowiła, nigdy by się na to nie zdobyła. Ale nie dała sobie czasu na rozmyślanie.

Zeskoczyła z parapetu i zapukała do jego drzwi. Zrobiła to bardzo cicho, na wypadek gdyby spał przy zapalonym świetle. Ale po chwili drzwi się otworzyły. Na jego twarzy błąkał się nieco senny grymas.

- Czego? - zapytał bezceremonialnie.

- Chodź do pokoju do nauki - wyszeptła Kaitlyn.

Z jego twarzy zniknął grymas, zamieniając się w bezczelny uśmiech.

- Nie, ty wejdź tutaj.

Kaitlyn zdała sobie sprawę, że rzuca jej wyzwanie. W porządku, udowodni mu, że mu ufa. Uniosła do góry głowę, wyprostowała plecy i szybkim krokiem przeszła obok niego. Usiadła na krześle przy biurku i dyskretnie rozejrzała się wokół. Pokój był dokładnie taki, jak opisał go Lewis. Ogromne łóżko, dopasowane meble i hektary przestrzeni. Nie zauważyła jednak żadnych rzeczy osobistych. Może Gabriel nic takiego nie posiadał.

Obserwując ją uważnie, Gabriel usiadł na łóżku. Zostawił uchylone drzwi, ale Kaitlyn, działając pod wpływem bliżej nieokreślonego impulsu, *wstała* i je zamknęła.

- Jesteś walnięta, wiesz o tym? - powiedział beznamiętnym głosem, gdy wróciła na swoje miejsce.

- Chciałam ci podziękować - zaczęła Kaitlyn. I powiedzieć, że wcale się ciebie nie boję, dodała w myślach. Cały czas nie wiedziała, co do niego czuła, czy go lubiła, czy nienawidziła.

Ale niewątpliwie uratował ją z opresji. Gabriel nie wyglądał na szczególnie wdzięcznego, słysząc jej słowa.

- I to wszystko?

- Oczywiście.

- I nie jesteś ani trochę ciekawa? - Kiedy Kaitlyn zamrugnęła, nachylił się bliżej, znowu pokazując zęby. - Nie chcesz wiedzieć?

Kaitlyn poczuła niesmak.

- Chodzi ci o...

- O morderstwo - dokończył Gabriel, a jego olśniewający uśmiech robił się coraz bardziej okrutny.

Kaitlyn poczuła, że ogarnia ją strach. Miał całkowitą rację, była zdrowo walnięta. Co ona robiła w jego w pokoju? Dwa dni temu nie weszłaby do sypialni żadnego chłopaka, a teraz gawędziła sobie spokojnie z mordercą.

Ale Joyce nie sprowadziłaby go do Instytutu, gdyby był naprawdę groźny, pomyślała. Nie chciałyby ryzykować.

- To naprawdę było morderstwo? - zapytała bardzo powoli i spojrzała mu prosto w oczy.

Zauważyła, że nagle zmienił się jego wyraz twarzy, jakby go czymś zaskoczyła. Po chwili jednak odzyskał fason.

- Według mnie to była obrona własna, ale sędzia był innego zdania - powiedział. Jego oczy były zimne jak lód.

Kaitlyn poczuła, że się rozluźnia.

- Obrona własna - powtórzyła.

Gabriel przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym spuścił oczy.

- Oczywiście to drugie nie było w obronie własnej. Tylko to pierwsze.

Próbuje mnie nastraszyć, pomyślała Kaitlyn.

I chyba nieźle mu idzie, odpowiedział jej umysł.

- Chyba lepiej już pójdę - mruknęła.

Był bardzo szybki. Kaitlyn siedziała bliżej drzwi, ale zanim zdążyła sięgnąć do klamki, stanął przed nią i zatarasował wyjście.

- Nie tak szybko - szepnął. - Nie chcesz się wszystkiego dowiedzieć?

Jego ciemnoszare oczy były bardzo tajemnicze i całkowicie skupione. Czowała się tak, jakby przesywał ją wzrokiem na wylot. Wyraz jego twarzy był równie tajemniczy, jakby pod maską drwin ukrywał niewyobrażalne napięcie. Usta miał rozchylone, a Kaitlyn dostrzegła, że zacisnął zęby.

- Przestań - rzuciła. - Wychodzę.

- Nie bądź taka nieśmiała.

- Nie jestem nieśmiała, idioto - warknęła. - Po prostu mam ciebie dość. - Próbowała precyzyjnie się obok, ale jej nie puścił. Zaczęli się przepychać.

Kaitlyn szybko przekonała się, że był od niej o wiele silniejszy.

Jestem taka głupia, pomyślała, próbując uwolnić rękę i go uderzyć. Jakim cudem się w to wpakowałam? Serce waliło jej jak oszalałe i czuła, że za chwilę eksploduje. Będzie musiała krzyczeć, chyba że ją powstrzyma. A może ją udusi? Czy to właśnie robił ze swoimi ofiarami?

Może użył noża. A może zrobił coś o wiele gorszego...

Cały czas się przepychali, a ich twarze dzieliło zaledwie parę centymetrów. Kaitlyn miała w głowie ponure wizje jego poprzednich morderstw.

A potem...

Potem wszystko się skończyło. Obrazy, które miała w głowie, zniknęły, jakby ktoś nagle zatrzaskał okno. A wszystko z powodu tego, co zobaczyła w jego oczach.

Żal. I ogromne poczucie winy, ale głównie żal. Kaitlyn natychmiast to rozpoznała. Był to żal, który zmusza człowieka, by zagryzł wargi i nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Kaitlyn doskonale go pamiętała z czasu, gdy miała osiem lat i umarła jej matka.

Gabriel obnażył zęby, a jego przystojna twarz wyglądała arogancko, ale z całych sił próbował powstrzymać łzy.

Kaitlyn przestała z nim walczyć i zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nic jej nie zrobił.

Tarasował wyjście i nie chciał jej puścić, ale jej nie skrzywdził.

- W porządku - sapnęła. W panującej wokół ciszy jej głos brzmiał bardzo donośnie. -

Opowiedz mi wszystko.

To go całkowicie zbiło z tropu i nawet się cofnął. Przez chwilę wydawał się wstrząśnięty, ale i bezbronny.

A na jego twarzy pojawił się zacięty wyraz. Potraktował to jak wyzwanie.

- Opowiem - warknął. Puścił ją. Jego ruchy były spięte i szybko oddychał.

- Zastanawialiście się, co takiego robię - powiedział. - Prawda?

- Tak - zgodziła się Kait. Ostrożnie odsunęła się od drzwi. - Czy to takie dziwne?

- Nie. - Roześmiał się bardzo gorzko. - Każdy chce wiedzieć. Ale jak już się dowie, przestaje to mu się podobać. - Odwrócił się i spojrzał na nią z udawanym zdziwieniem. - Wszyscy się mnie boją.

Ale Kaitlyn nie było do śmiechu.

- Wiem, jak to jest - odezwała się beznamiętnym głosem, wpatrując się w dywan. - Kiedy wszyscy się ciebie boją. Kiedy nie mogą spojrzeć ci w oczy i cofają się na twój widok... - Spojrzała mu w twarz.

Coś w jego oczach błysnęło, ale po chwili pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Ale nie wiesz jak to jest, kiedy boją się tak bardzo, że zaczynają cię nienawidzić. Kiedy chcą cię zabić, bo boją się, że...

- Że co?

- Że będziesz czytać w ich myślach. Że skradniesz im duszę. Sama wybierz.

Nastąpiła cisza. Kaitlyn poczuła na plecach chłodny dreszcz. Była wstrząśnięta i przerażona.

- Czy to właśnie robisz? - zapytała, starając się, by w jej głosie nie usłyszał lęku.

- Nie.

Ucisk w jej żołądku nieco zelżał. Ale po chwili Gabriel odwrócił się i spojrzał na nią spokojnym wzrokiem szaleńca.

- To nie takie proste. Chcesz wiedzieć, jak to działa? Kaitlyn nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Po prostu mu się przyglądała.

Mówił bardzo klarownie, jakby wygłaszał wykład.

- Kiedy dwa umysły nawiązują ze sobą kontakt, dochodzi do transferu energii. Na tym właśnie to polega, zawsze następuje transfer energii. Energia przepływa w obie strony, niosąc ze sobą informacje. Rozumiesz?

Rob też wspominał coś o przesyłaniu energii, ale może jemu chodziło o coś innego.

- Mów dalej - ponagliła go Kaitlyn.

- Problem w tym, że niektóre umysły są silniejsze od innych. Potężniejsze. I kiedy potężny umysł spotyka słabszy, wszystko może wymknąć się spod kontroli. - Przerwał, spoglądając w ciemne, zasłonięte okno.

- W jaki sposób? - wyszeptła Kaitlyn. Wydawało się, że Gabriel jej nie słyszy. - W jaki sposób sytuacja może wymknąć się spod kontroli?

- Wiesz, jak to jest, gdy woda spływa na dół? - zapytał, w dalszym ciągu spoglądając w okno.

- Albo jak elektryczność cały czas szuka uziemienia? Kiedy spotykają się dwa umysły, przepływa między nimi energia. W tę i z powrotem. Ale potężniejszy umysł ma większą siłę przyciągania.

- Jak magnes? - dopytywała się Kaitlyn. Nigdy nie była zbyt mocna z przedmiotów ścisłych, ale to akurat wiedziała; im większy był magnes, tym silniej działał.

- Magnes? Może na początku. Ale jak coś pójdzie nie tak, gdy sytuacja wymknie się spod kontroli, to przypomina raczej czarną otchłań. Słabszy umysł traci całą energię, a potężniejszy ją wysysa. Do sucha.

Stał zupełnie nieruchomo. Napiął każdy mięsień. Ręce zacisnął w pięści i wsunął do kieszeni, a jego szare oczy wydawały się tak ponure i samotne, że Kaitlyn była wdzięczna, że na nią nie patrzył.

- Jesteś telepatą - stwierdziła spokojnie.

- Oni nazywali to nieco inaczej. Nazywali mnie telepatycznym wampirem.

A ja się nad sobą użalam, pomyślała Kaitlyn. Tylko dlatego, że nie mogę nikomu pomóc, a moje rysunki są bezużyteczne. Ale jego dar potrafi zabijać.

- Czy tak musi być?

Rzucił jej szybkie spojrzenie, mrużąc przy tym oczy. Musiał usłyszeć w jej głosie litość.

- Nie, jeżeli kontakt nie będzie trwał zbyt długo. Albo ten drugi umysł okaże się wystarczająco silny.

Kaitlyn wszystko sobie przypomniała. „Jak długo? Jakies czterdzieści pięć sekund”. O Boże! A chłopak z irokezem zaczął krzyczeć.

Ochotnik jest telepatą. Najwyraźniej za słabym.

Jak silny musiał być umysł, by wytrzymać moc Gabriela?

- Niestety - zaczął Gabriel, cały czas ją obserwując - nawet niewielka rzecz może zakłócić równowagę. To się może stać, zanim zdążymy się zorientować.

Kaitlyn ogarnął strach.

Przebywanie w pobliżu Gabriela nie było bezpieczne. On potrafił wyczuć strach, który najwyraźniej uruchamiał w nim jakiś prymitywny instynkt.

Posłał jej kolejny niepokojący uśmiech, a jego oczy lśniły.

- Dlatego muszę być bardzo ostrożny - ostrzegł. - Muszę się kontrolować. Bo inaczej mogą się zdarzyć różne rzeczy.

Kaitlyn z trudem łapała oddech. Cały czas się do niej zbliżał, jak wilk do swojej ofiary. Zmusiła się, by się nie skulić i spojrzeć mu prosto w oczy. Wysoko uniosła brodę.

- Tak właśnie było za pierwszym razem - dodał Gabriel. -W ośrodku w Durham była pewna dziewczyna. Lubiliśmy się i chcieliśmy być razem. Ale gdy się do siebie zbliżyliśmy, coś się stało...

Był tuż przed nią. Kaitlyn przywarła plecami do ściany.

- Nie chciałem, by do tego doszło, ale zrobiłem się zbyt emocjonalny. A to było niebezpieczne. Chciałem się do niej zbliżyć, ale po chwili okazało się, że nasze umysły się połączyły. - Przerwał, jego oddech był teraz szybki i lekki. Po chwili ciągnął dalej: - Ona była słaba i przerażona. Czy ty też się boisz, Kaitlyn?

Rozdział 8

Bylaam, pomyślała Kaitlyn. Ale była pewna, że Gabriel potrafi wyczuć kłamstwo, choć czuła też, że prawda może ją zabić.

Nie miała wyjścia, musiała przystąpić do ataku.

- A chcesz, żeby się bała? Tego właśnie chcesz, żeby wszystko się powtórzyło?

Jego szare *oczy* zaszyły mgłą. Cofnął się nieco. Kaitlyn atakowała dalej:

- Myślę, że wcale nie chciałeś skrzywdzić tamtej dziewczyny. Myślę, że ją kochałeś.

Zrobił kolejny krok do tyłu.

- Jak miała na imię? - zapytała Kaitlyn. Była zaskoczona, gdy odpowiedział.

- Iris. Była jeszcze dzieckiem. Oboje byliśmy dziećmi. Nie mieliśmy pojęcia, co robimy.

- Była tam? leż miała nadprzyrodzone zdolności? Gabriel wyjął wargi.

- Niewystarczające - odparł, jakby doskonale wiedział, co chciała usłyszeć. W jego oczach dostrzegła gorycz. - Nie miała dość... sam nie wiem czego. Sił życiowych. Bioenergii. Tego, co powoduje, że niektórzy z nas mają nadprzyrodzone zdolności i co utrzymuje nas przy życiu. Tamtej nocy w ośrodku... kiedy ją w końcu puściłem, była całkowicie bezwładna.

Miała białą, siną twarz. Nie żyła.

Westchnął głęboko, a potem dodał:

- Nie miała w sobie ani odrobiny życia. Żadnej energii. Wszystko z niej wyssałem.

Kaitlyn nie chciała go już dłużej atakować i nie była w stanie wytrzymać jego wzroku. Czuła się tak, jakby ktoś oplótł jej klatkę piersiową ciasną gumą. Po chwili powiedziała spokojnie:

- Nie zrobiłeś tego umyślnie.

- Nie? - zapytał. Zdążył opanować emocje i znowu lekko oddychał. Kiedy Kait na niego spojrzała, nie dostrzegła już w jego oczach goryczy. Jego wzrok był... pusty. - Ludzie w ośrodku byli innego zdania - ciągnął dalej. - Kiedy zorientowałem się, że ona nie oddycha, wezwałem pomoc. Ale kiedy przyszedli i zobaczyli jej siną twarz, pomyśleli o najgorszym. Mówili, że ją zaatakowałem. Że próbowałem ją zmusić, a kiedy mi się nie udało, zabiłem ją. Kait ogarnął strach. Była wdzięczna, że miała za sobą ścianę, na której mogła się oprzeć. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że zamknęła oczy.

- Tak mi przykro - wyszeptała. Potem próbowała się jakoś pocieszyć. - Rob ma rację. To, co robi Joyce, jest światu potrzebne. Musimy się wszyscy nauczyć kontrolować.

Na twarzy Gabriela pojawił się grymas.

- Wierzysz w to, co mówi ten chłoptaş? - zapytał z nieskrywaną pogardą.

Kaitlyn była zdumiona.

- Czemu tak bardzo go nienawidzisz?

- Nie wiesz? Złoty chłopiec był wtedy w Durham. Wszyscy nosili go na rękach, a wszystko co robił, było dobre. To on domyślił się, co się stało z Iris. Nie wiedział, jak to zrobiłem, ale domyślił się, że uleciała z niej cała energia jak krew, gdy przetnie się komuś tętnicę. Zaczęli mnie ścigać jak zwierzę. Ludzie z ośrodka i policja, wszyscy. - Jego głos był pozbawiony emocji.

Ale to nie była wina Roba, pomyślała Kait. Nie była.

- Więc uciekłeś - dodała na głos.

- Tak, miałem czternaście lat i byłem głupi. Na szczęście, oni okazali się jeszcze głupszy. Cały rok mnie szukali, ale do tego czasu byłem już w Kalifornii. W więzieniu.

- Za kolejne morderstwo - stwierdziła spokojnie Kaitlyn.

- Kiedy świat jest głupi, trzeba się zemścić, nie rozumiesz? Ludzie sobie na to zasłużyli. Gdy ktoś jest słaby, nie zasługuje na nic lepszego. Facet, którego zabiłem, chciał mnie zastrzelić za pięć dolarów, które miałem w kieszeni. Dopadłem go pierwszy.

Zemsta, pomyślała Kaitlyn. Wyobraziła sobie tę część historii, którą zachował dla siebie. Jak uciekał, nie zważając na to, co się z nim stanie. Nienawidził wszystkiego: całego świata za to, że dał mu taką moc; słabych ludzi, którzy stanowili łatwy cel; ośrodka za to, że nie nauczył go kontroli, i siebie samego. Szczególnie siebie samego.

I Roba, który symbolizował kogoś, komu się udało, który czynił dobro. Który potrafił się kontrolować. Który nadal w coś wierzył.

- On jest idiotą - warknął Gabriel, jakby czytał w jej myślach. Trochę za często to robi, pomyślała z niepokojem Kaitlyn. - On i ta cała reszta to idioci. Ale ty masz trochę oleju w głowie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

- Dzięki - powiedziała sucho Kait. - Czemu tak mówisz?

- Widzisz różne rzeczy. Wiesz, że coś tu nie gra.

- Coś jest nie tak? Masz na myśli tutaj, w Instytucie? Zerknął na nią z pogardą.

- Rozumiem. Tak chcesz to rozegrać.

- Nie chcę niczego rozgrywać...

Posłał jej niepokojący uśmiech, odwrócił się i odszedł w głąb pokoju.

- Poza tym jak wyjedziesz, stracisz szansę, by go zdobyć. W Ohio nie będziesz miała na niego wpływu.

Kaitlyn poczuła, jak ogarnia ją złość.

Już po wszystkim. Koniec zwierzeń. Czowała, że od tej pory Gabriel będzie dla niej tak okropny i niemiły, jak to tylko możliwe, byleby *tylko nie* pomyślała sobie o nim czegoś dobrego. Na przykład, że jest fajnym koleśkiem.

Cóż, nie dam się na to nabrać. Nawet nie odpowiem na jego zaczepki. Nie może wiedzieć, o czym rozmawiałam z Anną za zamkniętymi drzwiami.

Odepchnęła się od ściany i zrobiła krok w jego stronę.

- Przykro mi z powodu tego, co ci się przydarzyło - powiedziała oficjalnym tonem. - To było okropne. Ale teraz powinieneś zacząć myśleć o tym, co możesz zmienić.

Gabriel posłał jej słodki uśmiezek.

- A może ja nie chcę niczego zmieniać?

Dwie minuty temu Kaitlyn czuła do niego sympatię, a teraz miała ochotę kopnąć go w łydkę. Chłopcy, pomyślała.

- Dobranoc, Gabrieliu - rzuciła. Ty dupku.

Otworzył szeroko oczy.

- Nie chcesz zostać? Mam duże łóżko.

Kaitlyn nawet nie odpowiedziała. Wyszła z wysoko uniesioną głową, mrużąc pod nosem słowa, które wprawiłyby jej ojca w osłupienie.

Ale i tak miała sporo *szczęścia*. Przez chwilę poczuła, że za bardzo się do niego zbliżyła, a to oznaczałoby same kłopoty. Wyobraźcie sobie tylko, oziębła Kaitlyn zakochana nie w jednym, ale w dwóch chłopakach naraz. Ale on się już o to zatroszczył. Odepchnął ją i była pewna, że nigdy więcej nie pozwoli jej się do siebie zbliżyć.

Dzięki Bogu, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Owszem, Gabriel był interesujący i działał na nią w szczególny sposób, i na pewno był przystojny, ale... Cóż, dziewczyna, która będzie miała pecha i się w nim zakocha, będzie musiała wypruć sobie wnętrzności bambusowym nożem do otwierania listów.

Nie zamierzała mówić nikomu o tym, co jej powiedział. Zdradziłaby jego zaufanie. Ale może któregoś dnia pogada o nim z Robem. Może Rob zmieni o nim zdanie, gdy dowie się, że Gabriel potrafi czuć żal.

O dziwo, jak tylko wróciła do łóżka, od razu zasnęła.

Następnego dnia Joyce zabrała ich do szkoły w San Carlos. Byli już zapisani na zajęcia i Kait z radością odkryła, że na socjologię i literaturę brytyjską będzie chodziła z Anną i Robem.

Wszystko wokół ją zachwycało. Nie marzyła nawet o tym, że w szkole może być tak fajnie.

Szkolny budynek był zupełnie inny niż ten w Ohio. Kampus był większy, bardziej rozłożysty i otwarty. Zamiast jednego dużego budynku było kilka mniejszych, połączonych ścieżkami, co w przypadku opadów śniegu... Ale tu przecież nie padał śnieg. Nigdy.

Pomieszczenia były nowoczesne. Wszędzie królował plastik. A sale wydawały się mniejsze i bardziej przytulne. Nie było cegieł, odpadającej farby ani rżących pieców.

Uczniowie sprawiali wrażenie miłych. Niewątpliwe złotowłosey Rob miał z tym coś wspólnego, pomyślała Kaitlyn. Najwyraźniej cieszył się szacunkiem i szybko stał się obiektem westchnień, a jadał lunch z nią, Anną i Lewisem. Kait widziała jak dziewczyny rzucają w ich stronę ukradkowe, zaciekawione spojrzenia.

Anna też cieszyła się szacunkiem, ponieważ była piękna, opanowana i wydawało się, że nie zależy jej na tym, czy ktoś do niej podejdzie, czy nie. Zanim lunch się skończył, dosiadło się do nich kilka dziewczyn, które zaproponowały, że oprowadzą ich po szkole. Potem zostały, by chwilę pogadać, a jedna z nich wspomniała nawet o sobotniej imprezie.

Kait była bardzo szczęśliwa.

Martwiła się tylko tym, w jaki sposób wyjaśnią fakt, że razem mieszkają. Nie chciała opowiadać tym dziewczynom o zjawiskach nadprzyrodzonych i Instytucie. Nie chciała się niczym wyróżniać. Chciała po prostu pasować.

Na szczęście Lewis się tym zajął. Robiąc dziewczynom zdjęcia, uśmiechnął się szeroko i powiedział, że pewien miły staruszek dał im dużo pieniędzy, by mogli tu chodzić do szkoły. Oczywiście nikt mu nie uwierzył, ale wokół nich powstała aura tajemniczości, co jeszcze bardziej podnosiło ich status.

Po zajęciach Kaitlyn wyszła z pracowni malarskiej z błogim wyrazem twarzy. Nauczycielka nazwała jej kolekcję rysunków „imponującą”, a jej styl określiła jako „płynny i urzekający”. Do pełni szczęścia brakowało jej tylko Roba.

Gabriel, rzecz jasna, z nikim nie nawiązał znajomości, a lunch zjadł sam. Kaitlyn widziała go parę razy w ciągu tego dnia, ale zawsze trzymał się z dala od innych, a usta wykrzywił mu grymas. Mógłby osiągnąć bardzo wysoką pozycję, pomyślała Kait, bo był przystojny, chimeryczny i niebezpieczny, ale najwyraźniej tego nie chciał.

Po szkole odebrała ich Marisol, która zjawiała się w srebrno-niebieskiej furgonetce. Zabrała wszystkich z wyjątkiem Gabriela, który nie pojawił się w miejscu zbiórki. Kaitlyn przypomniała sobie o jego warunkowym zwolnieniu i miała nadzieję, że był w drodze do Instytutu.

- A teraz zrobimy kilka testów - powiedziała Joyce, gdy dotarli do domu.

Kaitlyn nie miała nic przeciwko. Po pierwszym dniu w szkole była w doskonałym nastroju, a *popołudnie spędzone* w laboratorium oznaczało towarzystwo Roba. Wciąż nie opracowała planu, jak go sobą zainteresować, ale cały czas nad tym rozmyślała. Może jednak nadarzy się jakaś okazja.

Ale pierwsze, co zrobiła Joyce, to odesłała Roba na górę, oświadczając, że wezwie go, jak wszyscy pozostali zajmą się już swoimi zadaniami.

- REG* jest już gotowy, Lewisie - dodała.

Posadziła chłopaka *przy tym samym* stanowisku co poprzednio. Tym razem Kait zebrała się na odwagę i stanęła za nimi.

- Co to jest? - zapytała, spoglądając na stojące przed Lewisem urządzenie. Wyglądało jak komputer, a na monitorze widoczna była siatka z ruchomą zieloną linią przebiegającą przez sam środek ekranu. Wyglądało to jak szpitalny monitor rejestrujący rytm serca pacjenta.

- To generator liczb losowych - odparła Joyce. - Komputer, który ma tylko jedno zadanie: pokazuje losowo wybrane liczby. Właśnie w tej chwili generuje liczby, niektóre dodatnie, niektóre ujemne, zupełnie przypadkowo. To właśnie pokazuje ta zielona kreska. Zadanie Lewisa polega na tym, by kreska uniosła się wyżej, a urządzenie wygenerowało więcej liczb dodatnich niż ujemnych.

- Potrafisz to zrobić? ~ zapytała Kait, patrząc na Lewisa ze zdumieniem. - Swoim umysłem?

- Jasne, na tym właśnie polega psychokineza. Przewaga umysłu nad materią. To jest o wiele łatwiejsze niż wywoływanie określonych liczb w grze w kości, chociaż to też potrafię robić.

~ Lepiej trzymaj się z dala od Vegas, dzieciaku - rzuciła Joyce, szturchając go w bok. - Za coś takiego przestreliliby ci kolana.

Zwróciła się w stronę Anny.

- Teraz ty. To samo co wczoraj. Chcę, żebyś powiedziała tej myszy, do którego otworu ma wejść.

Anna zdążyła już wyciągnąć białą mysz z klatki.

- Chodź, Mickey. Zapiszmy się na kartach historii.

- Dobrze. Teraz Kaitlyn - powiedziała Joyce. Zaprowadziła Kait za parawan. Marisol przyniosła wózek, na którym stało jakieś urządzenie. Kaitlyn nerwowo zerknęła na kontrolki i kabelki.

- Nie denerwuj się. To tylko aparat EEG - odezwała się Joyce. - Elektroencefalograf.

Zarejestruje twoje fale mózgowe.

- Aha, świetnie.

- To nie jest jeszcze najgorsze. Ale to raczej ci się nie spodoba. - Pokazała jej coś, co przypominało tubkę pasty do zębów. - To maść elektrodowa i cholernie ciężko zmywa się ją z włosów.

Kaitlyn zrezygnowana opadła na fotel.

* REG (Random Event Generator) - generator liczb losowych (przyp. tłum.).

Przez ułamek sekundy napotkała wzrok Marisol, która uważnie się przyglądała. Miała mocno wymalowane oczy. Na twarzy cały czas widniał ten sam znudzony grymas.

- To tylko płyn do czyszczenia skóry - wyjaśniła, przechylając plastikową butelkę. Wylała odrobinę płynu na kawałek waty i posmarowała głowę, czoło i skronie Kaitlyn.

- Nie ruszaj głową. - Nałożyła na skronie Kaitlyn pastę, a potem to samo zrobiła z elektrodą. Kątem oka Kaitlyn obserwowała, jak Marisol ją przyczepia.

Nie bolało, ale lekko łaskotało. Kait zamknęła oczy i rozluźniła się, czekając, aż Marisol *skończy przyczepiać* kable.

- A teraz posłuchaj mnie, meduzo - odezwała się Joyce. - Tak jak mówiłam, będziemy obserwować twoje fale mózgowie w trakcie, gdy rysujesz. Fale mózgowie zmieniają swoją częstotliwość w zależności od tego, co robisz: fale theta wskazują na to, że się czymś zajmujesz, a fale beta, że jesteś śpiąca. My szukamy fal alfa, które najczęściej wiążą się z aktywnością psychiczną.

Gdy zauważyła wyraz twarzy Kaitlyn, dodała:

- Nie myśl o całym tym oprzyrządowaniu, dobrze? Będziesz robiła dokładnie to samo, co wczoraj.

Trzymając nieruchomo głowę, Kaitlyn zerknęła w bok i zobaczyła, że Marisol wprowadza do laboratorium dwójkę nieznanomych. Nowi ochotnicy. Kaitlyn poczuła nagły niepokój.

- Joyce, powiedz, czy któryś z tych ochotników jest... dla Gabriela?

- Nawet nie mam pojęcia, gdzie on jest, a bardzo chciałabym wiedzieć - odrzekła ponuro Joyce. Podała Kait ołówek i notes. - A teraz rozluźnij się, dzieciaku. Tym razem nie założę ci opaski ani słuchawek.

Kaitlyn zamknęła oczy. Po drugiej stronie parawanu słyszała czyjeś głosy. Joyce wręczyła ochotniczce zdjęcie.

- W porządku! - zawołała Joyce. - Obiekt się koncentruje. Kait, spróbuj odczytać jej myśli. Dopiero wtedy Kait zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spięta. Wczoraj nie domyślała się, czego się spodziewać. Ale dziś już wiedziała i była bardzo niespokojna. Martwiła się, że nie da rady, a jednocześnie bała się, że jej się uda.

Tym razem nie czuła się tak, jakby spadała w przepaść. A jeśli jej się uda... Co będzie, jak narysuje coś równie groteskowego jak wczoraj?

Nie myśl o tym. Rozluźnij się. Po to tu jesteś, pamiętasz?

Chyba chcesz się nauczyć kontrolować swoje umiejętności?

Kaitlyn zacisnęła zęby, a potem spróbowała się zrelaksować i poddać panującej wokół atmosferze. W tle słyszała przytłumione głosy.

- Cały czas mamy fale beta. - Usłyszała Marisol.

- Daj jej trochę czasu. - To Joyce.

Spokojnie, myślała Kaitlyn. Nie zwracaj na nie uwagi. Fotel jest wygodny, a wczorajszej nocy niewiele spałaś. Powoli, stopniowo zaczęła ogarniać ją senność.

- Fale beta. Ciemność, spadanie...

- Fale alfa.

- Świetnie!

Kaitlyn poczuła w dłoni nagły skurcz i swędzenie. Ale kiedy podniosła do góry ołówek, przypomniała sobie wczorajszy rysunek. Znowu ogarnął ją niepokój

- Znowu fale beta - powiedziała Marisol, jakby oznajmiała czyjąś śmierć.

Joyce zerknęła za parawan.

- Kaitlyn, co się dzieje?

- Nie wiem. - Teraz czuła nie tylko niepokój, miała też poczucie winy. - Nie mogę się skupić.

- Hm. - Joyce zawahała się, a potem dodała: - W porządku, poczekaj chwilę - po czym zniknęła.

Po krótkiej chwili wróciła.

- Zamknij oczy, Kait.

Kaitlyn automatycznie jej posłuchała. Poczwała na czole szybkie muśnięcie, a potem coś zimnego. Bardzo zimnego.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała Joyce. Kait usłyszała, jak wychodzi.

Znowu spróbowała się zrelaksować. Tym razem od razu ogarnęła ją ciemność. A potem poczuła coś dziwnego, jakby coś rozsadzało jej głowę. Jakby miała za chwilę wybuchnąć. A potem...

Obrazy. Pojawiały się tak szybko, że Kaitlyn nie mogła tego znieść.

- Fale alfa szaleją - odezwał się w oddali czyjś głos. Kaitlyn prawie go nie słyszała.

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czuła. Ale była zbyt oszołomiona, by się bać. Obrazy układały się jak w kalejdoskopie i zmieniały w ułamku sekundy, zanim zdążyła je rozpoznać. Gabriel. Coś fioletowego. Joyce lub ktoś do niej podobny. Coś fioletowego o nieregularnych kształtach. Ktoś stojący w uchylonych drzwiach. Kiść czegoś fioletowego i okrągłego. Coś wysokiego i białego, jakaś wieża? Kiść fioletowych... winogron.

Czuła, jak jej dłoń się porusza i rysuje kolejne niewielkie kółka. Nie mogła się powstrzymać i otworzyła oczy. I w tym momencie obrazy, które widziała w głowie, zniknęły.

Narysowała kiść winogron. To miało sens. Ten obraz pojawiał się najczęściej.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, i nie zwracając uwagi na kable, wstała i wyjrzała za parawan.

- Co się stało? - zapytała. - widziałam w głowie mnóstwo obrazów. Co ty zrobiłaś?

Joyce szybko się podniosła.

- Przyczep kolejną elektrodę.

Kaitlyn dotknęła ręką czoła. Wydawało się jej, że wyczuwa coś pomiędzy elektrodą a skórą.

- lam, gdzie masz trzecie oko - dodała Marisol lodowatym tonem.

Joyce rzuciła jej szybkie spojrzenie, ale oliwkowa twarz Marisol pozostała niewzruszona.

Kaitlyn zamarła. Jej wczorajszy rysunek...

- Co to jest trzecie oko?

- Według legendy, to tam znajduje się cała nadprzyrodzona moc - wyjaśniła Joyce lekkim tonem, - Znajduje się na środku czoła, tam gdzie szyszynka.

- Ale... ale czemu elektroda miała by...

- Boże, ona cały czas jest na falach alfa - stwierdziła nagle Marisol.

- Najwyższy czas cię odłączyć - powiedziała szybko Joyce i zaczęła odczepiać elektrody.

Kaitlyn poczuła, jak Joyce odczepia jej elektrodę z czoła, ale jej ręce pracowały tak szybko, że nie zdążyła niczego zauważyć.

- A tak w ogóle, to co narysowałaś? - zapytała Joyce, odbierając jej notes. - Świetnie! - krzyknęła. - Popatrzcie wszyscy na to!

Jej ciepły głos sprawił, że Kaitlyn zupełnie zapomniała o tym, co ją zaniepokoiło.

- Nie wierzę. Narysowałaś rysunek docelowy, Kait! .1 to w najdrobniejszym szczególe, co do jednego winogrona.

Anna i Lewis zgromadzili się wokół niej. Ochotniczka, wysoka, ciemnoskóra dziewczyna, pokazała Kait zdjęcie, które trzymała w dłoni. Fotografia przedstawiała kiść winogron, a rysunek Kait stanowił jej idealną kopię.

- To imponujące. - Kaitlyn usłyszała z tyłu ciepły, leniwy *głos*. Poczwała, że serce *zaczyna* jej szybciej bić.

- To był chyba przypadek - powiedziała, odwracając się w stronę Roba.

- Żaden przypadek — wtrąciła Joyce. - Dobra koncentracja. I bardzo dobry ochotnik, na pewno będziemy chcieli, żebyś do nas wróciła.

Rob uważnie przyglądał się twarzy Kaitlyn, a jego spojrzenie nagle pociemniało.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz na zmęczoną.

-To dziwne, ale nagle rozbolała mnie głowa. - Kait dotknęła palcami środka czoła, gdzie poczuła ból, który przeszył ją niczym odłamek lodu. - Chyba po prostu się nie wyspałam...

- Ona musi odpocząć - stwierdził Rob.

- Oczywiście - zgodziła się Joyce. - Kait, może pójdziesz na górę i się położysz? Skończyłaś na dzisiaj.

Kait chwiała się na nogach.

- Pomogę ci - zaoferował się Rob. - Trzymaj się mnie.

To była idealna okazja, lepsza od jakiejkolwiek sztuczki, którą obmyślała Kaitlyn. Ale wszystko na nic. Głowa bolała ją tak bardzo, że marzyła tylko o tym, by się gdzieś położyć i zasnąć.

Ból wracał pulsującym rytmem. Rob musiał zaprowadzić ją do sypialni, bo prawie nic nie widziała.

- Połóż się - powiedział i wyłączył nocną lampkę. Kaitlyn położyła się i po chwili poczuła, jak materac ugina

się pod ciężarem Roba, który położył się obok niej. Nie otworzyła oczu. Nie mogła. Nawet rozproszone popołudniowe słońce sprawiało jej ból.

- To chyba atak migreny - dodał Rob. - Czy boli cię tylko z jednej strony?

- Nie, tutaj. Na środku - wyszeptła Kaitlyn, wskazując miejsce na czole. Zaczynała też odczuwać mdłości. Świetnie, jakie to romantyczne.

- Tutaj? - Rob wydawał się zaskoczony. Jego palce były cudownie chłodne. Dziwne, poprzednim razem wydawały się ciepłe.

- Tak - Kaitlyn wyszeptła z rozpaczą. - Nic mi nie będzie. Idź już. - Na dodatek właśnie wyganiała chłopaka, w którym się zakochała.

Rob ją zignorował

- Kait, myliłem się. To nie jest migrena ani zwyczajny ból głowy. Myślę, że odczuwasz ból, bo zbyt szybko spaliłaś energię, psychiczną energię.

- No i? - zapytała słabym głosem.

- Mogę ci pomóc. Jeśli mi na to pozwolisz.

Z jakiegoś powodu Kaitlyn poczuła niepokój, ale kolejna fala bólu pomogła jej podjąć decyzję.

- Dobrze...

- W porządku, a teraz się rozluźnij. - Jego głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo. - Na początku możesz się poczuć trochę dziwnie, ale nie walcz z tym. Muszę znaleźć otwarty punkt transferowy...

Kaitlyn poczuła na szyi jego chłodne, zwinne palce, jakby czegoś szukał. Po chwili przesunął dłonie wyżej. Delikatnie musnął palcami wrażliwy obszar skóry tuż za jej szczęką.

- Nie... - mamrotał Rob.

Kaitlyn poczuła, jak uniósł jej rękę i przyłożył do jej dłoni kciuk i palec wskazujący. Znowu wydawało się, że czegoś szuka, przesuwał delikatnie palcami. Jak pielęgniarka, która szuka żyły przed pobraniem krwi.

- Nie.

Rob zmienił pozycję.

- Spróbujmy inaczej, przesunij się trochę.

Kaitlyn zrobiła to, o co prosił, i położyła się na brzegu łóżka. Odruchowo otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła. Rob pochylał się tuż nad nią, a jego twarz była bardzo blisko.

Nagle, oprócz bólu, Kaitlyn poczuła, że serce zaczyna jej walić jak oszalałe.

- Co chcesz...?-wykrztusiła.

- To najbardziej bezpośredni sposób, by przekazać komuś energię - powiedział po prostu. - A ty potrzebujesz jej bardzo dużo.

Uratował ją fakt, że Rob nie wydawał się ani zawstydzony, ani zażenowany. Gdy dotknął jej czoła, Kaitlyn nie otworzyła oczu i leżała całkowicie nieruchomo. Ich usta prawie się stykały. - Znalazłem - wymamrotał. Musnął ustami jej wargi, ale wydawało się, że zupełnie tego nie zauważył. - A teraz... pomyśl o tym, gdzie cię boli. Skoncentruj się na tym miejscu. Jakąś minutę temu nie była w stanie o niczym myśleć. Ale teraz... była nim całkowicie pochłonięta. Nie chciała się ruszać ani oddychać. Wyczuwała całe jego ciało, chociaż dotykał jej tylko czołem. Swoim trzecim okiem, pomyślała oszołomiona. Ale wtedy poczuła coś zupełnie nowego, coś, co sprawiło, że zapomniała o wszystkim, co było fizyczne. To było zupełnie nieznanne uczucie, nie wiedziała nawet jak je opisać. Tego nie dało się ogarnąć zmysłem wzroku, dotyku czy smaku, ale jej oszołomiony umysł tak właśnie próbował to zinterpretować. Gdyby miała namalować obraz, przedstawiałby miliony jasnych światła, błyszczących jak klejnoty. Dynamiczny, zmieniający się wzór wielokolorowych iskier, światełek i wybuchów. Gdyby to był dotyk, byłby to rodzaj nacisku, nie za mocny, ale taki, który momentalnie usunął jej ból głowy. Jakby w jej żyłach płynęła rzeka, zabierająca ze sobą wszystko, co stoi w miejscu, zakrzepłe i zbutwiałe. Gdyby to był smak, byłaby to świeża, czysta woda, którą chciwie piła, jak wykończony biegacz, którego usta wypełnia duszący pył. To było elektryzujące, wszechogarniające uczucie, które nie tylko usunęło ból, ale także wypełniło ją życiem. Kaitlyn nie miała pojęcia, jak długo tak leżała, pobierając życiodajną energię. Ale po chwili zorientowała się, że Rob usiadł. Otworzyła oczy. Spojrzeli na siebie. - Dziękuję... - szepnęła. Sądziła, że uśmiechnie się i pokiwa głową. Ale on tylko zamrugał. Po raz pierwszy wyglądał tak, jakby nie miał pojęcia, co powiedzieć. Cały czas patrzyli sobie w oczy. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Żadne z nich nie odwróciło wzroku. A Rob milczał. Powietrze między nimi wydawało się lśnić.

Rozdział 9

Rob wyglądał tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. I \Co więcej, jakby po raz pierwszy w życiu widział jakąkolwiek dziewczynę. Wydawał się zupełnie zaskoczony, jak człowiek, który nigdy wcześniej nie *słyszał* muzyki i nagle dotarły do niego dźwięki pięknej melodii, którą niósł wiatr. Jakby właśnie je uchwycił i chciał za nimi podążyć. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie dokonał największego odkrycia w swoim życiu. - Kaitlyn? - wyszeptał, a w jego głosie słychać było podziw, pytanie i strach. Kaitlyn nie była w stanie wykrzusić ani jednego słowa. Oboje znajdowali się na progu czegoś wielkiego, czegoś co miało zmienić ich życie. Kaitlyn była przerażona. To na zawsze wszystko zmieni. Ale tego właśnie chciała. O tym przecież marzyła. Wydawało się, że cały świat zamilkł i z zapartym tchem czekał na to, co miało się wydarzyć. Ale Rob się nie poruszył. Był na skraju wielkiego odkrycia, ale jeszcze nie do końca tam dotarł. Muszę mu pomóc, pomyślała Kaitlyn. On jeszcze nie rozumie, co się dzieje.

Teraz wszystko zależało od niej. Mogła mu pomóc zrobić ten pierwszy krok, jeśli tylko tego chciała. A chciała. Nagle poczuła spokój i pewność. Wiedziała już, co się wydarzy, jakby miała przed sobą skończony obraz.

Obejmie jego twarz i bardzo delikatnie go pocałuje. A Rob spojrzy na nią ze zdumieniem. Był wprawdzie zupełnie niewinny, ale nie głupi i szybko się uczył. Potem pocałuje go drugi raz, a on przestanie się dziwić i zacznie się zastanawiać. W jego złotych oczach pojawi się ogień, jak wtedy, gdy ogarnia go gniew... ale zupełnie z innego powodu.

Potem obejmie ją i lekko pocałuje, a między nimi zacznie przepływać uzdrawiająca energia. I będzie cudownie.

Kaitlyn z zapartym tchem wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy. Zobaczyła na jego policzku swoje długie palce i poczuła na dłoni tańczące iskierki. Wszystko wydawało się takie proste i naturalne, jakby wiedziała, co ma robić.

Wyobraźcie sobie tylko, oziębła Kaitlyn doskonale wie, co robić. Za chwilę wszystko się wydarzy.

Nagle ciszę przerwały czyjeś głosy. Śmiech i zwyczajne głosy, które zupełnie nie pasowały do pięknego, nowego świata, w którym znalazła się Kaitlyn. Rozejrzała się wokół zupełnie zbita z tropu.

Za drzwiami stali Lewis i Anna. A za nimi Gabriel.

- Cześć, Kait - zaczął wesoło Lewis, ale w tym momencie zobaczył jej wyraz twarzy. - Eee... Ups.

Anna patrzyła na nich przerażonym i przepaszającym wzrokiem.

- Nie chcieliśmy wam przeszkadzać - powiedziała, chwytając Lewisa za ramię, próbując go odciągnąć.

- Co to, terapeutyczny dotyk w ciemnościach? - zapytał Gabriel beznamiętnym głosem.

Kaitlyn poczuła ogromny smutek. Na twarzy Roba nie było już zrozumienia i zdumienia. To było zbyt kruche, jak coś, co dopiero miało się narodzić, a teraz zniknęło. Pozostał jedynie uprzejmy uśmiech i wyraz troski. I przyjazne uczucia do Anny i Lewisa.

I nienawiść do Gabriela.

- Kait rozboleła głowa - odezwał się Rob, podnosząc się z łóżka i stając z Gabrielem twarzą w twarz. - Ale to nie twoja sprawa.

- Wygląda na to, że teraz czuje się już znacznie lepiej - zauważył Gabriel, spoglądając ponad jego ramieniem na Kaitlyn, która patrzyła na niego nienawistnym wzrokiem.

- *Byłoby* lepiej, gdybyście wszyscy zostawili mnie w spokoju - jęknęła.

- Już wychodzimy - powiedziała Anna, przepaszając Kaitlyn wzrokiem. - Chodź, Lewisie.

- Jasne - rzucił Rob, a Kaitlyn z rosnącą frustracją i niedowierzaniem patrzyła, jak idzie w stronę wyjścia. - Chcesz, żebym zamknął drzwi?

Gdyby chociaż chciał pozbyć się reszty, Kaitlyn mogłaby go zrozumieć. Ale Rob zachowywał się zupełnie inaczej, a w jego złotych oczach widziała jedynie braterskie przywiązanie.

I nie miała jak do niego dotrzeć, żeby znowu wszystko zmienić. Przynajmniej nie dzisiaj. To koniec.

Nie wiedziała kogo obwiniać - Gabriela i resztę czy Roba. Miała ochotę go zamordować, ale kochała go tak, jak nigdy przedtem.

- Tak, proszę, zamknij drzwi - wydusiła z siebie.

Kiedy została sama, położyła się na łóżku i obserwowała, jak ciepłe popołudniowe światło zamienia się w chłodny fioletowy zmierzch. Na ścianach pojawiły się tajemnicze cienie.

Zamknęła oczy.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk, jakby szelest papieru. Szybko usiadła na łóżku i rozejrzała się po pokoju. Coś zajaśniało w ciemnościach, jakby czało się pod drzwiami. Nil/ ktoś wsuwał coś pod drzwi.

Kaitlyn bezszelestnie wysliznęła się z łóżka i na palcach podeszła do drzwi. Przez szparę w drzwiach prześwitywało żółte światło z korytarza, a kartka cały czas się poruszała. Chwyliła za klamkę i otworzyła drzwi.

Na podłodze w korytarzu klęczała Marisol.

Starsza dziewczyna uniosła do góry brodę i przez ułamek sekundy jej brązowe oczy spojrzały prosto na Kaitlyn. Wydawała się wstrząśnięta i przygnębiona. Nagle wstała i ruszyła w stronę schodów.

- O nie, nie tak szybko! - krzyknęła Kait, wciąż wzburzona wydarzeniami minionego popołudnia. Frustracja, podniecenie i wściekłość dały jej siłę, by chwycić Marisol i odwrócić w swoją stronę.

- Co ty sobie myślisz? Wpychasz mi jakieś kartki pod drzwi? Co to ma być?! - krzyczała Kaitlyn, wskazując na leżący na progu kawałek papieru. Marisol odgarnęła włosy i patrzyła na nią wyzywającym wzrokiem.

Kaitlyn na chwilę ją puściła, by podnieść kartkę, a potem znowu zatarasowała jej drogę, gdy dziewczyna rzuciła się do ucieczki.

- To mój rysunek! - To był rysunek, który Kait zrobiła wczoraj, ten, na którym miała na czole dodatkowe oko i który zostawiła w laboratorium.

Z tym że teraz coś było na nim napisane.

Na dole kartki grubym, czarnym tuszem ktoś napisał: „Uważaj. To się może przytrafić tobie”.

- Kolejny żart? - zapytała ponuro Kaitlyn, próbując się opanować.

Marisol, która była od niej o kilka centymetrów wyższa, spojrzała na nią z góry rozpalonym wzrokiem. Nie bacząc na konsekwencje, Kaitlyn chwyciła ją za ramię i zaczęła ją potrząsać.

- Czemu chcesz mnie nastraszyć? Dlatego że nienawidzisz takich ludzi jak my?

Marisol się roześmiała.

- *Chcesz, żebym wyjechała?* Chodzi ci o... Sama nie wiem, jesteś zazdrosna czy jak? - Kaitlyn desperacko szukała jakiegoś sensownego wytłumaczenia.

Marisol tylko zacisnęła swoje pełne usta.

- W porządku, jak sobie chcesz - powiedział Kaitlyn nieco roztrzęsionym głosem. - Wygląda na to, że będę musiała zapytać Joyce.

Zdażyła dotrzeć do połowy schodów, zanim Marisol się odezwała.

- Joyce ci nie pomoże. Ona nie wie, co tu się naprawdę dzieje. Nie było jej w czasie badania pilotażowego, ale ja byłam.

- Jakiego badania pilotażowego? - zapytała Kaitlyn, nie oglądając się za siebie.

- Nieważne. Chodzi o to, że Joyce nie może ci pomóc. Ona myśli tylko o swoich eksperymentach i żeby jej nazwisko ukazało się w gazetach. Nie ma pojęcia, o co tu chodzi. Dlatego pan Zetes ją zatrudnił.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Kaitlyn, machając kartką. *Cisza.* Kaitlyn odwróciła się. Dalej nic.

- Boże, ale ty jesteś głupia - odezwała się w końcu Marisol. - Nie pamiętasz dzisiejszego eksperymentu? Nie zastanawiałaś się, w jaki sposób udało ci się narysować ten rysunek z winogronami?

Kaitlyn przypomniała sobie kalejdoskop obrazów.

- Pewnie dlatego, że mam nadprzyrodzone zdolności - powiedziała, słysząc niepewność we własnym głosie.

- Gdyby naprawdę tak było, zrozumiałabyś, dlaczego tu jesteś. I wsiadłabyś do najbliższego samolotu do domu.

Kaitlyn miała już dość niedomówień.

- O czym ty mówisz? Nie możesz choć raz powiedzieć wprost, o co ci chodzi, zamiast tych wszystkich tajemnic? - Teraz już prawie na nią krzyczała. - A może po prostu nie masz nic do powiedzenia...

Marisol wzdrygnęła się, gdy Kaitlyn podniosła głos. Szybko przemknęła obok, z całej siły trącając Kaitlyn łokciem. Gdy dotarła do schodów, obejrzała się przez ramię i warknęła:

- Przyszłam ci powiedzieć, że spóźniasz się na kolację. Kaitlyn oparła się o ścianę.

To był szalony dzień... A Marisol była po prostu stuknięta. Chociaż to nie wyjaśniało tego, co wydarzyło się w trakcie eksperymentu. Kiedy Joyce przyczepiła „elektrodę” do jej czoła...

lam, gdzie mam trzecie oko, pomyślała Kait, przyglądając się pomiętej kartce. Dodatkowe oko patrzyło na nią groteskowo, jakby chciało jej coś powiedzieć.

Muszę z kimś pogadać. Sama nie dam sobie z tym rady. Potrzebuję pomocy.

Jak tylko o tym pomyślała, od razu poczuła się lepiej. Wygładziła kartkę i wsunęła ją do kieszeni. Potem szybko poszła do jadalni.

- A co to ma ze mną wspólnego? - zapytał Gabriel, rzucając Kaitlyn kartkę. Leżał na łóżku i przeglądał czasopismo o samochodach, drogich samochodach. - To nie mój problem.

Kaitlyn złapała zwitek w powietrzu. Wiele ją to kosztowało, żeby do niego przyjść. Pewnie wcale by tego nie zrobiła, ale nie mogła teraz spojrzeć Robowi w oczy, a Anna od obiadu wisiła na telefonie i rozmawiała z rodziną.

Kaitlyn postanowiła zachować spokój.

- Jeżeli w tym, co mówi Marisol, jest choć trochę prawdy, to jest to nasz problem - powiedziała z naciskiem. - To ty mówiłeś, że coś tu nie gra.

Gabriel wzruszył ramionami.

- A nawet jeśli?

Kaitlyn miała ochotę krzyknąć.

- Naprawdę myślisz, że coś jest nie tak, ale nie zależy ci na tym, żeby coś z tym zrobić!

Na twarzy Gabriela pojawił się lekki uśmiech.

- Oczywiście, że coś zrobię. To, co potrafię najlepiej.

Kaitlyn wiedziała co będzie dalej, ale nie mogła się powstrzymać. Czując się jak detektyw Joe Friday* na końcu kolejnej sceny, rzuciła:

- Czyli co?

- Zajmę się sobą - powiedział Gabriel z zadowoleniem. W jego oczach dostrzegła satysfakcję, że ostatnie słowo należało do niego.

Kiedy Kaitlyn wychodziła, nie próbowała nawet ukryć oburzenia.

Gdy znalazła się za drzwiami, oparła się o ścianę. Lewis był w pokoju do nauki, gdzie na cały regulator słuchał najnowszej płyty Primal Scream. Anna nadal siedziała w sypialni i rozmawiała przez telefon. A Rob...

- Znowu dokucza ci głowa?

Kaitlyn odwróciła się. Poczula się tak, jakby została przyparta do muru. Dlaczego nigdy nie słyszała, jak nadchodzi?

- Nie - zaprzeczyła. - Wszystko w porządku. Przynajmniej ... Nie, czuję się świetnie. - Nie mogła z nim teraz rozmawiać, naprawdę nie mogła. W tym momencie mogła go równie dobrze pocałować, jak i zabić.

- Co to jest? - zapytał i zanim Kait zdążyła się zorientować, wyciągnął jej z ręki kartkę.

Próbowała ją odebrać, ale był od niej szybszy.

- To nic takiego, to znaczy...

Rob wygładził papier, zerknął na rysunek, a potem spojrzął na nią *ostrym* wzrokiem.

* Joe Friday - fikcyjna postać detektywa w popularnym amerykańskim serialu telewizyjnym (przyp. tłum.).

- Ty to narysowałaś?

- Tak... ale nie ja to napisałam. Ja nie... Boże, to wszystko jest tak skomplikowane. - Kaitlyn czuła, że doszła do kresu swoich sił. Nie chciała już dłużej walczyć, naciskać, zasypywać nikogo pytaniami. Była zmęczona.

- Chodź - powiedział łagodnie Rob. Delikatnie, ale stanowczo wziął ją za łokieć i bez wahania zaprowadził do jedyne go wolnego pokoju na piętrze, pokoju, który dzielił z Lewisem. - A teraz wszystko mi opowiedz. - Usiadł obok niej na łóżku, jakby był jej bratem. Bez żadnego ukrytego motywu. To było nie do zniesienia, ale jednocześnie cudowne.

I te jego oczy. Miał takie poważne, niesamowite oczy. Takie mądre.

Mogę mu zaufać, pomyślała Kait. Nieważne, co się między nimi wydarzy, mogę mu zaufać.

- Chodzi o Marisol - zaczęła, a potem wszystko mu opowiedziała. O tym, jak obudziła się pierwszej nocy, a Marisol weszła do jej pokoju, o tych wszystkich dziwnych rzeczach, o których mówiła. „Uważaj albo wynoś się. To miejsce nie jest takie, jak myślisz”. O tym, jak Marisol następnego ranka stwierdziła, że to był tylko żart. O dzisiejszym eksperymencie i jak w jej głowie pojawiły się te wszystkie obrazy, kiedy Joyce przyczepiła jej do czoła tamten zimny przedmiot. Wreszcie o tym, jak Marisol wsunęła jej rysunek pod drzwi.

- A potem chciałam, żeby mi wszystko wyjaśniła, ale ona cały czas mówiła o jakimś badaniu pilotażowym | że gdybym wiedziała, dlaczego naprawdę tu jestem, wsiałabym do najbliższego samolotu do domu. I że Joyce nie ma pojęcia, co tu się naprawdę dzieje.

Przerwała. Myślała, że Rob zacznie się śmiać, ale on wcale tego nie zrobił. Zmarszczył tylko czoło i wydawał się zmartwiony i spięty.

- Jeśli Joyce nie wie, o co tu chodzi, to kto wie?

- Chyba pan Zetes. Ale to jakieś szaleństwo. Rob zacisnął usta.

- Może i tak - szepnął. - Ale sam się nad nim zastanawiałem...

- Wtedy, tego pierwszego dnia? Kiedy mówił o tym, że jesteśmy lepsi i obowiązują nas inne prawa?

Rob pokiwał głową, a Kaitlyn patrzyła na niego, już się nie wstydziła. Miała taką samą ponurą minę jak on. Wierzył jej, a to oznaczało, że sprawa była o wiele poważniejsza, niż wcześniej myślała. Coś było na rzeczy.

- I dlaczego sprowadził tu Gabriela? - dodał Rob.

- Tak - odrzekła powoli Kaitlyn. Któregoś dnia będzie musiała z nim pogadać o Gabrielu, ale nie teraz. - Ale co to wszystko znaczy?

- Nie wiem. - Rob jeszcze raz zerknął na rysunek. - Ale musimy się dowiedzieć. Musimy powiedzieć Joyce.

Kaitlyn przełknęła ślinę. Łatwiej było grozić, że powie Joyce, gdy była wściekła, niż teraz do niej iść. Ale oczywiście Rob miał rację.

- Chodźmy - powiedziała.

Pokój Joyce znajdował się w małym, wyłożonym boazerią korytarzu, który prowadził do frontowego laboratorium. Kiedyś była tu otoczona szkłem weranda. Przeszkolone drzwi były tak duże, że każdy, kto chciał, mógł z łatwością zajrzeć do środka z salonu lub z korytarza. Tylko Joyce mogła mieszkać w pokoju pozbawionym jakiegokolwiek prywatności, pomyślała Kait. To pewnie miało coś wspólnego z tym, że zawsze świetnie wyglądała, bez względu na to, czy miała na sobie elegancki kostium uszyty na miarę, czy różowy dres, jak dzisiejszego wieczoru.

- Cześć, dzieciaki - rzuciła, zerkając na nich znad laptopa. Światło z nocnej lampki odbijało się od szklanych ścian.

Kaitlyn ostrożnie usiadła na łóżku, a Rob wysunął sobie krzesło. Cały czas trzymał w dłoni rysunek. Joyce patrzyła to na jedno, to na drugie.

- Czemu macie takie poważne miny?

Kaitlyn wzięła głęboki wdech i w tym samym momencie Rob oznajmił:

- Musimy porozmawiać.

- Tak?

Kait i Rob wymienili spojrzenia. W końcu Kaitlyn nie wytrzymała:

- Chodzi o Marisol.

Joyce uniosła brwi ze zdziwienia.

- Tak?

- Opowiada Kaitlyn różne rzeczy - kontynuował Rob. -Dziwne rzeczy, o tym, że w Instytucie nie jest bezpiecznie. I jeszcze napisała coś takiego... na rysunku, który zrobiła Kait. Patrząc na nich w osłupieniu, Joyce rzuciła okiem na kartkę. Kait poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Wstrzymała oddech.

Kiedy Joyce odchyliła głowę, Kait przez chwilę myślała, że zacznie krzyżeć. Ale ona zaczęła się śmiać perlistym, muzykalnym, niczym niekontrolowanym śmiechem. Po chwili trochę się uspokoiła i zaczęła lekko prychać, ale gdy spojrzała na Kaitlyn i Roba, znowu wybuchła głośnym śmiechem.

Kaitlyn również uśmiechnęła się lekko, ale był to grzeczny, poważny uśmiech *osoby*, która czeka na puentę dowcipu. W końcu Joyce opadła na poduszki, wycierając z oczu łzy.

- Przepraszam... to naprawdę nie jest śmieszne. Po prostu... chodzi o jej lekarstwa. Pewnie przestała je brać.

- Marisol bierze jakieś lekarstwa? - zapytał Rob.

- Tak. I kiedy je bierze, czuje się świetnie. Ale czasami zapomina albo uznaje, że nie są jej potrzebne, i *wtedy...* cóż. Sami widzicie. - Joyce pomachała kartką papieru. - To chyba ma jakieś symboliczne znaczenie. Marisol zawsze się obawiała, że osoby o nadprzyrodzonych zdolnościach będą chciały nadużywać swojej mocy. - Joyce popatrzyła na Kaitlyn, wyraźnie powstrzymując się od śmiechu. - Mam nadzieję, że nie potraktowałaś tego dosłownie? Kaitlyn miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jak mogła być tak głupia? To wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem, powinna była się domyślić. A teraz jeszcze okazało się, że Marisol ma jakieś problemy emocjonalne albo psychiczne.

- Przepraszam - jęknęła.

Joyce machnęła ręką, zagryzając wargi, by się nie roześmiać.

- Daj spokój.

- Naprawdę przepraszam. Ale... to było trochę straszne, a ja nie rozumiałam, o co chodzi... Domyślałam się, że musi być jakieś proste wytłumaczenie, ale... - Kaitlyn wzięła głęboki wdech. - Boże, mam nadzieję, że nie wpakowałam jej w kłopoty.

- Nie, ale chyba powinnam porozmawiać z panem Zetesem - odparła Joyce, nagle dochodząc do siebie. - To on ją zatrudnił. Marisol zaczęła pracować jeszcze przede mną, zdaje się, że jest koleżanką jego córki.

To pan Zetes miał córkę? Musiała mieć już swoje lata, pomyślała Kaitlyn. Dziwne, że przyjaźniła się z kimś tak młodym jak Marisol.

- W każdym razie nie musicie się tym martwić - powiedziała Joyce. - Jutro porozmawiam z Marisol o tych lekarstwach i wszystko wyjaśnię. A tak przy okazji, kiedy to narysowałaś, Kait?

- Wczoraj, w trakcie eksperymentu na zdalne postrzeganie. Rzuciłam rysunek, jak usłyszałam krzyk tego chłopaka z irokezem.

- Jak on się czuje? - zapytał cicho Rob, patrząc na Joyce spokojnym wzrokiem.

- Świetnie - zapewniła go Joyce, ale Kaitlyn miała wrażenie, że jej głos brzmiał nieco defensywnie. - Dali mu coś na uspokojenie i wypisali go ze szpitala.

- Ponieważ - zaczął Rob - nadal uważam, że powinniście uważać na Ga...

- Jasne. Zmienię zasady dotyczące eksperymentów Gabriela. - Ton jej głosu zamykał dalszą dyskusję. Spojrzała na zegarek.

- Tak mi wstyd - powiedziała Kait, gdy szli z powrotem na górę.

- Czemu? Po tym, co zrobiła Marisol, miałaś prawo wiedzieć, co się dzieje. To prawda, ale Kait i tak uważała, że powinna się wcześniej zorientować. Powinna bardziej ufać panu Zetesowi, który w końcu płacił kupę forsy za to, by cała ich piątka mogła rozpocząć nowe życie. Powinna była się domyślić, że Marisol cierpi na jakieś paranoidalne urojenia.

Kiedy żegnała się z Robem na korytarzu, poczuła się samotna. Myślała, że oszaleje, gdy usłyszała jego wesołe „dobranoc”, jakby cieszyła go rola starszego brata. Jakby nigdy nie przeszło mu przez myśl, że mógłby być kimś innym, co w jego przypadku było całkiem możliwe. Zdaje się, że całkowicie wymazał z pamięci to, co wydarzyło się po południu. Kiedy weszła do sypialni, Anna usiadła na łóżku.

- Gdzie ty się podziewasz?

- Byłam na dole. - Chciała Annie wszystko opowiedzieć, ale była bardzo, bardzo zmęczona. Zaczęła grzebać w szufladzie, szukając koszuli nocnej. - Chyba położę się wcześniej spać, nie masz nic przeciwko?

- Jasne, że nie. Pewnie nadal kiepsko się czujesz - dodała Anna, a w jej głosie od razu pojawiła się troska.

Zanim zasnęła, Kaitlyn zdążyła jeszcze wymruczeć:

- Anno? Co to jest badanie pilotażowe?

- To chyba jakiś próbny eksperyment, który robi się przed tym prawdziwym. Jak pilotażowy odcinek programu telewizyjnego.

- Aha, dzięki. - Kaitlyn była zbyt śpiąca, by cokolwiek dodać. Ale pomyślała, że Marisol nie myliła się co do jednej rzeczy. Twierdziła, że była tu „w czasie badania pilotażowego”, a Joyce potwierdziła, że Marisol zatrudnił pan Zetes.

Ale cała reszta to stek bzdur. Jak to, że Joyce przyczepiła jej do czoła coś dziwnego. Boże, dobrze, że Rob nic o tym nie wspomniał, bo Joyce gotowa była uznać, że Kaitlyn też potrzebuje leczenia.

I Rob... Ale nie chciała o nim teraz myśleć. Zajmie się nim jutro.

lej nocy miała dziwne sny. W jednym z nich stała na smaganym wiatrem cyplu, spoglądając na zimny szary ocean. W kolejnym była z Marisol i grupą nieznajomych. Każdy z nich miał na czole dodatkowe oko. Marisol uśmiechnęła się do niej znacząco i powiedziała: „Myślisz, że jesteś taka sprytna, co? Też ci coś takiego wyrośnie. Ziarno zostało zasiane”. Potem pojawił się Gabriel i dodał: „Musimy na siebie uważać. Widzisz, co się dzieje, jak tego nie robimy?”

Kaitlyn wiedziała, o co mu chodzi. Rob wpadł w głęboką szczelinę i wołał o pomoc.

Wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc, ale Gabriel odciągnął ją do tyłu. Cały czas słyszała krzyk Roba...

Nagle się obudziła. Pokój zalany był jasnym porannym słońcem, ale krzyk był prawdziwy.

Rozdział 10

Krzyk był odległy i stłumiony, ale niewątpliwie histeryczny. *Zegar* wskazywał godzinę szóstą piętnaście. Gabriel, pomyślała z rozpaczą Kaitlyn, wyskakując z łóżka. Co tym razem zrobił?

Anna siedziała już na łóżku. Jej długie czarne włosy były rozpuszczone, oczy czujne, ale spokojne.

- Co się dzieje?

- Niewierni

Nie zwracając sobie głowy szlafrokami, wypadły na korytarz i natknęły się na Roba, który właśnie wychodził ze swojego pokoju w poszarpanych spodniach od piżamy. Kait poczuła ulgę, że krzyk nie był jego.

- Dochodzi z dołu - powiedział.

Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, a Kait i Anna pobiegły za nim. Po chwili usłyszeli czyjeś słowa.

- Pomocy! Boże! Niech ktoś pomoże! Szybko!

- To Lewis! - krzyknęła.

Cała trójka przemknęła przez jadalnię i wpadła do kuchni. Krzyk ustał.

- O nie - powiedziała Anna.

Lewis stał przy kuchennym zlewie i próbował złapać oddech. U jego stóp leżała jakaś postać. Marisol.

- Co się stało? - wykrztusiła Kait.

Ale Lewis tylko pokręcił głową. Rob upadł na kolana i delikatnie przekręcił dziewczynę na bok. Gdy Kaitlyn ujrzała jej twarz, kolana się pod nią ugięły. Pomimo oliwkowej cery twarz Marisol była biała jak kreda. Nawet usta miała blade. Jej powieki były lekko uchylone.

- Dzwoniłeś pod 911? - zapytała cicho Anna.

- To nie ma sensu - wykrztusił Lewis zdławionym głosem. Oparł się o zlew, a wzrok utkwiał w podłogę. Jego słodka, szelmowska twarz wydawała się przerażona. - Ona nie żyje. Wiem o tym.

Kaitlyn poczuła na całym ciele ciarki. Rob nie dotykał już Marisol. Słowa „nie żyje” wszystko zmieniły. Nagle Kait poczuła, że nie chce dotykać... jej ciała.

W końcu jednak uklękła obok i położyła dłoń na klatce piersiowej Marisol. I aż podskoczyła do góry.

- Chyba oddycha.

- Żyje - powiedział Rob z przekonaniem. Zamknął oczy

i położył palce na skroniach Marisol. - Jej siły życiowe są na wyczerpaniu, ale żyje. Spróbuję jej pomóc. - Przeszał mówić i usiadł nieruchomo ze skupioną twarzą.

W oddali Kaitlyn usłyszała, jak Anna dzwoni pod 911.

- Lewis, co się stało? - zapytała ponownie.

- To było jak... jak jakiś atak. Zszedłem na dół trochę wcześniej, bo byłem głodny, a ona tu stała i kroїła grejpfruty. Powiedziałem jej cześć, ale była dość opryskliwa i nagle ni stąd, ni zowąd upadła na ziemię. ~ Lewis przełknął ślinę i gwałtownie zamrugał. - Próbowałem ją podnieść, ale cała

się trzęsła. A potem przestała się ruszać. Myślałem, że nie żyje.

Lekarstwa, pomyślała Kait. Jeżeli Marisol brała lekarstwa z powodu tych ataków i nagle je odstawiła... A może miała cukrzycę? Czy cukrzycy też cierpieli na nagłe ataki?

- Gdzie jest Joyce? - zapytała, wstając. To było pierwsze pytanie jakie powinna była zadać. *Joyce* zawsze była tu przed nimi, popijała czarną kawę i pomagała Marisol przy śniadaniu.

- Na lodówce wisi jakaś kartka - zauważyła Anna. Kartka była przypięta magnesem w kształcie truskawki i napisana zwyczajnym odręcznym pismem:

„Marisol,

te filtry do kawy, które kupiłaś wczoraj, są złe. Jadę je wymienić. Zaczynaj robić śniadanie - pokrój grejpfruty i przygotuj babeczki. Ciasto do babeczek jest w niebieskiej misce w lodówce. Gdzie położyłaś rachunek?

J”

- Pojechała do sklepu - stwierdziła Kait. W tym samym momencie otworzyły się drzwi wejściowe.

- Joyce! - Kait i Lewis krzyknęli chórem, a Kait natychmiast pobiegła do salonu. - Joyce, coś się stało z Marisol!

Joyce pobiegła za nią do kuchni. Gdy zobaczyła leżącą na podłodze Marisol, rzuciła na blat ekologiczną torbę na zakupy, z której wysypało się kilka jabłek i filtrów do kawy.

- Boże, co się stało? - zapytała ostrym tonem. - Czy ona oddycha? - Dotknęła szyi Marisol, a potem jej nadgarstka, szukając pulsu.

Rob nic nie mówił. Siedział w pozycji lotosu przy głowie Marisol. Oczy miał zamknięte, a palcami dotykał jej skroni. Wpadające przez wschodnie okno poranne słońce ogrzewało jego opalone ramiona.

- Chyba zaczyna normalnie oddychać - szepnął Lewis. - Rob powiedział, że spróbuje jej pomóc.

Joyce spojrzała na Roba twardym wzrokiem, ale po chwili jej twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

- Dobrze ~ przytaknęła.

- Czy ona ma padaczkę? - zapytała Kaitlyn cichym, ale niecierpliwym głosem. - Bo Lewis mówił, że dostała jakiegoś ataku.

- Co? Nie - powiedziała w roztargnieniu Joyce. - A... chodzi ci o te lekarstwa? Nie, tamto było na coś zupełnie innego. Mówiła, że przepisał je psychiatra. Kto wie, może wzięła zbyt dużą dawkę. Nie miałam nawet okazji z nią porozmawiać.

- Wiem. Widzieliśmy twoją kartkę - zaczęła Kait - ale...

- Słysząc karetkę - przerwała jej Anna.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kait i Anna pobiegły do frontowych drzwi, żeby zatrzymać karetkę. W tym samym momencie pod dom zajechała czarna limuzyna, z której wysiadł pan Zetes.

A potem było sporo zamieszania. Pan Zetes pomimo laski poruszał się bardzo szybko! Ratownicy biegali wokół ze swoim sprzętem, a rottweilery nie przestawały ujadać. Kait próbowała zajrzeć do kuchni. Wokół panował potworny hałas.

- Wyprowadźcie psy! - krzyknął jeden z ratowników. Pan Zetes rzucił jakąś komendę i psy natychmiast wycofały się do salonu.

- Wyjdźcie z pokoju! - zawołał drugi ratownik. Próbował odciągnąć Roba, który cały czas się opierał.

Po chwili pan Zetes odezwał się tonem, który wszystkich uciszył:

- Młodziu, na górę. Ty też, Rob. Pozwólmymy, żeby zajęli się nią profesjonaliści.

- Ale proszę pana, ona ledwo żyje - zaczął Rob przejętym głosem.

- Przesuń się! - krzyknął ratownik. Rob się przesunął. Na schodach Kait natknęła się na Gabriela, który właśnie schodził na dół.

- Nie jesteśmy tam potrzebni - rzuciła. - Możesz wrócić na górę. Czemu tak długo nie schodziłeś?

- Nigdy nie wstaję przed siódmą - mruknął Gabriel, wracając po schodach. Był całkowicie ubrany.

- Nie słyszałeś naszych krzyków?

- Trudno było ich nie słyszeć, ale jakoś dałem radę.

Rob rzucił mu gniewne spojrzenie. W odpowiedzi Gabriel spojrzał na niego szyderczo, zerkając na jego bose stopy i targane włosy.

- Chodźcie, możemy wyrzeć przez okno w pokoju do nauki - powiedział Lewis i wszyscy pobiegli za nim z wyjątkiem Gabriela, który podszedł do drugiego okna.

Po chwili z budynku wyszli ratownicy z noszami. Lewis odruchowo dotknął leżącego na parapecie aparatu, ale po chwili opuścił rękę.

Patrzyli, jak ratownicy umieszczają nosze w karetce. Kait ogarnął strach, ale i wyrzuty sumienia. W otoczeniu rosłych ratowników i ich sprzętu twarz Marisol wydawała się bardzo mała.

- Mam nadzieję, że z tego wyjdzie. Musi wyzdrowieć. -Usiadła na parapecie. Nogi jej się *trzęsły*.

Anna usiadła i objęła ją ramieniem.

- Przynajmniej Joyce z nią jedzie - powiedziała cichym, łagodnym głosem. Kaitlyn poczuła, że zaczyna jej się udzielać jej spokój. Widziała, jak Joyce wchodzi do karetki, która po chwili odjechała. Została tylko czarna limuzyna.

Rob oparł czoło o szybą, stawiając kolano na parapecie tuż obok Kaitlyn. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że cały czas był w piżamie.

- Pan Zetes ma pecha - szepnął. - Za każdym razem, gdy się pojawia, coś się dzieje.

Kaitlyn zerknęła na Roba.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic takiego - odparł Rob, cały czas wyglądając przez okno. - Po *prostu* ma pecha, to *wszystko*.

Lewis i Anna patrzyli na niego ze zdumieniem. Kait spojrzała na czarną limuzynę i poczuła, że ogarnia ją niepokój.

Po jakimś czasie pan Zetes zawołał ich na dół, żeby szykowali się do szkoły. Nikt nie miał *ochoty na śniadanie*. Kait

nie chciała również iść do szkoły, ale pan Zetes nie pytał jej o zdanie. Zaprowadził ich do limuzyny i poprosił kierowcę, by zawiózł ich na miejsce.

- O rany, zapomniałam książki do socjologii - powiedziała Kait, gdy znaleźli się na rogu ulicy. Limuzyna zamiast zawrócić, po prostu się cofnęła.

Kait szybko weszła po schodach i otworzyła drzwi, mając świadomość, że pozostali czekają na nią w samochodzie. Wpadła do środka i zatrzymała się w pół kroku. W jej stronę biegły rozwścieczone rottweilery pana Zetesa, ślizgając się na drewnianej podłodze. Ich przerażające warczenie uderzyło ją z siłą prawdziwego ciosu.

Kaitlyn nigdy nie bała się psów, ale to nie były zwyczajne psy. To były śliniace się potwory. Widziała ich odsłonięte czarno-różowe dziąsła.

Zrozpaczona rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia i wtedy dostrzegła pana Zetesa.

Stał na środku małego korytarza prowadzącego do pokoju Joyce. Ale najdziwniejsze było to, że nie wiedziała, kiedy wszedł, a mogła przysiąc, że wcześniej go tu nie było. Patrzyła w tamtą stronę, bo stamtąd nadbiegły psy.

Była też pewna, że nie słyszała, jak otwierał albo zamykał drzwi. Zresztą frontowe laboratorium było zamknięte, podobnie jak pokój Joyce.

A innych drzwi nie było. Po prawej stronie była ściana, która podtrzymywała schody. Musiał więc wyjść z laboratorium albo z pokoju Joyce.

Kait zauważyła, jak lekko poruszył ustami i psy natychmiast zamilkły. Skinął do niej głową, przesywając ją wzrokiem.

- Zapomniałam podręcznika do socjologii - wydusiła nerwowo. Serce waliło jej z całej siły i nie wiedzieć czemu czuła się tak, jakby została przyłapana na kłamstwie.

- Rozumiem. Biegnij więc na górę - polecił, a potem zaczekał, aż zejdzie na dół, i odprowadził ją do drzwi.

Rysunek pojawił się na plastyce.

Kaitlyn cały dzień rozmyślała o panu Zetesie i odkryła ciekawą rzecz. Okazało się, że można mieć kiepski nastrój, mimo że ludzie są dla ciebie mili. Kilka cheerleaderek i naprawdę fajnych chłopaków przysiadło się do nich w trakcie lunchu, by pogadać, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia. I chociaż bardzo starała się skupić na rozmowie, jej myśli cały czas dry-

fowały w kierunku pana Zetesa. Widziała, jak stoi w tamtym korytarzu. Pojawił się znikąd, jak czarodziej wyskakujący nagle z zamkniętej skrzyni.

Na plastyce Kaitlyn miała pracować nad swoją kolekcją rysunków. Tą, która mogła załatwić jej miejsce w college'u, ale zupełnie nie mogła się skupić. Wszystko wokół wydawało się rozmazane i szumiało jej w głowie.

Jak zaczarowana sięgnęła po czystą kartkę i pastelowe kredki.

Uwielbiała pastele, ponieważ szybko przenosiły na papier to, co widziała wokół. Były szybkie, płynne, pełne energii - wolne. Gdy rysowała normalne rysunki, zwykle najpierw szkicowała podstawowe kształty, a potem dodawała szczegóły. Ale gdy pojawiały się te drugie, te, których nie była w stanie kontrolować...

Obserwowała swoją dłoń i widziała, jak nanosi na papier niewielkie karminowe i szkarłatne plamki, które ułożyły się w kształt prostokąta, 'wysokiego prostokąta. Wokół dodała nieco brązu van Dyke'a i palonej umbry. Brązowe plamki w końcu ułożyły się w błyszczący wzór ze zwojami i kreskami, które przypominały drewno.

Jej dłoń zawahała się nad pudełkiem z kredkami - jaki kolor ma być następny? Po chwili sięgnęła po czern.

Wewnątrz prostokąta zaroilo się od czarnych kresek, które utworzyły jakiś kształt. Pojawiła się sylwetka człowieka o szerokich ramionach, a biegnące w dół kreski przypominały płaszcz. Mężczyzna w płaszczu.

Kaitlyn oparta się na krześle i spojrzała na rysunek.

Od razu go rozpoznała. To był jeden z motywów, który przewinął się *wczoraj* w jej głowie - drzwi. Z tym że teraz widziała już cały obraz.

Mężczyzna w płaszczu, stojący w otwartych drzwiach. Czerwone światło sprawiało, że mężczyzna wydawał się otoczony energią. A wokół drzwi było drewno - boazeria.

Ściana naprzeciwko drzwi do pokoju Joyce pokryta była boazerią.

- Niezła technika z użyciem złamanych kolorów. - Kaitlyn usłyszała nad głową czyjś głos. - Potrzebujesz utrwalacza?

Kaitlyn pokręciła głową, a nauczycielka poszła dalej.

Po szkole odebrała ich limuzyna. Gdy wrócili do domu, pan Zetes oświadczył im, że Joyce cały czas jest w szpitalu, a Marisol nadal jest nieprzytomna. Tego dnia miało nie być żadnych testów.

Kait zaczęła, aż wszyscy wejdą na górę, a potem po kolei ich zawołała.

- Musimy pogadać. Chodźcie do pokoju do nauki - powiedziała.

Anna, Lewis i Rob zjawili się od razu, a Gabriel dopiero wtedy, gdy wsadziła głowę do jego pokoju i syknęła.

Kiedy wszyscy byli już w środku, zamknęła drzwi i włączyła telewizor. Pokazała im rysunek i opowiedziała o tym, co zobaczyła rano.

- Myślisz, że tam są jakieś drzwi? - zapytał Lewis. - Ale co to znaczy? I właściwie co z tego? Kaitlyn spojrzała na Roba, który patrzył na nią ciemnym wzrokiem.

- To nie wszystko. - I opowiedziała im o tym, o czym poprzedniego wieczoru powiedziała Robowi i Gabrielowi. O wszystkim, o ostrzeżeniach Marisol i tych różnych dziwnych rzeczach, które się wydarzyły.

Kiedy skończyła mówić, w pokoju zapadła cisza. Słychać było jedynie muzykę z grającego telewizora.

Anna pochyliła lekko głowę, a jej długi warkocz opadł na kolana. Jej wzrok wydawał się oddalony i smutny. Lewis potarł nos i zmarszczył czoło. Rob miał zacięty wyraz twarzy, a dłonie zacisnął w pięści i położył na kolanach. Kaitlyn mocno zacisnęła palce na szkiełku.

Gabriel siedział z nogą przewieszoną przez oparcie kanapy, bawiąc się ćwierćdolarówką, którą co chwilę podrzucał i łapał. Wydawał się zupełnie niezainteresowany.

W końcu odezwała się Anna:

- Coś się tu dzieje. To wszystko można pewnie jakoś wytłumaczyć. To, co mówiła Marisol, czy ten zimny przedmiot, który wyczułaś na czole. Ale gdy zbierze się to wszystko razem...

- Coś tu nie gra - podpowiedział Rob.

- Coś tu nie gra - powtórzyła Anna. Twarz Lewisa nagle pojaśniała.

- Słuchajcie, jeżeli myślicie, że tam są jakieś drzwi, to może sprawdzimy?

- Nie możemy - powiedziała Anna. - Pan Zetes jest w salonie. I jego psy również.

- Kiedyś w końcu wyjdzie - stwierdził Rob. Lewis się wzdrygnął.

- Naprawdę myślicie, że w Instytucie coś jest nie tak? Naprawdę tak myślicie? - zwrócił się do Roba. - Przecież mówiłaś, że uwielbiasz to miejsce i podoba ci się cały ten pomysł.

Gabriel prychnął. Rob postanowił go zignorować.

- Sam pomysł mi się podoba - przyznał. - Ale w rzeczywistości. .. Mam złe przeczucia i Kait również.

Wszyscy popatrzyli na Kait, która się zawahała.

- Nie wiem, jakie mam przeczucia - odezwała się w końcu, spoglądając na rysunek przedstawiający drzwi. - Nie wiem nawet, czy powinnam ufać moim rysunkom. Ale jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

Kolejne pół godziny spędzili na planowaniu włamania, tak naprawdę zajęło im to pięć minut, przez pozostałe dwadzieścia pięć próbowali przekonać Gabriela, by im pomógł.

- Nie, dziękuję, nie liczcie na mnie - powiedział.

- Nie musiałbyś nawet wchodzić do środka - namawiała go Kaitlyn przez zaciśnięte zęby. - Siedziałbyś tylko przy oknie i uważał na samochody.

Gabriel pokręcił głową.

Anna próbowała spokojnej perswazji, a Lewis przekupstwa. Nic nie pomogło.

W końcu Rob wstał i skierował się w stronę drzwi z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Przestańcie mu nadskakiwać. Strach go obleciał i tyle. To bez znaczenia. Poradzimy sobie bez niego.

Gabriel spojrział na niego twardym wzrokiem.

- Strach?

Rob nawet na niego nie spojrział.

- Dokładnie. Gabriel wstał.

- Możesz to powtórzyć?

Tym razem Rob się odwrócił. Stał naprzeciwko Gabriela i spojrział mu prosto w oczy.

Między nimi rozpoczęła się cicha walka.

Kaitlyn obserwowała ich z zapartym tchem. Po raz kolejny pomyślała o tym, jak bardzo się od siebie różnili, jak dwa przeciwieństwa. Roba otaczała złocista energia, jego kręcone włosy były potargane, a oczy płonęły. Gabriela otaczał mrok, jego skóra była jeszcze bledszą niż zazwyczaj, włosy jeszcze ciemniejsze, a zimne oczy wydawały się nie mieć dna.

Jak słońce i czarna otchłań, tuż obok siebie, pomyślała Kait. W tym momencie obraz wrył jej się głęboko w pamięć. Ale nigdy go nie narysuje. Był zbyt przerażający.

Poza tym bała się o Roba. Wiedziała, do czego zdolny był Gabriel, z nożem czy bez noża.

Jeśli zaczną się bić...

- Idę na dół - oznajmiła nagle. - Zapytam pana Zetesa, czy możemy zamówić pizzę.

Wszyscy spojrzeli na nią w zdumieniu, ale po chwili Kait dostrzegła błysk zrozumienia w oczach Anny.

- Świetny pomysł. Jestem pewna, że nikomu nie chce się szykować kolacji. - Anna wstała i delikatnie wzięła Roba pod ramię. Po drodze trąciła Lewisa nogą.

- W porządku. - Lewis włożył na głowę swoją bejsbolówkę. Wciąż patrzył na Gabriela.

Po chwili, ku radości Kaitlyn, obaj wojownicy odwróciły wzrok i odsunęły się od siebie. Rob poddał się łagodnym naciskom Anny, a Kaitlyn upewniła się, że zniknął za drzwiami.

Potem spojrzała na Gabriela.

Jego oczy nadal przypominały dwie czarne dziury, ale na I twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

- Możesz to odkładać w *czasie*, *ale* w końcu i tak do tego dojdzie - powiedział. Zanim Kaitlyn *zdążyła zapytać*, o co mu chodzi, dodał: - Będę uważał na samochody. Ale to wszystko. Nie mam zamiaru nadstawiać za was karku. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziecie musieli radzić sobie sami. Kaitlyn wzruszyła ramionami.

- Zawsze musiałam radzić sobie sama - stwierdziła i poszła na doi zamówić pizzę.

Pan Zetes odjechał dopiero o jedenastej. Kaitlyn nie chciała, by zostali z nim po kolacji na dole. Bała się, że ktoś może się wygadać. Poszli więc do pokoju do nauki, udając, że odrabiają lekcje, i cały czas czekali, aż sobie pojedzie.

W końcu wezwał ich na schody i oświadczył, że *Joyce powinna lada*

Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że Kaitlyn nie bardzo wiedziała, co się stało.

Wiedziała tylko, że chwyciła za ramię, żeby go zatrzymać. Pomyślała, że tylko Anna może poradzić sobie z psem. Po chwili Anna uniosła dłoń w rozkazującym geście „stop”, ale pies cały czas się do niej zbliżał. Poruszał się jak naoliwiona maszyna, ukazując przy tym wszystkie zęby.

- Nie! - krzyknęła ostro Anna i dodała kilka słów w języku, którego Kaitlyn nie rozumiała. - *Hwhee, Sokwa!* Bracie Wilku, idź spać! To nie pora na polowanie. Połóż się i śpij.

Po chwili, nie okazując najmniejszych oznak strachu, wyciągnęła rękę w kierunku

warczącego psa. Jedną ręką chwyciła go za pysk, a drugą za kark. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Jestem przywódcą stada - powiedziała wyraźnie. - To nie jest twoje terytorium. Ja tu rządzę.

- Kaitlyn miała wrażenie, że słowa stanowią jedynie część komunikacji. Pomiędzy pełną wdzięku dziewczyną a zwierzęciem działo się coś, czego nie dało opisać się słowami.

A pies zaczął reagować. Schował zęby i położył sierść. Co więcej, cały się spłaszczył i niemal dotykał brzuchem podłogi. Unikał kontaktu wzrokowego, przybierając uległą postawę.

Anna wyciągnęła rękę do drugiego psa, który niemal czołgał się po ziemi. Chwyciła go za pysk, zaznaczając swoją dominację.

Rob uniósł do góry brwi.

- Jak długo możesz je tak utrzymać?

- Nie wiem - odparła Anna, nie odwracając głowy. - Postaram się je tu zatrzymać, ale musicie się pośpieszyć. - Przechyliła głowę i nie odrywając oczu od psów, zaczęła coś cicho nucić.

Kaitlyn nie rozumiała słów, ale melodia była kojąca. Psy wyglądały jak zaczarowane. Zaczęły się płaszczyć i dotykać jej nosem.

- Chodźmy - powiedział Rob.

Boazeria w przedpokoju była ciemna, orzech albo mahoń, pomyślała z roztargnieniem Kaitlyn. Oboje z Robem zaczęli ją dokładnie badać, a Lewis przyglądał im się sceptycznie.

- Tutaj. - Kait wskazała na środkowy panel. - Zobaczcie, tu jest chyba jakaś szpara. To może być górna część drzwi.

- To znaczy, że gdzieś tutaj powinna być jakaś dźwignia - stwierdził Rob, przesuwając palcami po gładkiej powierzchni drewna i rowkach pomiędzy panelami. - Ale w ten sposób nigdy jej nie znajdziemy. Może trzeba coś nacisnąć w kilku miejscach albo zrobić coś w określonej kolejności.

- Dobra, Lewis - stwierdziła w końcu Kait. - Bierz się do roboty.

Lewis precyzyjnie się między nimi, mrużąc coś pod nosem.

- Ale nie wiem, co mam robić. Nie znam się na tajemnych przejściach.

- Przecież kiedy używasz SPK przy generatorze liczb losowych, też nie wiesz, co dokładnie robisz, prawda? - zapytała Kaitlyn. - Więc jak ci się to udaje?

- Po prostu... to mój umysł. Nie robię tego świadomie. Dotykam i obserwuję, co się stanie, a jeśli coś się dzieje, robię to dalej.

- To jak biologiczne sprzężenie zwrotne - wtrącił Rob. - Ludzie nie wiedzą, w jaki sposób spowalniają rytm serca, a potrafią to zrobić.

- No to sprawdź tę ścianę i zobacz, czy coś się stanie. - Kait powiedziała do Lewisa. - Musimy znaleźć te drzwi, jeżeli w ogóle tu są.

Lewis zaczął lekko stukać palcami w panele. Co jakiś czas przestawał i naciskał na drewno, spinając przy tym całe ciało. Kaitlyn wiedziała, że jego umysł mocno pracuje.

- No dalej, gdzie jesteś? - mrużąc pod nosem. - Otwórz się, otwórz.

Nagle coś trzasnęło.

- Udało się! - krzyknął Lewis. Wydawał się zdumiony.

Kaitlyn wpatrywała się w ścianę, czując, że nogi się pod nią uginają.

A jednak były jakieś drzwi, a przynajmniej jakieś przejście/ Środkowy panel cofnął się i gładko przesunął w lewą stronę. W solidnej wydawałoby się ścianie zrobiła się dziura. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak na rysunku Kaitlyn, z tym że w przejściu nie było żadnej postaci. Ale były schody, które prowadziły w dół. Były słabo oświetlone na wpół zasłoniętymi czerwonymi światełkami, które znajdowały się na poziomie nóg. Prawdopodobnie włączały się, kiedy ktoś otwierał drzwi.

- Chryste - jęknął Lewis.

- Czemu tu jest tak ciemno? - wymamrotała Kait. - Dla- ; czego nie ma normalnego światła? Rob wskazał głową na przeszklone drzwi od pokoju Joyce, które znajdowały się naprzeciwko.

- Może dlatego, że ona tam jest. A w ten sposób można tu wejść niezauważonym, nawet nocą. Kaitlyn zmarszczyła brwi, a potem wzruszyła ramionami. Nie było czasu, żeby się nad teraz tym zastanawiać.

- Lewisie, ty tu zostań. Jak Gabriel krzyknie, że widzi na podjeździe jakieś światła, daj nam znać. Wrócimy szybko na górę i będziesz mógł zamknąć drzwi.

- Jeśli będę wiedział, jak to zrobić - odparł Lewis. - To tak, jakbym próbował nauczyć się ruszać uszami. Dowiem się, jak to się robi, dopiero jak spróbuję. - Ale *pozostał na swoim stanowisku.*

- Pójdę pierwszy - postanowił Rob, ostrożnie schodząc po I schodach.

Kaitlyn ruszyła za nim, żałując, że nie wzięła latarki. Wcale nie podobała jej się ta wyprawa w ciemnoczerwony mrok. Światła oświetlały tylko podłogę, a schody wyglądały tak, jakby były zawieszane w próżni.

- Jesteśmy na dole - stwierdził Rob. - Tu jest chyba *kolejny* korytarz. Poczekaj chwilę, chyba znalazłem włącznik.

Zalało ich chłodne zielone światło fluorescencyjne. Znajdowali się w krótkim korytarzu, na którego końcu były pojedyncze drzwi.

- Możemy znowu potrzebować Lewisa - zauważyła Kaitlyn, ale Rob otworzył drzwi, przekręcając klamkę.

Kaitlyn nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego, co zobaczyła. Był to zwyczajny gabinet z narożnym biurkiem, komputerem i szafką na segregatory. Po przygodzie z ruchomymi panelami i mrocznymi schodami czuła się nieco rozczarowana.

Spojrzała na Roba.

- Nie sądzisz chyba... A może się jednak pomyliliśmy? Może facet ma tu po prostu swój sekretny gabinet, bo jest ekscentrykiem? To przecież możliwe.

- Wszystko jest możliwe - powiedział krótko Rob, a Kaitlyn zrozumiała, że sam się nad tym zastanawiał. Podszedł do segregatorów i z trzaskiem wysunął jakąś szufladę.

Hałas sprawił, że Kaitlyn aż podskoczyła. Jeżeli faktycznie się pomylili, nie mieli prawa tu być.

Podeszła do biurka i zerknęła na papiery leżące w przegródce na listy. Były tam listy zaadresowane do pana Zetesa, głównie od osób o ważnie brzmiących nazwiskach. Same kopie i duplikaty. Wielkie rzeczy.

- Wiesz co? - odezwała się ponuro, przeglądając korespondencję. - Właśnie o czymś pomyślałam. Gdyby pan Zetes naprawdę chciał coś ukryć, nigdy by tego nie schował tutaj. Po co miałby to robić? Musi mieć jakieś lepsze miejsca. Chyba ma gdzieś jakiś dom, prawda? Ma swoją firmę...

- Kaitlyn.

- Co?

- Chyba powinnaś to zobaczyć. - Rob wyciągnął z szafki jakąś teczkę. Na okładce było zdjęcie Kait, a poniżej napis zrobiony drukowanymi literami: „Kaitlyn Brady Fairchild, Projekt »Czarna Błyskawica«”.

- Co to jest Projekt „Czarna Błyskawica”?

- Nie mam pojęcia. Ale każdy z nas ma taką teczkę. W środku są jakieś papiery, jakieś informacje. Wiedziałaś, że mają tu twoją metrykę urodzenia?

- Prawnicy mówili ojcu, że była im potrzebna... Co to jest?

- Chyba jakiś wykres dotyczący twoich eksperymentów. - Rob przejechał palcem po dolnej osi. - Zobacz, ten wpis jest z wczoraj. Pierwszy eksperyment z... i jakieś słowo, którego nie potrafię rozczytać.

- Pierwszy eksperyment z czymś tam - powtórzyła powoli Kaitlyn, dotykając czoła. - Ale co to wszystko znaczy?

Rob pokręcił głową.

- Są tu też te czki z innymi nazwiskami. - Podniósł do góry kolejną, na której było zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny o ciemnobrązowych włosach. Pod spodem był napis „Sabrina Jessica Galio, projekt „Czarna Błyskawica, badanie pilotażowe”.

W poprzek kartki ktoś napisał czerwonym tuszem: „Zakończone”.

Kaitlyn i Rob spojrzeli na siebie.

- Co zostało zakończone? - wykrztusiła Kait. - Badanie czy dziewczyna?

Bez słowa, pod wpływem wspólnego impulsu, wrócili do swoich poszukiwań.

- W porządku, mam jakiś list - powiedziała po chwili Kait. - Od sędzi Susan Baldwin. Tu jest napisane: „W załączeniu znajduje się lista potencjalnych klientów zainteresowanych projektem”. Projektem. - Kaitlyn zerknęła na listę. - Max Lawrence, czeka na wyrok, pierwszego maja. TriTech, Inc., spotkanie dotyczące ugody z Clifford Electronics limited, dwudziesty czwarty czerwca. Same nazwiska i nazwy firm, daty rozpraw i tym podobne.

- Znalazłem jeszcze jedną teczkę ~ dodał Rob. - Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale chyba o jakąś starą dotację z NASA. Iak, dotacja z NASA na pół miliona dolarów z osiemdziesiątego szóstego. Zawahał się i ostrożnie przeczytał: - „Na... zbadanie możliwości rozwoju broni psychoaktywnej”.

- Co takiego? - zapytała zrezygnowana Kaitlyn. - Psyche, co?

Rob patrzył na nią ponurym wzrokiem.

- Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale zdaje się, że nic dobrego. Pan Zetes o wielu rzeczach nam nie powiedział.

I To miejsce jest inne, niż myślisz - przypomniała sobie Hltlyn. - Więc jednak było jakieś badanie pilotażowe, Marisol mówiła prawdę. Ale co się stało z tamtymi dziećmi? Co się P&ło z Sabriną?

- I co się stanie z... - Nagle urwał. - Słyszałaś? Tam na -górze?

Kaitlyn nadstawiła uszu, ale nic nie słyszała. Gabriel był wściekły.

Cały plan był idiotyczny. Po co mieszał się w coś, co ewidentnie nie było ich sprawą?

Powinni zacząć się martwić wtedy, kiedy pan Zetes naprawdę będzie chciał im coś zrobić, a nie teraz. Wtedy trzeba będzie z nim walczyć, a może nawet go zabić, jeżeli okaże się to konieczne. To był tylko staruszek. Po co niszczyć układ, który był bardzo wygodny?

Gabriel był pewien, że to był jego pomysł. Kesslera. Cnotliwy Rob najwyraźniej doszedł do wniosku, że przyjęcie tak dużej sumy pieniędzy nie było uczciwe. I musiał to jakoś zepsuć. Ale Kaitlyn była taka sama. Na dodatek była całkowicie zauroczona Kesslerem. Czemu miałby się przejmować dziewczyną zakochaną w facecie, którego nienawidził? Dziewczyną, która nie dawała mu spokoju...

Dziewczyną o płomiennych włosach i oczach czarownicy, szeptał mu umysł.

Dziewczyną, która go prześladowała i cały czas wierciła mu dziurę w brzuchu...

Dziewczyną, która stanowi dla ciebie wyzwanie, szeptał mu umysł. Która mogła okazać się równą partnerką.

Dziewczyną, która nie dawała mu spokoju i próbowała dostać się do jego wnętrza...

Której dusza była taka sama jak jego. Zamknij się wreszcie, powiedział Gabriel, spoglądając ponurym wzrokiem przez okno.

Ulica przed Instytutem była cicha i pusta. Oczywiście, minęła już północ, a to znaczyło, że tutaj, na przedmieściach, wszyscy grzecznie leżeli w łóżeczkach.

Jednak Gabriel czuł się nieswojo. Podświadomie wyczuwał jakieś niewyraźne dźwięki. To pewnie samochody *gdzieś* za Instytutem,

Samochody... Nagle zeszytnął. Zmrużył oczy, przez chwilę uważnie czegoś nasłuchiwał, a potem opuścił wnękę okienną.

Wejrzał przez zachodnie okno, ale nic tam nie było. Bezszerebnym krokiem włamywacza wszedł do pokoju Roba i Lewisa i wyjrzał przez tylne okno, skierowane na północ.

I zobaczył limuzynę. Musiała przyjechać wąską gruntową drogą, która znajdowała się na tyłach domu. Pytanie tylko, czy Zetes dopiero miał z niej wyjść, czy...

Nagle usłyszał jak w kuchni, bezpośrednio pod nim, otwierają się drzwi.

Tylne drzwi, pomyślał. A ci idioci na dole czekają, aż wejdzie frontowymi drzwiami.

Nie było czasu, żeby biec na dół, by ich ostrzec, poza tym Zetes usłyszałby jego krzyk.

Gabriel wydał wargi. Co za pech. Kaitlyn znała prawdę. Powiedział jej, że nie będzie dla niej nadstawiał karku. I tak nie mógł nic zrobić, chyba że...

Pokręcił lekko głową. Nie. W ciemnej szybie odbijały się jego zimne, twarde oczy.

Poniżej usłyszał trzask kuchennych drzwi. Nie, mówił sobie. Nie zrobię tego. Nie zrobię...

Na samym dole przegródki na listy leżała kartka z jakimiś gryzmołami, jakby ktoś rysował, rozmawiając przez telefon. Kaitlyn ledwo zdołała odczytać słowa: „Operacja »Uderzenie Błyskawicy*“ i „Telepatyczny zespół *uderzeniowy*”.

- Dziwne - zaczęła, ale nie miała okazji dokończyć, gdyż nagle coś ją uderzyło.

Na początku nie wiedziała, co się stało. Czuła się tak, jak wtedy, gdy Rob przekazywał jej uzdrawiającą energię. To było coś, czego nie dało się ogarnąć zmysłem wzroku, słuchu czy smaku. Z tym że energia płynąca od Roba była cudowna,

Orzeźwiająca i przyjemna, a teraz poczuła się tak, jakby uderzył w nią rozpędzony pociąg. Jakby ktoś ją nagle zaatakował.

I chociaż jej zmysły niczego nie wyczuły, to w nozdrza uderzył ją zapach róż, a potem swąd spalenizny. Czuła w głowie bolesne pieczenie, które cały czas narastało, aż w końcu zgasło niczym lampa błyskowa Lewisa. Chwilę po wybuchu usłyszała czyjś głos.

To był Gabriel.

Wynoście się stamtąd! Wrócił, wszedł tylnym wejściem!

Przez chwilę Kait stała jak sparaliżowana. Wiedziała, że Gabriel potrafił porozumieć się z jej umysłem, ale teraz naprawdę to usłyszała. Na początku myślała, że ma halucynacje; to nie było możliwe.

- Boże, on jest telepatą - wysapał Rob.

Zamknij się, Kessler. Ruszcie się. Zróbcie coś, bo zaraz was znajdzie.

Kaitlyn poczuła kolejną falę zdumienia. Komunikacja działała w obie strony, Gabriel słyszał też Roba. Nagle obudził się w niej jakiś prymitywny instynkt, odsuwając na bok wszelkie spekulacje. To nie była pora na rozmyślanie. Trzeba było działać.

Wrzuciła listy z powrotem do przegrody i zamknęła szuflady w szafce z segregatorami.

Potem wpadła na pewien pomysł i próbowała zrobić coś, czego nigdy wcześniej nie robiła.

Próbowała przesłać swoje myśli. Nie wiedziała, jak to się robi, ale spróbowała skoncentrować się na zapachu spalonych róż, który cały czas miała w głowie.

Gabrieliu, słyszysz mnie? Powiedz Annie, że on wrócił. Powiedz, żeby zatrzymała psy, dopóki...

Słyszę cię, Kaitlyn. Tu Anna. Jej głos wydawał się łagodniejszy i spokojniejszy niż Gabriela.

Był podobny do jej prawdziwego głosu.

Kaitlyn właśnie zdała sobie z czegoś sprawę. Nie tylko słyszała Annę, ale czuła też, gdzie ona jest i co robi. I Lewisa...

Lewis, zamknij panel, pomyślała. A potem biegnij na górę. Anno, jak on skończy, wypuść psy.

A wy co zrobicie? - zapytał Lewis. Kait czuła, że pracował już nad panelem.

Schowamy się, odparł krótko Rob, gasząc fluorescencyjne światło, które oświetlało korytarz i gabinet.

Kaitlyn wydawało się, że od chwili wybuchu w jej głowie minęło kilka godzin, choć wiedziała, że upłynęło zaledwie kilka sekund. Telepatia może i była niepokojąca, ale była też niezwykle skutecznym sposobem komunikacji.

Zamknąłem panel Idę na górę, powiedział Lewis.

Wypuszczam psy, szybko, Lewisie! Chodźmy! Tym razem głos Anny był ostrzejszy i Kait wyczuła jej zniecierpliwienie.

Co się dzieje? - zapytała Kait.

Czekaj, chyba wszystko w porządku. Tak. Kait poczuła, że Anna odetchnęła z ulgą. *Gdy biegliśmy po schodach, akurat wychodził z jadalni, ale chyba nas nie zauważył. Patrzył na psy.*

Lepiej idźcie do łóżka. Może wejść na górę, powiedział Rob. Kaitlyn spozjrzała na niego w ciemnościach. To było fascynujące. Jego cichy głos brzmiał dokładnie tak samo, jak jego zwyczajny głos, ale był mocniejszy i bardziej prawdziwy. Wydawało się, że jest go w nim więcej. W tym momencie wyczuła jego cichą troskę o Annę i Lewisa.

- Albo zejdzie tutaj - usłyszała jego szept. - Chodźmy. Wziął ją za rękę. Nie miała pojęcia, w jaki sposób potrafił

manewrować w ciemnościach, ale po chwili zaprowadził ich do biurka w rogu pokoju.

- Wejdz pod biurko - wyszeptał. - Szafki zasłaniają widok od strony drzwi.

Kaitlyn wcisnęła się w wąską szczelinę.

A potem czekali. Nic innego nie mogli zrobić. Serce Kaitlyn waliło z całej siły i w panującej wokół ciszy wydawało się, że je słycać. Czuła, że ma mokre ręce. Siedzenie bez ruchu było o wiele trudniejsze niż poruszanie się i mówienie.

Nagle ogarnął ją strach. To była moc Gabriela, prawda? Ta sama, która zabiła Iris, dziewczynę w Durham. Ta sama, która po czterdziestu pięciu sekundach doprowadziła do szaleństwa

chłopaka z irokezem. Jak długo utrzymywał już to połączenie?. I ile czasu minie, zanim zaczniesz wysysać z nich energię?

„Wszystko może wymknąć się spod kontroli”, przypomniała sobie jego słowa. Mówił, że jeśli kontakt jest krótki, potrafi się kontrolować.

Cały czas się bała. Chociaż Gabriel nie odzywał się ani słowem, wyraźnie czuła jego obecność. Mocną, otoczoną gładkim, twardym murem. Utrzymywał między nimi kontakt, ale z każdą upływającą sekundą, ten kontakt robił się coraz bardziej niebezpieczny.

Nagle poczuła, że Rob zeszywniał.

Posłuchaj, powiedział.

Kaitlyn usłyszała jakiś dźwięk. Ktoś coś przesunął, jakiś trzask. Panel.

To chyba nie Lewis, szepnął Rob.

Na pewno nie, ja jestem w łóżku, odezwał się Lewis.

Głos Anny był wyraźny i zdeterminowany. *Kait, chcesz, żebyśmy coś zrobili?*

Kait wzięła głęboki wdech, a potem pomyślała: *Nie, trzymajcie się. Poradzimy sobie.* W tym samym momencie poczuła, jak Rob ścisnął jej rękę. Niektóre rzeczy dało się wyrazić bez pomocy telepatii. Oboje wiedzieli, że są w niezłych opałach, ale Kait nie miała pojęcia, jak Anna mogłaby im pomóc.

Nagle podłogę gabinetu zalało światło, ułożone w rozproszony wzór wachlarza. Pan Zetes zapalił na korytarzu fluorescencyjne lampy.

Błagam, niech on tu nie wchodzi, niech nie wchodzi, pomyślała Kaitlyn. A potem próbowała o tym nie myśleć, na wypadek gdyby pozostali wyczuli jej panikę.

Drzwi do gabinetu otworzyły się, a do środka wlało się jeszcze więcej światła.

Siedząc pod biurkiem, Kaitlyn schowała twarz na ramieniu Roba i próbowała się nie ruszać. Jeśli nie wejdzie do środka, jeśli tylko zajrzy...

Więcej światła. Pan Zetes włączył lampę w gabinecie. Jak tylko wyjdzie za szafkę z segregatorami, od razu ich zobaczy.

Ciekawe, czy nas też usunie, pomyślała Kait. Jak Sabrinę. Jak Marisol. Miała ochotę wyskoczyć ze swojej kryjówki, skonfrontować się z panem Zetesem i zakończyć całą sprawę. I tak byli zgubieni. Jedyne, co ją powstrzymywało, to Rob, który mocno trzymał ją za ramię. Wtedy usłyszała na górze potworny hałas. Psy zaczęły? szczekać i ujadać.

Co się stało? - pomyślała.

W odpowiedzi usłyszała sarkastyczny i rozgniewany głos Gabriela. *Rozdrażniłem trochę psy. Myślę, że to powinno sprowadzić go na górę.*

Kaitlyn wstrzymała oddech. Nastąpiła krótka pauza i po chwili światła w gabinecie zgasły, a drzwi się zamknęły. Za chwilę zgasło też światło na korytarzu, a potem usłyszała trzask. Oparła się o Roba, który mocno objął ją ramieniem. Chwyła się go kurczowo, chociaż naprawdę było tam za gorąco na uściski.

Na górze cały czas słyhać było ujadanie psów. Po chwili hałas ucichł, jakby się nieco oddalił.

I znowu usłyszała głos Gabriela. *Zabiera psy do limuzyny. Chyba już nie wróci, ale Joyce może pojawić się w każdej chwili.*

Lewis, odezwał się Rob. *Pomóż nam się stąd wydostać.*

Dziesięć minut później wszyscy siedzieli już w pokoju do nauki.

Było zupełnie ciemno, a mrok rozświetlał jedynie wpadający przez okno blask księżycy.

Prawie się nie widzieli, ale nie miało to znaczenia. Wyczuwali swoją obecność.

Kaitlyn nigdy w życiu nie czuła się tak świadoma innych ludzi. Wiedziała, gdzie każdy z nich jest, i miała mglistą świadomość tego, co każdy robił. Jakby nie byli do końca rozdzieleni - odizolowani, ale połączeni.

Jak owady, które wpadły w olbrzymią pajęczynę, pomyślała. Połączone niemal niewidoczną nicią. Każde pociągnięcie

sieci oznaczało, że ktoś inny się porusza. W jej głowie od razu powstał obraz: cała piątka uwięziona na jedwabnych niciach, które wibrowały od mocy.

- Niezła wizja. Ale nie chcę być uwięziony z wami w pajęczynie - powiedział cicho Lewis.

- A ja nie chcę, żebyś czytał w moich myślach - odparła Kaitlyn. - To była prywatna myśl.

- *Skąd mam...* To znaczy, skąd mam to wiedzieć? - zapytał Lewis, w połowie zdania przechodząc na swój normalny głos.

- Nikomu się to nie podoba - mruknął Rob. - Gabrielu, przerwij połączenie.

Nastąpiła cisza, którą Kaitlyn zarówno usłyszała, jak i odczuła umysłem.

Wszyscy spojrzeli na Gabriela, który patrzył na nich chłodnym, wyzywającym wzrokiem.

- Jasne - rzucił. - Powiedzcie mi tylko jak.

Rozdział 12

Kaitlyn wpatrywała się w ciemność, w której siedział Gabriel.

Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał bardzo cicho Rob. Nawet nie zauważył, że nie powiedział tego na głos.

- A co robiłeś wcześniej? - wtrąciła szybko Anna. - To znaczy, jak to się zwykle kończy? Gabriel spojrział na nią.

- Zwykle? Albo ktoś umiera, albo zaczyna krzyczeć. Znowu nastąpiła cisza, a potem wszyscy Gabriel przez chwilę nic nie mówił, a Kait wyczuła jego *zjeżoną* sierść i obnażone kły, jakby był jednym z rottweilerów. Potem *powoli* i chłodno zaczął wyjaśniać.

To była ta sama *historia*, którą opowiedział Kaitlyn. *O tym jak* umarła Iris, dziewczyna z Durham, o jego ucieczce, o facecie, który próbował go zabić, a którego sam w końcu zabił. Mówił bez emocji, ale Kaitlyn wyczuwała jego uczucia, które próbował ukryć za wysokim murem. Wiedziała też, że wszyscy je *czuli*.

Też mi się to nie podoba, zakończył Gabriel. *Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, to widzieć, co się dzieje w waszych małych, bezbronnych umysłach, Ale gdybym wiedział, jak to kontrolować, nie byłoby mnie tutaj.*

On czuje się bardziej osaczony niż ktokolwiek z nas. Jak pająk schwytywany we własną sieć, skomentowała Anna, a Kaitlyn zastanawiała się, czy chciała się tym podzielić, czy tylko *głośno* rozmyślała.

- *To czemu to zrobiłeś?!* - krzyknął Rob. Kait czuła, że był kompletnie oszołomiony. Bezpośredni kontakt z umysłem Gabriela zburzył obraz, który sobie stworzył - samolubnego i bezwzględnego mordercy. Co było dość zabawne, bo właśnie taki obraz siebie Gabriel próbował im teraz narzucić. - Skoro wiedziałeś, że nie potrafisz tego kontrolować, dlaczego użyłeś telepatii? - zapytał gniewnie Rob.

Bo nie wiedziałem jak inaczej uratować wasze bezużyteczne tytki! Odpowiedź Gabriela była *niczym nokaut*. Rob usiadł w fotelu.

- Pewnie, nie było innego sposobu - wtrąciła roztropnie Kaitlyn. - Pan Zetes na pewno by nas znalazł, gdyby psy nie zaczęły ujadać. A tak przy okazji, co im zrobiłeś? *Rzuciłem w nie butem. W te psy?* Rany, odezwał się Lewis. Gabriel wzruszył ramionami. *Pomyślałem, że wejdzie na górę, żeby sprawdzić, co się stało. Potem psy nie chciały się zamknąć i w końcu wyprowadził je na zewnątrz.*

- Posłuchajcie - wtrąciła Anna. - Może nie powinniśmy za dużo z tego korzystać. Może jak nie będziemy zwracać na to uwagi, to samo jakoś przejdzie.

- Przejdzie, jak pójdziemy spać - stwierdził sucho Gabriel. Tym razem odezwał się na głos, zauważyła Kaitlyn.

- Jesteś pewien? - zapytał Lewis.

- Tak.

Kaitlyn postanowiła nie wspominać o tym, że Gabriel nie wydawał się zbyt pewny.

- I tak powinniśmy się położyć - powiedziała. Dopiero teraz, gdy nie czuła już niepokoju i podniecenia, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona. Bolało ją wszystko od napięcia i siedzenia bez ruchu pod biurkiem, a jej umysł był wyczerpany próbą ogarnięcia tego, co wydarzyło się dzisiaj. Atak Marisol, tajemnicze pojawienie się pana Zetesa przy ukrytych drzwiach, rysunek na plastyce, włamanie - jej umysł po prostu nie mógł tego ogarnąć.

- Ale nie powiedzieliście nam nawet, co znaleźliście za tamtymi drzwiami - odezwał się Lewis. - Było tam coś?

- Mnóstwo, same złe rzeczy - odpowiedział Rob. - Ale Kaitlyn ma rację. Pogadamy o tym jutro.

Kaitlyn czuła, że Anna miała ochotę zadać im jakieś pytanie, ale w końcu doszła do wniosku, że lepiej będzie z tym poczekać. Widziała, jak Lewis westchnął. Ale wszystko wydawało się zamglone, ogarnęło ją potworne zmęczenie i poczuła zawroty głowy, a nawet mdłości. Nagle zdała sobie sprawę, że czuła nie tylko własne zmęczenie. Gabriel był na skraju załamania. On był...

Rob, powiedziała z naciskiem.

Rob od razu ruszył z miejsca. Gabriel próbował wstać, zachwiał się i upadł na kolana. Kaitlyn pomogła Robowi zaprowadzić go na kanapę.

- Nie jest z nim dobrze. Czuje się tak, jak ty wczoraj, kiedy spaliłaś zbyt dużo energii - wyjaśnił Rob. Trzymał Gabriela za rękę, ale ten się opierał.

Nie! - krzyknął Gabriel.

- Puść mnie.

- Ale *potrzebujesz* energii. Mogę... *Powiedziałem, puść mnie!* I znowu jego myśl brzmiała jak atak. Kaitlyn skrzywiła się, a wszyscy cofnęli się nieco. Z wyjątkiem Roba, który nie ruszył się z miejsca.

- Wydaje mi się, że jak na razie ma aż nadto energii - szepnął Lewis.

Gabriel nie spuszczał oczu z Roba.

- Niczego od was nie potrzebuję - syknął, próbując uwolnić się z uścisku Roba. - A szczególnie od ciebie.

- Gabrielu, posłuchaj... - zaczęła Kait. Ale Gabriel nie; był w *nastroju*, by kogokolwiek *śłuchać*. *Czuta jego defensywny, destrukcyjny gniew, który uderzał w nią niczym lodowaty sztorm.*

Nie potrzebuję nikogo z was. Nie myślcie sobie, że to cokolwiek zmienia. Jutro będzie po wszystkim, a do tego czasu I zostawcie mnie to spokoju!

Rob zawahał się i puścił jego ramię. - Jak sobie chcesz - powiedział łagodnie. Potem zrobił krok do tyłu.

To może być całkiem interesujące, pomyślała Kaitlyn. Zobaczymy, czy uda mu się dojść do pokoju.

Udało mu się. Chwiejnym, ale dzielnym krokiem szedł do przodu. Nie potrzebował kolejnych stów, żeby dać im do zrozumienia, by trzymali się od niego z daleka.

Po chwili drzwi od dużej sypialni zatrzęsły się z hukiem. Kaitlyn cały czas wyczuwała po drugiej stronie jego obecność, ale tym razem czuła jedynie mury i kolczaste bariery. Sama *otaczała się kiedyś* takimi murami. Udało mu się. Chwiejnym, ale dzielnym krokiem szedł do przodu. Nie potrzebował kolejnych stów, żeby dać im do zrozumienia, by trzymali się od niego z daleka.

Po chwili drzwi od dużej sypialni zatrzęsły się z hukiem. Kaitlyn cały czas wyczuwała po drugiej stronie jego obecność, ale tym razem czuła jedynie mury i kolczaste bariery. Sama *otaczała się kiedyś* takimi murami.

- Ja nie spalam energii, ja ją zabieram - powiedział.

- Ale tym razem jednak trochę jej spaliłeś - stwierdził Rob. - Może dlatego, że połączyłeś tyle osób. Tak czy siak... - Kaitlyn słyszała, jak wziął głęboki wdech, i *wyczuta*, że chwycił Gabriela za ramię. - Może będę mógł ci jakoś pomóc. Pozwól mi... Gabriel przez chwilę nic nie mówił, a Kait wyczuła jego *zjeżoną* sierść i obnażone kły, jakby był jednym z rottweilerów. Potem *powoli* i chłodno zaczął wyjaśniać.

I Biedny facet - wymruczał Lewisa - Chyba powinniśmy iść już spać - zasugerowała Anna. I tak zrobili. Zegar Kaitlyn wskazywał godzinę drugą pięćdziesiąt dwie. Przez chwilę zastanawiała się, jakim cudem uda im Kie jutro dotrzeć do szkoły, ale potem zmęczenie wzięło górę.

Zanim zapadła w sen, pomyślała jeszcze: *A tak przy okazji, powaleńcu. Dziękuję, że nadstawiliście za nas karku.*

Ale w odpowiedzi ujrzała jedynie lodowate chmury i zamknięte drzwi.

Kaitlyn śniła. To był ten sam sen o półwyspie - kamienistym cyplu, oceanie i zimnym wietrze. Trzęsała się z zimna. Niebo było tak zachmurzone, że nie potrafiła powiedzieć, czy to dzień, czy noc. Nad wodą krążyła pojedyncza, samotna mewa.

Co za opustoszałe miejsce, pomyślała.

- Kaitlyn!

No tak, przypomniała sobie. Ktoś mnie woła. To samo było w pierwszym śnie. Teraz się odwróć i nikogo nie będzie.

Odwróciła się zrezygnowana i spojrzała przed siebie.

I zobaczyła Roba, który schodził w dół skarpy. Jego jasnozłote włosy lśniły od wody, a na spodniach od piżamy widoczne były plamy z mokrego piasku.

- Chyba nie powinno cię tu być - stwierdziła Kaitlyn. W snach zawsze była bardzo bezpośrednia.

- Wcale nie chcę tu być. Jest cholernie zimno - odpowiedział Rob, podskakując i klepiąc się po nagich ramionach.

- Mogłeś włożyć bardziej odpowiednie ciuchy.

- Mnie też jest zimno - odezwał się trzeci głos. Kaitlyn zobaczyła Lewisa i Annę. Oboje wyglądali na przemarzniętych.

- Czyj to sen? - zapytał Lewis.

- To bardzo dziwne miejsce - powiedziała Anna, rozglądając się wokół. A potem dodała:

- Gabrielu, wszystko w porządku?

Gabriel stał nieco dalej na cyplu z założonymi rękami. Kaitlyn poczuła, że w jej śnie zaczyna robić się ciasno. To było idiotyczne.

- To śmieszne... - zaczęła. *To wcale nie jest śmieszne i nie mam zamiaru się w to bawić.*

Usłyszała w głowie głos Gabriela.

...jeżeli to w ogóle był sen. Nagle Kaitlyn zaczęła w to wątpić.

- Naprawdę tu jesteś? - zapytała Gabriela. Ale on tylko spojrzał na nią chłodnym wzrokiem, a jego oczy miały kolor otaczającego ich oceanu.

Kaitlyn zwróciła się do reszty:

- Posłuchajcie, ja już kiedyś miałam ten sen, ale wtedy nie było was wszystkich. Czy to naprawdę wy, czy tylko mi się śnicie?

- O mnie na pewno byś nie śniła - odezwał się Lewis. - To ty mi się śnisz.

Rob go zignorował i pokręcił głową.

- Nie mam jak ci udowodnić, że jestem prawdziwy, przynajmniej do jutra.

O dziwo, to przekonało Kait. A może chodziło o to, że był tak blisko, a jej puls nagle przyspieszył, gdy na niego spojrzała. Nie mogła wymyślić sobie czegoś tak prawdziwego.

- Więc teraz dzielimy również sny? - zapytała nerwowym głosem.

- To przez tę telepatyczną więź. TC twoją pajęczynę - powiedziała Anna.

- Jeżeli Kaitlyn miała już ten sen, to wszystko jej wina - odezwał się Lewis. - No nie? Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Kaitlyn spojrzała na wąski kawałek ziemi.

- Nie mam pojęcia. Miałam ten sen zaledwie dwa razy i nigdy nie trwał długo.

- Nie mogłabyś przyśnić sobie jakiegoś cieplejszego miejsca? - zapytał Lewis, szcękając zębami.

Kaitlyn nie wiedziała jak. Ten sen nie wydawał się prawdziwy. Wydawał się jawą, a nie snem, w którym poruszała się jak we mgle.

Anna, która najmniej przejmowała się panującym wokół chłodem, uklękła na brzegu wody.

- To dziwne - powiedziała. - Widzicie te kamienie?

Kaitlyn nie zauważyła ich wcześniej. Cały półwysep otulony był kamieniami, które wyglądały tak, jakby przed chwilą zostały wyrzucone przez fale. Niektóre z nich ułożone były *hi* kopce, tworząc dziwaczne wieże. Jedne pionowo, inne poziomo. Niektóre z wież przypominały budowle albo postacie.

- Ciekawe, kto je zrobił? - zapytał Lewis, celując nogą w jedną z wież.

- Hej, nie kop - powiedział Rob, powstrzymując go. Anna wstała.

- On ma rację. - Pogroziła Lewisowi. - Nie psuj tu niczego, to nie należy do nas.

To do nikogo nie należy, to tylko sen, odezwał się Gabriel, rzucając im spojrzenie chłodniejsze niż wiatr.

- Jeżeli to tylko sen, to czemu cały czas tu jesteś? - zapytał Rob.

Gabriel odwrócił się bez słowa.

Kaitlyn wiedziała jedno: ten sen trwał dłużej niż pozostałe. Może tak naprawdę ich tu nie było, ale skóra Roba pokryta była gęsią skórą. Musieli znaleźć jakieś schronienie.

- Musi być jakieś miejsce, do którego możemy pójść - stwierdziła. Tam, gdzie półwysep łączył się z lądem, była mokra i kamienista plaża. A nad nią skalista skarpa i drzewa. Wysokie jodły tworzyły ciemną i niezbyt zachęcającą gęstwinę.

Po mojej stronie była woda... a za wodą samotny klif, w niektórych miejscach łysy, w innych porośnięty ciemnym lasem. Nie było żadnych śladów ludzi, z wyjątkiem...

- Co to jest? - zapytała. - To białe.

Było tak ponuro, że prawie nic nie widziała, ale na oddalonym klifie dostrzegła biały budynek. Nie miała pojęcia, jak tam dotrzeć.

- To beznadziejne ~ wymruczała i poczuła, że ogarnia ją fala ciepła. Dziwne, wszystko wydawało się zamglone. Nagle zdała sobie sprawę, że stojąc na kamienistym cyplu, jednocześnie leży... w łóżku...

Przez chwilę wydawało jej się, że może wybrać miejsce, w którym chciała być.

Łóżko, pomyślała *stanowczo*. Tam jest zdecydowanie za zimno.

Po chwili znalazła się w łóżku, przekręciła się na drugi bok i zakryła kołdrą. Była zbyt nieprzytomna, by zawołać pozostałych i dowiedzieć się, czy faktycznie przeżyli ten sam sen. Chciała jedynie spać.

Następnego ranka usłyszała czyjeś: *O nie.*

Lewis? - pomyślała jak przez mgłę. *Cześć, Kaitlyn. Cześć, Bob.*

Daj mi spokój, śpię, odezwał się Rob niewyraźnym głosem. Z tym, że wcale tego nie powiedział, przynajmniej nie na głos. *Był w swoim pokoju, tak jak Lewis.* Kait czuła ich obecność.

Wyjrzała spod sterty koców i kołdry i zobaczyła Annę, która przyglądała się jej z drugiego łóżka. Policzki miała zaróżowione od snu i wyglądała słodko, ale minę miała zrezygnowaną.

Cześć, Anno, powiedziała Kaitlyn, czując, że i ją ogarnia rezygnacja. *Cześć, Kait.*

Cześć, Anno, powiedział radośnie Lewis. / *dobranoc John Boy*!* - krzyknął Gabriel z drugiej części domu. *Zamknijcie się do jasnej cholery!*

Anna i Kaitlyn wymieniły spojrzenia. *Nie jest zbyt miły po obudzeniu.* Zauważyła Kaitlyn.

Jak wszyscy faceci, dodała ze spokojem Anna. *Ale wygląda na to, że odzyskał siły.*

Mówiłeś, że do rana to się skończy, odparł Rob, Tym razem wydawał się bardziej rozbudzony. Gabriel milczał pochmurnie.

Możemy się chyba ubrać, powiedziała w końcu Kaitlyn, gdy cisza zaczęła się przedłużać. *Już i tak prawie siódma.*

71 Zauważyła, że gdy koncentrowała się na sobie, pozostali się wycofywali. I dobrze, pomyślała, szczególnie gdy brała prysznic i zaczęła się ubierać. Niektóre rzeczy trzeba robić sailliemu.

Ale nieważne, co robiła, oni zawsze tam byli. Czaili się W zakamarkach jej umysłu, zawsze w zasięgu słuchu i głosu, widy się na kimś koncentrowała, ta osoba zaczynała się przybliżać. Z wyjątkiem Gabriela, który zaszył się gdzieś w rogu. Gdy o nim myślała, czuła się tak, jakby odbijała się od gładkich, Stalowych ścian.

Dopiero gdy skończyła się ubierać, przypomniała sobie o wczorajszym śnie.

- Anno, miałeś wczoraj jakiś sen?

* John Boy - postać z amerykańskiego serialu telewizyjnego (przyp. tłum.).

Anna spojrzała na nią spod błyszczących, kruczoczarnych włosów.

- Masz na myśli to miejsce nad oceanem? - zapytała, z zapałem czesząc włosy. Wydawała się nieporuszona.

Kaitlyn usiadła.

- Czyli to prawda. Naprawdę tam byliście. *Wszyscy byliście w moim śnie*, dodała cicho, by inni ją usłyszeli.

To nie jest znowu takie niezwykle, prawda? - zapytał Rob ze swojego pokoju. *Skoro nasze umysły połączone są telepatycznie, to kiedy jedno z nas ma jakiś sen, pozostali mogą się w nim znaleźć.*

Kaitlyn pokręciła głową.

AU tu chodzi o coś więcej, powiedziała, ale nie była pewna, o co. Nagle przerwał jej Lewis, który krzyknął ze schodów:

Hej, Joyce chyba wróciła. Słyszę kogoś w kuchni. Chodźcie na dół!

Kaitlyn natychmiast zapomniała o śnie. Wybiegły z Anną z pokoju i na schodach spotkały Roba.

- Joyce! - krzyknął Lewis, gdy weszli do kuchni. W myślach też krzyknął: *Joyce!* Ale Joyce niczego nie zauważyła.

- Wszystko w porządku? - zapytała Kaitlyn. Joyce była bardzo blada, a pod oczami miała wielkie, szare sińce. Wyglądała...

bardzo młodo, jak dzieciak z krótką fryzurką, która nie wyschła tak, jak powinna.

Kaitlyn głośno przełknęła, ale nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Co z Marisol? - zapytała za nią Anna.

Joyce odłożyła pudełko płatków śniadaniowych, jakby ważyło co najmniej tonę.

- Jej stan jest... stabilny. - A potem nagle opuściło ją opanowanie i drżącym głosem dodała: - Jest w śpiączce.

- Boże - szepnęła Kaitlyn.

- Lekarze cały czas ją obserwują. Spędziłam całą *tum* w szpitalu razem z jej rodziną, ale jej nie widziałam. - Joyce' wyjęła z torebki *chusteczkę* i wydmuchała nos. Podniosła do góry pudełko z płatkami i spojrzała na nie pustym wzrokiem.

- Odłóż to i usiądź - powiedział łagodnie Rob. - Wszystkim się zajmiemy.

- Oczywiście - zgodziła się Kaitlyn, wdzięczna za jego słowa. Sama była przerażona i zrobiło się jej niedobrze. Ale gdy mogła się czymś zająć, czuła się lepiej. Po chwili Joyce siedziała już przy kuchennym stole, Anna gładziła ją po dłoni, Kaitlyn robiła kawę, a Rob i Lewis rozstawiali na stole miseczki.

- Nie wiem, co mam o tym myśleć - zaczęła Joyce, wycierając oczy i bawiąc się chusteczką. - Jej rodzina nie miała pojęcia, że ona brała lekarstwa. Nie wiedzieli nawet, że chodziła do psychiatry. Musiałam im o tym powiedzieć.

Kaitlyn zerknęła na Roba, który spojrzał na nią znacząco, zasłonięty drzwiami od spiżarni. Ostrożnie odmierzając miarki mielonej kawy, zapytała:

- Kto ci powiedział, że ona chodzi do psychiatry?

- Kto? Pan Zetes. - Joyce położyła dłoń na czole. - Mówił też, że byliście bardzo grzeczni wczoraj wieczorem. Wcześniej poszliście spać i w ogóle.

Anna się uśmiechnęła.

- Nie jesteśmy dziećmi. - Była jedyną osobą, która była w stanie cokolwiek powiedzieć. Pozostali zaangażowali się w milczącą dyskusję.

Wiedziłam, mówiła Kaitlyn. *Joyce nic nie wie o Marisol, z wyjątkiem tego, co mówi jej pan Zetes. Pamiętasz, jak zapytałam ją o te lekarstwa, powiedziała: „Mówił, że przepisał je psychiatrą”. To Zetes jej o tym powiedział. Z tego co wiemy, Marisol mogła nie brać żadnych leków.*

Twarz Roba była spięta. *A teraz jest w śpiączce, ponieważ...
Ponieważ zbyt dużo wiedziała. O tym, co tu się dzieje. Co tu się naprawdę dzieje, dokończyła Kait.*

O czym nam zresztą do tej pory nie powiedzieliście, przypomniał jej Lewis. A może powiemy Joyce, co się stało? O tym, co się z nami stało. Może ona wie, jak to działa...

Nie!

Ja myśl spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Kaitlyn odruchowo zerknęła w górę. To był Gabriel. *Nikommu nie możemy o tym powiedzieć, a już na pewno nie Joyce.*

'- Czemu nie? - zapytał Lewis. Dopiero po chwili Kaitlyn zorientowała się, że powiedział to na głos. Anna rzuciła mu spojrzenie znad stołu.

- Eee, czy ktoś chce cukru albo słodzika do płatków? - rzucił Rob. *Lewis, uważaj!* ~ dodał cicho w myślach.

- Cukier - westchnął Lewis przygnębionym głosem. *Ale czemu nie możemy powiedzieć Joyce? Nie ufasz jej?* Dodał teatralnym szeptem w myślach.

- Słodzik - powiedziała Kaitlyn. *Ufam jej, chyba. Nie wierzę, że cokolwiek wie...*

Idiotko! Nikomu nie można ufać, warknął z góry Gabriel. Jego myśli były tak głośne, że przyprawiały Kaitlyn o ból głowy.

Rob i Lewis usiedli przy stole ze zbolałymi minami. Kaitlyn nalała Joyce filiżankę kawy i dołączyła do reszty. Odbywające się wokół głośne i ciche rozmowy tworzyły dziwną mieszaninę.

Z przykrością to stwierdzam, ale on chyba ma rację, rzucił cicho Rob, gdy ustało już echo mocnych słów Gabriela.

Chciałbym ufać Joyce, ale ona wszystko mówi panu Zetesowi Powiedziała, mu o Marisol i zobaczcie, co się stało.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszyła ich Anna. *Joyce jest bardzo przygnębiona z powodu Marisol. Nie udaje.*

fest dorosła, stwierdził beznamiętnie Gabriel. *Nigdy nie należy ufać dorosłym.*

Ale jeśli jest niewinna, może ją spotkać krzywda, zauważył Rob.

- Jeżeli jest coś, co możemy dla Marisol zrobić, daj nam znać - powiedziała Kaitlyn. *W porządku, nic jej nie powiemy.* Poddała się. *Ale musimy dowiedzieć się czegoś o telepatii. I pogadać o tym, co znaleźliśmy z Robem w sekretnym pokoju.*

Rob pokiwał głową, ukrywając ten gest nagłym atakiem kaszlu. *Lepiej umówmy się w szkole, ale sami. Ta rozmowa I doprowadza mnie do szaleństwa.*

Kaitlyn poczuła, że wszyscy, z wyjątkiem Gabriela, się z nim zgadzają.

też, Gabrielu, dodał ponuro Rob. *Ty to wszystko zaczęłaś. I lepiej, żebyś się pojawił.*

- Czy mogę prosić o sok pomarańczowy? - zapytał na głos.

Rozdział 13

Spotkali się w czasie lunchu, a Kaitlyn i Rob opowiedzieli im, co znaleźli w sekretnym gabinecie pana Zetesa. Anna i Lewis wydawali się równie zdumieni jak Kait, gdy po raz pierwszy zobaczyła tamte teczki i papiery.

- Psychoaktywna broń - powiedział Gabriel, delektując się słowami. Wspólnie doszli do wniosku, że będą rozmawiali na głos, więc Kaitlyn nie wiedziała, co tak naprawdę myślał. , - Wiesz, co to znaczy? - zapytał Rob. Po wczorajszej nocy jego nastawienie do Gabriela wyraźnie się zmieniło. Zrobił się bardziej tolerancyjny, ale i bardziej zacięty. Kaitlyn

przeczuwali, że miał zamiar rzucać mu wyzwania, jak tylko uzna, że to może Gabrielowi w jakiś sposób pomóc.

- Cóż, to powinno być oczywiste nawet dla kompletnego Idioty - stwierdził Gabriel. - To coś, co jest uruchamiane przez telepatów.

W przeciwieństwie do czegoś, co jest uruchamiane przez psycholi?

- Lewis! - krzyknęli chórem, a Gabriel posłał mu miazdzące spojrzenie.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Już nic nie mówię. - Lewis pociągnął łyk mleka.

- Coś... co jest uruchamiane... siłami nadprzyrodzonymi - powtórzył chłodno Gabriel, nie spuszczać oczu z Lewisa. Ponieważ nikt mu nie przerywał, dodał: - Czy mam również wyjaśnić słowo „broń”, czy z tym poradzicie sobie sami?

Rob nachylił się do przodu.

- Czemu... NASA... zleciłaby mu... badania nad... tego typu bronią?

Kaitlyn uderzyła widelcem w stół, by przykuć ich uwagę.

- Może NASA wcale nie chciała, by nad tym pracował. Może chcieli się tylko dowiedzieć, czy ktoś inny potrafi coś takiego zrobić. Osiemdziesiąty szósty to rok, w którym eksplodował prom kosmiczny Challenger, prawda? Może NASA myślała, że ten wybuch był aktem sabotażu? Telepatycznego sabotażu?

- Kto miałby za tym stać? - zapytał cicho Rob.

- Nie wiem, może dawny Związek Radziecki? Ktoś inny, kto nie chciał, by ten program kosmiczny został zrealizowany? Jeżeli ma się do dyspozycji telepatów, którzy zajmują się psychokinezą, nawet na dużą odległość, to można uruchomić odpowiednie przyciski na promie kosmicznym, siedząc wygodnie na Ziemi. Wiem, że to nie jest fajny pomysł, ale to możliwe.

- Nie mamy do czynienia z fajnymi ludźmi - dodała Anna.

- No a co z tymi pozostałymi rzeczami, które znaleźliście w gabinecie? - zapytał Lewis. - Co z tym badaniem pilotażowym i listem od sędzi...

- Dajcie sobie z tym spokój - powiedział ostro Gabriel, a gdy zaczęli protestować, dodał: - *Dajcie spokój! Mamy chyba większe zmartwienie. Jasne?*

Kaitlyn powoli pokiwała głową.

- Masz rację. Jeżeli... ta sieć... przestanie być stabilna...

- Nawet jeżeli tak nie będzie, musimy się jej pozbyć - rzucił agresywnie Gabriel. - A Instytut jest jedynym miejscem, w którym możemy znaleźć jakiegokolwiek informacje na temat telepatii.

- To prawda. Joyce ma w laboratorium mnóstwo książek i czasopism - powiedział Lewis. - Ale może pomyśleć, że to trochę dziwne, że tak nagle się tym interesujemy.

- Nie, jeżeli pójdziemy tam teraz - stwierdził Gabriel. - Ona pewnie śpi.

- Może śpi - powiedziała ostrożnie Kaitlyn. - A może nie. Może pan Zetes tam jest...

- A może świnie potrafią latać. Nigdy się tego nie dowiemy, jeśli nie sprawdzimy. - Gabriel wstał, jakby wszystko było już postanowione.

Chryste, nagle zrobił się niezwykle aktywny. Teraz, kiedy ma w tym swój interes.

- Lewis - zaczęła Kaitlyn. Ale on miał rację.

Joyce spała, a szklane drzwi do jej pokoju były otwarte na oścież. Kaitlyn zerknęła na Roba znaczącym wzrokiem i dodała: *Szkoda. Myślałam, że będziemy mogli znowu zajrzeć do tego pokoju, ale to zbyt ryzykowne. Usłyszałaby nas.*

Pokiwał głową. To i tak byłoby zbyt niebezpieczne. Te drzwi są całe szklane i gdyby się obudziła, patrzyłaby prosto na tamten panel.

Lewis skrzywił się w nietypowy dla siebie sposób. *Myślałem, że mamy rozmawiać na głos. Nie wtedy, kiedy stoimy pod drzwiami Joyce, szepnęła Kaitlyn. To jest bardzo przydatne, kiedy musimy być cicho.* Ostrożnie odeszła na bok.

Gabriel był już w laboratorium. Klęczał przy regale z książkami i przeglądał gazety. Kaitlyn podeszła, by mu pomóc.

- Z tyłu jest więcej książek - powiedziała Anna i razem z Lewisem poszła do drugiego laboratorium. Rob dołączył do Kaitlyn. Nic nie mówił, ale czuła na sobie jego czujny wzrok. Chciał mieć ją na oku, gdy w pobliżu kręcił się Gabriel.

Nie ma takiej potrzeby, pomyślała Kaitlyn, zastanawiając się, czy ktoś ją słyszy. Oj, nie podobał jej się ten ekshibicjonizm. Nie była pewna, czy jej własne myśli były faktycznie jej. Ze złością sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę.

Musimy się tego pozbyć.

Rob i Gabriel całkowicie się z nią zgadzali.

Miała wrażenie, że poszukiwania zaję

- Chcesz powiedzieć - odezwał się Lewis drżącym głosem - że sieć nas nie zabije, ale jedyny sposób, by się jej pozbyć, to śmierć któregoś z nas?

Anna pokiwała głową, nie w geście zaprzeczenia, ale rezygnacji.

- Tak jest w artykule. Ale to tylko teoria. Nikt tego tak naprawdę nie wie...

Gabriel wyrwał jej czasopismo z rąk. Przeleciał wzrokiem cały artykuł, a potem zastygł w miejscu. Po chwili z wściekłością rzucił gazetą o ścianę.

- To już tak zostanie - skwitował beznamiętnym głosem. Odwrócił się i sam zaczął wpatrywać się w ścianę.

Kaitlyn zadrzała. Była przerażona jego gniewem, który mieszał się z jej własnym strachem.

Pod wieloma względami sieć jej się podobała. To było ciekawe i ekscytujące. Coś zupełnie innego. Ale żeby już nigdy nie mieli się od tego uwolnić... i tkwić w tym, dopóki jedno z nich nie umrze...

Całe moje życie się *zmieniło*, pomyślała. Na zawsze. Stało się... coś... nieodwracalnego. I nie ma jak tego naprawić. Nigdy nie będę już sama.

- Przynajmniej wiemy, że nic nam nie grozi - powiedziała Anna cichym głosem.

- Sama mówiłaś, że ten artykuł może się mylić - dodała powoli Kaitlyn. - Może istnieje jakiś inny sposób, by przerwać połączenie. Możemy przecież poszukać w innych książkach i czasopismach.

- Musi być jakiś sposób. Musi - stwierdził Gabriel łamiącym się, odmienionym głosem.

On jest z nas wszystkich najbardziej zdesperowany, pomyślała beznamiętnie Kaitlyn. Nie może znieść tego, że jesteście tak blisko.

Jakby w odpowiedzi, usłyszała nagle głos Gabriela: *Dopóki nie znajdziemy rozwiązania, trzymajcie się ode mnie z daleka. Czyżby ją usłyszał?*

- Tymczasem - odezwał się Rob cichym, zrównoważonym głosem - musimy nauczyć się, w jaki sposób to kontrolować...

Po prostu, trzymajcie się ode mnie z daleka! - krzyknął Gabriel i wypadł z pokoju jak burza. Wszyscy patrzyli za nim.

- Czemu on się na nas tak wścieka? - zapytał Lewis. - Jeżeli już kogoś możemy obwiniać, to właśnie jego.

Rob uśmiechnął się lekko.

- Dlatego właśnie się wścieka - odparł suchym głosem. Nie lubi się mylić.

- Nie tylko o to chodzi - odezwała się Kaitlyn. - Pomógł nagi i prosił, jak to się dla niego skończyło. Przekonał się tylko o tym, o czym myślał wcześniej, że nie należy nikomu pomagać.

Znowu zapadła cisza, a wszyscy stali w miejscu. To wszystko jeszcze do nas nie dotarło, pomyślała Kaitlyn. Jesteśmy w szoku.

Postanowiła wziąć się w garść.

- Zrobiliśmy tu straszny bałagan. Lepiej to posprzątajmy. Możemy później poszukać innych artykułów, kiedy będziemy mieć pewność, że nie ma Joyce.

Poukładali książki i plastikowe pojemniki na czasopisma w obu laboratoriach. Właśnie kończyli, gdy Kaitlyn znalazła artykuł, który ją zaintrygował.

Ktoś zaznaczył stronę czerwoną karteczką. Artykuł był zatytułowany po prostu *Chi i kryształy*.

Hej słuchajcie, co to jest chi? - zapytała nieświadoma, że nie zadała pytania na głos.

- To chińskie słowo, które oznacza życiową energię - powiedział Lewis, podchodząc bliżej. - Energia przepływa przez całe ciało, różnymi kanałami. Trochę jak krew lub elektryczność.

Wszyscy ją mają, a ludzie o nadprzyrodzonych zdolnościach mają jej więcej.

- Więc to jest to samo, co przekazuje Rob? - chciała wiedzieć Kaitlyn.

- To jedna z nazw - powiedział Rob. - W poprzednim ośrodku różnie to nazywali, na przykład w Indiach mówią na to *prana*, a starożytni Egipcjanie nazywali to *sekhem*. Ale to wszystko to samo. Wszystkie żywe stworzenia ją mają.

- Według tego artykułu kryształ potrafi ją gromadzić - wyszeptała Kaitlyn.

Rob zmarszczył czoło.

- Ale kryształy nie są żywe...

- Wiem, ale tu piszą, że struktura kryształu może gromadzić energię jak naładowana bateria - zauważyła Kaitlyn. Cały czas uważnie przeglądała artykuł. Coś nie dawało jej spokoju, szeptała, że to ważne i powinna się skoncentrować. Ale nie wiedziała co.

Artykuł wyglądał tak, jakby był wiele razy czytany...

- Obudziła się - powiedział Rob. Kaitlyn usłyszała szum wody w łazience. Joyce wstała i poszła się umyć.

Anna zerknęła na zegarek, *jest wpół do czwartej. Możemy jej powiedzieć, że wróciliśmy ze szkoły na piechotę.*

Kaitlyn pokiwała głową i poczuła, że pozostali się zgadzają. Wyprostowała się, uniosła głowę i ruszyła na spotkanie z Joyce.

Następny tydzień był niezwykle chaotyczny. Rano chodzili do szkoły, a po południu robili z Joyce eksperymenty. Czas wolny wypełniały im dwie rzeczy: szukali sposobu na przerwanie połączenia i próbowali dowiedzieć się czegoś o planach pana Zetesa. Problem polegał na tym, że z niczym nie zaszli za daleko.

Nie udało im się ponownie zejść do sekretnego pokoju. Kait i Rob cały czas czekali na jakąś okazję, ale Joyce nie opuszczała Instytutu i spała przy otwartych drzwiach.

Kaitlyn ciągle była podenerwowana i oszołomiona. Trudno jej było przez cały czas pilnować się przy Joyce. Miała ochotę powiedzieć jej o tym, co w tej chwili było dla niej najważniejsze. Ale jakoś jej się udało, podobnie jak pozostałym.

Marisol cały czas była w śpiączce. Nikt z poza rodziny nie mógł jej odwiedzać, ale Joyce codziennie dzwoniła do szpitala. I każdego dnia słyszała to samo: żadnych zmian.

Pan Zetes parę razy pojawił się w Instytucie, zawsze niezapowiedziany. Przed nim również z niczym się nie zdradzili, tak

przynajmniej sądziła Kaitlyn. Choć czasami, gdy widziała jego ciemny, przeszywający wzrok wpatrzony w Gabriela, zaczynała się zastanawiać.

Sam Gabriel był... niepokojący. I niespokojny. Nie najlepiej to znosił.

Dla Kaitlyn ten nowy rodzaj bliskości, choć dziwny i przerażający, był również ekscytujący. Nigdy w życiu nie była z nikim tak blisko. Czuła iskrzący entuzjazm Lewisa i chłodny spokój Anny. To było miłe. A bliskość Roba stanowiła niemal bolesną przyjemność.

Ale Gabriel przeżywał tortury. Każdą wolną chwilę poświęcał na czytanie czasopism i książek, próbując znaleźć jakiś sposób, by przerwać więź. Udało mu się przekonać Joyce, że jest po prostu zainteresowany zbadaniem swoich możliwości, a ona była zachwycona.

Pozwoliła mu pójść do biblioteki i poszukać więcej materiałów.

Ale nie znalazł niczego, co mogłoby im pomóc. I z każdym kolejnym dniem, gdy kolejne poszukiwania kończyły się fiaskiem, coraz bardziej się od nich odsuwał. Nauczył się odgradzać w taki sposób, że Kaitlyn prawie nie wyczuwała jego obecności.

Próbujemy zostawić cię w spokoju, mówiła mu. I tak było, ponieważ wszyscy bardzo się o niego martwili. Gabriel wydawał się coraz bardziej spięty, jakby lada moment miał wybuchnąć.

We wtorek, tydzień po tym, jak ich połączył, Joyce znowu testowała Kaitlyn za pomocą urządzenia EEG.

Kaitlyn tylko na to czekała. *Chyba ma zamiar to zrobić*, powiedziała Robowi. Zdążyli już nabrać wprawę w wysyłaniu myśli do konkretnych osób.

Mogę w każdej chwili wejść, powiedział. *Ale co mam robić, mam ją tylko obserwować?*

Kaitlyn zastanowiła się nad tym, wykonując polecenia Joyce, która kazała jej usiąść i zamknąć oczy. *Nie. Jeżeli jest coś, co ukrywa, nie pozwoli ci zostać. Możesz jakoś odciągnąć jej uwagę, kiedy cię o to poproszę? Potrzebuję około minuty.*

Tak, odparł po prostu Rob.

Teraz, kiedy nie miała do pomocy Marisol, Joyce przestała testować Gabriela i zazwyczaj wysyłała Roba oraz jakiegoś ochotnika do drugiego laboratorium, a pozostała trójka pracowała w pierwszym. Rob był teraz w tylnym laboratorium z Fawn, dziewczyną, która cierpiała na stwardnienie rozsianej, Kaitlyn czuła, że czekał na jej sygnał. Był gotowy i wyjątkowo czujny.

- W porządku, wiesz co robić - powiedziała Joyce, umieszczając ostatnią elektrodę na jej czole. Nad jej trzecim okiem. - Skoncentruję się na rysunku, a ty się odpręż.

Kait wymruczała coś pod nosem, całą uwagę skupiając na tej jednej elektrodzie. Była zimna. O wiele zimniejsza od pozostałych. Na całym czole czuła mrowienie.

Odprężyła się i pozwoliła, by ogarnęła ją ciemność. Wiedziała już czego się spodziewać.

Zaczęło się. Najpierw poczuła, jak jej głowę rozsadza ciśnienie. Po chwili lekkie dmuchanie jakby ktoś nadmuchiwał balon. A potem pojawiły się obrazy.

Przewijały się przez jej głowę z oszałamiającą prędkością, tak że mogła rozpoznać jedynie kilka z nich. Widziała róże i konia. Pana Zetesa stojącego przed sekretnymi drzwiami. Biały dom i karmelową twarz w oknie.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, usłyszała głosy.

Głos Anny:

Kait, nie mogę się skupić, co się dzieje?

Lewisa:

Chryste...

Roba:

Wytrzymajcie chwilę.

W tym samym momencie, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, usłyszała głos Gabriela:

Co to ma, do diabła, znaczyć? Co ty wyprawiasz? Próbowała zignorować obrazy. Gdzie ty jesteś?

Właśnie idę Exmoor Street.

Kaitlyn była zdumiona. Exmoor Street była oddalona od Instytutu o co najmniej kilka przecznic. Wcześniej odkryli, że telepatia znacznie słabła, gdy się od siebie oddalali, a gdy znajdowali się w odległości większej niż jedna przecznica, nie mogli się porozumiewać.

Ale teraz głos Gabriela był bardzo wyraźny, niemal bolesny.

Później ci wyjaśnię, powiedziała Kait. *Spróbuj to wytrzymać przez kilka minut.* Potem zwróciła się do Roba: *Teraz.*

Niemal natychmiast usłyszała jakieś tąpnięcie, a potem krzyk Fawn:

- Joyce! Coś się stało z Robem.

Kaitlyn nie ruszyła się z miejsca, a oczy miała zamknięte. Po drugiej stronie parawanu usłyszała szelest, a potem głos Anny: *Już wychodzi. Jest w drugim laboratorium.*

Otworzyła oczy i dotknęła ręką czoła. Z łatwością odczepiła małą elektrodę, ale wyczuła coś pod palcami. Coś, co było przyłączone do jej skóry za pomocą kremu elektrodowego.

Serce waliło jej z całych sił, gdy spróbowała to odczepić.

Gdy spojrzała na to, co znalazło się pomiędzy jej kciukiem a palcem wskazującym, ogarnęło ją rozczarowanie. Poza kremem elektrodowym nic tam nie było. Ale po chwili potarła krem paznokciem i pod warstwą pasty wyczuła coś twardego. To było białe albo nawet przezroczyste i dlatego trudno było to zauważyć. Kształtem i wielkością przypominało jej mały paznokieć, było też gładkie i płaskie.

Wyglądało jak kryształ.

Przez cały czas słyszała w tle niewyraźne głosy. Nagle Rob powiedział: *Uważaj, wstaje.*

Kaitlyn szybko przyczepiła małe krysztale do czoła. Po chwili doczepiła też elektrodę, modląc się w duchu, by nic się nie odzepiło.

Wraca, donosił Lewis.

Już jest, powiedziała Anna.

Kaitlyn wytarła zdradliwą pastę o dzinsy. Szybko podniosła ołówek i notes i zaczęła rysować. Wszystko jedno co. Naszkicowała różę.

Usłyszała, jak przesuwa się parawan. - Kaitlyn, zaraz cię odłączę - powiedziała Joyce udreńczonym głosem. - Rob jest całkowicie wykończony, chyba przesadził z tą dziewczyną.

Anno, Lewisie, możecie przyprowadzić go tutaj na kanapę? Chcę, żeby trochę odpoczął.

Kaitlyn siedziała nieruchomo ze zwiniętymi palcami. Wiedziała, że pod paznokciami cały czas ma krem elektrodowy. Z ulgą stwierdziła, że Joyce nie zauważyła nic podejrzanego. Za to sama zwróciła uwagę, że gdy Joyce zdjęła elektrodę, szybko wsunęła rękę do kieszeni koszuli. Jakby miała tam coś, co chciała ukryć.

Rob, wszystko w porządku? - zapytała Kaitlyn, gdy Lewis i Anna przyprowadzili go do pokoju, a Joyce pomagała mu usiąść na kanapie.

Poczuła coś w rodzaju mrugnięcia okiem. *Jasne. Udało ci się coś zobaczyć?*

Kryształ, rzuciła Kait. Musimy o tym pogadać i spróbować to wszystko rozgryźć.

Jasne, jak tylko Joyce pozwoli mi wstać, odpowiedział Rob.

- Zanim wyjdiesz, powiedz, co narysowałaś? - zapytała Joyce, gdy Kait zmierzała w kierunku drzwi.

Kaitlyn sięgnęła po notes i pokazała jej rysunek róży.

- No cóż, może następnym razem pójdzie lepiej. To miał być koń. Przykro mi, że musiałyśmy przerwać test.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Kaitlyn. - Idę na górę zmyć ten krem z włosów. A w myślach dodała: *Spotkajmy się przed obiadem.*

Poszła na górę. Chciała wszystko przemyśleć, ale w głowie miała mętlik.

Usłyszała głos Roba. *Kaitlyn, dobrze się czujesz?*

Już miała odpowiedzieć, gdy nagle uświadomiła sobie, jak; się naprawdę czuje. *Rob, jestem taka głupia. Zupełnie zapomniałam o tym, jak się czułam ostatnim razem, kiedy to zrobiła.*

Poczuła zrozumienie oraz współczucie Lewisa i Anny i usłyszała głos Roba: *Boli cię głowa.*

I to bardzo, przyznała Kaitlyn. *Robi się coraz gorzej.*

Frustracja Roba była oczywista. A ja tu sobie siedzę w najlepsze, a Joyce się ze mną cacka.

Nieważne, odpowiedziała szybko Kait. *Masz być wycieńczony, pamiętasz? Nie zrób niczego, przez co mogłaby nabrać podejrzeń.*

Aby nie myśleć o bólu, wyjrzała przez okno, mrużąc oczy w delikatnym świetle. I zobaczyła coś, co sprawiło, że serce podskoczyło jej do gardła.

Natychmiast wyczuła na dole poruszenie. *Co się dzieje?* - zapytał Lewis. *Coś nie tak? Nie, nie takiego,* powiedziała Kaitlyn. *Nie martwcie się, musimy tylko coś sprawdzić.*

Po raz pierwszy próbowała ich oszukać, ale musiała coś przemyśleć. Odsunęła się od nich w myślach, *wiedząc*, że to uszanują. *Czuła się tak, jakby odwróciła się do wszystkich plecami.*

Ale tylko w ten sposób miała szansę na odrobinę prywatności.

Zawahała się, spoglądając na czarną limuzynę zaparkowaną przy wąskiej gruntowej drodze i stojące obok dwie postacie. Jedna z nich była wysoka, białowłosa i miała na sobie długi płaszcz. Druga sylwetka była sprężysta, ciemnowłosa i ubrana w czerwony sweter.

Pan Zetes i Gabriel rozmawiali w miejscu, w którym nikt nie mógł ich usłyszeć.

Rozdział 14

Kaitlyn szybko zbiegła na dół i wymknęła się tylnym wyjściem.

Cicho, upomniała siebie, idąc w dół skarpy za Instytutem. Cicho i ostrożnie. Cały czas ukrywała się w cieniu sekwoi, powoli zakradając się do swoich ofiar.

Podeszła na tyle blisko, że słyszała ich rozmowę. Uklękła za krzakiem, obserwując ich uważnie przez kłujące, zimowe liście.

Odczuła ponurą satysfakcję, gdy zdała sobie sprawę, że mury, które Gabriel wokół siebie budował, mogły mieć pewne wady. Tak skutecznie się od nich odgradził, że nie wyczuł jej obecności zaledwie parę metrów dalej. Na szczęście w pobliżu nie było psów pana Zetesa.

Kaitlyn wyętyżyła słuch i zaczęła bezwstydnie podsłuchiwać.

Nagle poczuła niepokój, który był silniejszy od bólu głowy. Miała przeczucie, że rozmawiają o połączeniu.

Wcale by jej to nie zdziwiło. Z każdym kolejnym dniem Gabriel wydawał się coraz bardziej spięty. Był zdesperowany, a zdesperowani ludzie chwytają się wszystkiego.

Ale jeśli ich zdradził i za ich plecami zwrócił się do pana Zetesa...

Przysłuchując się rozmowie, nieco się uspokoiła. To nie była tego typu rozmowa. Pan Zetes próbował Gabrielowi schlebiać i prawił mu mgliste, ale wyszukane komplementy. Jak ktoś, kto próbuje się podlizać i dostać do uniwersyteckiego bractwa, pomyślała Kaitlyn.

Przypomniała sobie przemowę pana Zetesa, którą wygłosił pierwszego dnia w Instytucie.

- Doskonale wiem, jak się czujesz - mówił. - Ograniczony, stłamszony przez społeczeństwo, wepchnięty w tę zwyczajność. Przeciętność. - Pan Zetes zatoczył ręką wokół, a Kaitlyn instynktownie skuliła się za krzakiem. - Jakbyś był uwięziony w klatce.

To okrutne, pomyślała Kaitlyn. Mówienie o klatkach komuś, kto dopiero wyszedł z więzienia dla młodocianych... To był chwyt poniżej pasa.

- Czujesz się wyobcowany. Samotny - ciągnął dalej pani Zetes, a Kait pozwoliła sobie na uśmiech. Wiedziała, że co jak co, ale w ostatnich dniach Gabriel na pewno nie był samotny.

Pan Zetes musiał wyczuć, że nieco się zagalopował, bo znowu zaczął gadkę o ograniczeniach i więzieniu. Najwyraźniej próbował Gabrielem manipulować. Ale po co? - zastanawiała się Kaitlyn. Ledwo wyczuwała Roba, Lewisa i *Annę*, ale nie miała odwagi się z nimi porozumieć. Na pewno zwróciłoby to uwagę Gabriela, a chciała dowiedzieć się, o co tu chodzi.

- Społeczeństwo kiedyś zrozumie, że spotkała cię wielka krzywda. Zrozumie, że ludzie wyjątkowi muszą mieć swobodę, wolność. Muszą iść własną drogą, nieograniczeni prawem ustanowionym dla zwykłych ludzi.

Kaitlyn nie podobał się wyraz twarzy Gabriela ani niejasne uczucia, które u niego wyczuła. Wydawał się..; zadowolony i zadufany w sobie. Jakby traktował te brednie poważnie.

To przez stres, pomyślała Kaitlyn. Ma nas tak serdecznie dosyć, że kompletnie zwariował.

- Sądzę, że powinniśmy kontynuować naszą rozmowę w moim domu - oznajmił nagle pan Zetes. - Może wpadniesz do mnie dziś wieczorem? Mamy tyle do omówienia,

Kaitlyn z przerażeniem zauważyła, że Gabriel wzruszył tylko ramionami. Jakby przyjmował zaproszenie.

- Marzę o tym, by się stąd wyrwać - stwierdził. - Iak naprawdę zrobię wszystko, by stąd uciec.

- Właściwie możemy pójść już teraz - rzekł pan Zetes. - Chciałem zajrzeć do Instytutu, ale jestem pewien, że Joyce doskonale poradzi sobie beze mnie.

Kaitlyn ogarnął nagły niepokój, a serce zaczęło jej mocniej bić. Gabriel wsiadał już do samochodu. Za chwilę odjadą i nie było czasu, by cokolwiek zrobić.

Poza jednym. Wstała, przybierając odważny, ale i obojętny wyraz twarzy i pomimo bólu głowy próbowała zachować jasny umysł.

- Zabierzcie mnie ze sobą - powiedziała. Gwałtownie odwrócili się w jej stronę. Gabriel zawahał się,

choć jedną nogą był już w samochodzie. Oboje wydawali się Oszołomieni, ale po chwili wyraz twarzy pana Zetesa zmienił się i przeszył ją groźnym, przenikliwym wzrokiem.

- Podśluchiwałam - przyznała się Kaitlyn, bo sprawa i tak była oczywista. - Zeszłam na dół, żeby... coś przemyśleć, zobaczyłam was i zaczęłam słuchać.

Oczy Gabriela pociemniały ze złości. Dla niego była to kolejna ingerencja w jego prywatność.

- Ty mała...

- Wyjątkowych ludzi obowiązują inne reguły - wypaliła bezczelnie Kaitlyn, nie ruszając się z miejsca. - Społeczeństwo nie powinno zamykać nas w klatce. - Tylko tyle zapamiętała ze Steku bzdur, które opowiadał pan Zetes.

To złagodziło jego groźny wyraz twarzy, a ponure usta wygięły się w krzywym uśmiechu.

- Więc się z tym zgadzasz - stwierdził.

- Uznaję wolność - odparła Kaitlyn. - Czasami czuję się jak ptak uderzający skrzydłami o szklaną ścianę, który na chwilę odlatuje, ale zaraz potem wraca i znowu uderza o ścianę, bo tak bardzo chcę się wydostać.

W pewnym sensie była to prawda. W Ohio tak się właśnie czuła. To chyba przekonało pana Zetesa.

- Często myślałem, że to właśnie ty będziesz drugą osobą, która to zrozumie - mruzczał pod nosem, jakby mówił sam do siebie. Po chwili znowu na nią spojrzął.

- Oczywiście, bardzo chętnie z tobą porozmawiam, moja droga - zwrócił się do niej bardzo oficjalnym, ale i kategorycznym tonem, jakby te proste słowa stanowiły część jakiejś ceremonii. - Jestem pewien, że Gabriel będzie zachwycony twoim towarzystwem.

Zapraszającym gestem wskazał na limuzynę.

Gabriel wpatrywał się w Kaitlyn ponurym wzrokiem. Nic wyglądał na przekonanego, a tym bardziej zachwyconego jej obecnością. Ale wchodząc do samochodu, wzruszył jedynie ramionami.

- Jasne.

- Nie powinniśmy najpierw pójść do Instytutu? - zapytała Kaitlyn, kiedy pan Zetes wszedł do limuzyny, a samochód ruszył, cofając się w kierunku mostu. - Mogłabym się przebrać...

- Och, w moim domu panuje raczej nieformalna atmosfera. - Pan Zetes się uśmiechnął.

Z każdą sekundą coraz bardziej oddalali się od fioletowego budynku. *Rob*, pomyślała Kaitlyn, a potem z jeszcze większą siłą. *Rob \ Rob!*

W odpowiedzi wyczuła jedynie oddaloną aktywność psychiczną. Jakby słyszała czyjś przytłumiony głos, ale nie potrafiła rozróżnić poszczególnych słów.

Gabrielu, pomóż mi, pomyślała, *celowo* odwracając od niego głowę i wyglądając przez okno limuzyny. Bała się korzystać i z telepatii w samochodzie pana Zetesa, ale nie miała innego wyjścia. Wysłała tę myśl bezpośrednio do Gabriela, przebijając się przez jego *mury*. *Musimy im powiedzieć, gdzie jedziemy. Po co? - zapytał* przerażająco obojętnym głosem. *Ponieważ jedziemy gdzieś z wariatem, któremu nie wiadomo co chodzi po głowie! Nie pamiętasz, co stało się z Marisol? \ Pomóż mi, do cholery! Nie mogę się z nimi porozumieć!* Gabriel wydawał się zupełnie niewzruszony jej paniką. *Gdyby chciał zrobić z nami to samo, co z Marisol, nie brałby nas aż do San Francisco*, powiedział z pogardą. *Poza tym już za późno. Jesteśmy za daleko.*

Miał rację. Kaitlyn wpatrywała się w okno, próbując nie okazywać napięcia.

Nikt cię tu nie zapraszał, sama się wprosiłaś, szepnął Gabriel i wyczuła w jego słowach prawdziwy chłód. Był na nią i wściekły. *Jeśli ci się nie spodoba, możesz mieć pretensje tylko do siebie.*

On mnie nienawidzi, pomyślała ponuro Kaitlyn, budując wokół własne mury. Nie szło jej to tak dobrze jak jemu, ale próbowała. W tej chwili nie chciała dzielić z nim żadnych myśli.

Wokół zaczął zapadać chłodny, zimowy zmrok. I z każdym kolejnym kilometrem Kaitlyn czuła, że coraz bardziej oddala się od Roba i Instytutu, zbliżając się nie wiadomo do czego.

Kiedy dotarli do San Francisco, było już zupełnie ciemno, a w oddali widać było migoczące światła drapaczy chmur. Miasto wydawało się Kaitlyn dziwnie groźne, może dlatego, że wyglądało pięknie, uroczym i wesoło. Jakby szykowało się do jakiegoś święta. Czuli, że pod tą piękną, uśmiechniętą fasadą musi się coś kryć.

Minęli centrum. Limuzyna skierowała się w stronę ciemnych wzgórz udekorowanych sznurem białych klejnotów. Kaitlyn była zdumiona, jak szybko zostawili za sobą wieżowce i znaleźli się w spokojnej i cichej okolicy. A potem dystans pomiędzy budynkami zaczął się zwiększać. Jechali wśród drzew i tylko gdzieś tam pojawiały się pojedyncze światła.

- Niezła chata - powiedział Gabriel, gdy zatrzymali się przed rezydencją pana Zetesa.

Kaitlyn nie podobał się jego ton. Był prześmiewczy, ale też suchy i konspiracyjny, jakby liczył na to, że pan Zetes doceni jego dowcip. Jakby mieli coś wspólnego.

Coś, czego ja nie mam, pomyślała Kaitlyn. Ale starała się przybrać podobny ton:

- Naprawdę niezła.

Gabriel spojrział na nią drwiąco, przymykając powieki.

- To wszystko na dziś - pan Zetes odezwał się do szofera, kiedy wysiedli z samochodu. - Możesz jechać do domu.

Kaitlyn z niepokojem patrzyła za odjeżdżającym samochodem. Wprawdzie szoferowi mówiła jedynie „dzień dobry”, ale on stanowił ostatnie połączenie z... cóż, z normalnymi ludźmi. Została sama w towarzystwie pana Zetesa i Gabriela, który jej nienawidził.

- Jak widzicie, mieszkam bardzo skromnie - mówił pan Zetes, idąc otoczoną kolumnami ścieżką prowadzącą do frontowych drzwi. - Nie mam służby, a szofera odsyłam do domu. Ale daję sobie radę.

Jak tylko otworzył drzwi, w ich stronę od razu rzuciły się obydwa rottweilery, Prince i Baron. Wystarczyło jedno spojrzenie pana Zetesa, a psy natychmiast się uspokoiły, ale gdy i oprowadzał swoich gości po domu, cały czas im towarzyszyły. To kolejna rzecz, która niepokoiła Kaitlyn.

Pan Zetes zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku. Miał na sobie nieskazitelnie czysty, choć raczej staroświecki garnitur. I prawdziwe złote spinki do mankietów, zauważyła Kait. Wewnątrz dom był równie olśniewający jak na zewnątrz; Wszędzie były marmur i szkło. Grube aksamitne dywany i wypolerowane lśniące drewno. Pochyłe sufity. Drogie rzeźby i wazy. Kaitlyn domyślała się, że były to dzieła sztuki, ale niektóre z nich wydawały jej się obrzydliwe.

Gabriel rozglądał się wokół z nieokreślonym wyrazem twarzy. *Kaitlyn* musiała chwilę pomyśleć, żeby go zdefiniować. To było... to samo spojrzenie, które zauważyła wtedy, gdy przeglądał czasopismo o drogich samochodach. To nie była chciwość. Chciwość była zbyt luźnym pojęciem, nie do końca uformowanym. Jego spojrzenie miało jasno określony cel, było ostre i skupione.

Zachłanne, pomyślała Kaitlyn. To było to. Jakby planował to wszystko przejąć i był absolutnie zdeterminowany, by to zrobić. Pan Zetes się uśmiechał.

Chyba też powinnam tak wyglądać, pomyślała Kaitlyn. Zmrużyła oczy i próbowała przybrać podobny wyraz twarzy. Chciała jedynie zwieść pana Zetesa, dopóki nie puści ich z powrotem do domu. Na początku myślała, że może uda jej się coś znaleźć, ale już jej przeszło. Teraz chciała jedynie przetrwać i wrócić do Instytutu.

- To mój gabinet. - Pan Zetes prowadził ich do pokoju położonego w głębi domu. - Spędzam w nim dużo czasu. Może usiądziecie?

Ściany gabinetu pokryto orzechową boazerią, a meble były ciemne. Skórzane fotele skrzypiały, gdy się na nich siadało. Na ścianach wisiały obrazy, oprawione w złote ramy, przedstawiające konie i sceny z polowania. Zasłony były w odcieniu głębokiej czerwieni, a wszystkie abażury w kolorze rdzy. Na półce nad kominkiem znajdowało się popiersie

jakiegoś starego mężczyzny, a na podłodze stała czarna rzeźba egzotycznie wyglądającej kobiety.

Kaitlyn nic się tu nie podobało.

Ale z tego co widziała, Gabrielowi owszem. Oparł się wygodnie w fotelu i rozglądał wokół z uznaniem. Pewnie faceci tak mają, pomyślała Kaitlyn. To miejsce było typowym domem mężczyzny i było takie... Znowu miała trudności ze znalezieniem odpowiedniego słowa.

Jedynie, co przyszło jej do głowy to „zamożne”.

Była w stanie zrozumieć, dlaczego Gabrielowi, przyzwyczajonemu do życia w drodze albo w celi z jednym łóżkiem i metalową toaletą, mogło się tu podobać.

Psy leżały na podłodze. Pan Zetes podszedł do barku wypełnionego butelkami, srebrnymi tacami i kryształowymi karafkami, i zaczął coś nalewać. - Macie może ochotę napić się brandy?

Boże, pomyślała Kaitlyn.

Gabriel się uśmiechnął.

- Jasne.

Gabriel! - krzyknęła Kaitlyn, ale Gabriel ją zignorował, jakby była muchą latającą po pokoju.

- Ja dziękuję. - Starła się, by w jej głosie nie było słyhać przerażenia. Pan Zetes i tak niósł tylko dwie szklanki. Propozycja najwyraźniej nie była skierowana do niej.

Usiadł za biurkiem i zaczął sączyć złocisty płyn. Gabriel rozparł się wygodnie w fotelu i zrobił to samo. Kaitlyn poczuła się jak motyl złapany w pajęczą sieć.

Pan Zetes sprawiał jeszcze bardziej arystokratyczne i imponujące wrażenie niż zazwyczaj.

Wyglądał jak hrabia. Jak ktoś ważny, ktoś kogo trzeba słuchać. Kaitlyn zdała sobie sprawę, że całe pomieszczenie było zaprojektowane w ten sposób, by wywołać podobne wrażenie. Przypominało ołtarz, który przykuwał uwagę do postaci siedzącej za dużym, rzeźbionym biurkiem. Postaci w nieskazitelnym czystym garniturze, z prawdziwymi złotymi spinkami do mankietów i życziwą siwą głową.

Chyba zaczyna mi się udzielać *atmosfera* tego miejsca, pomyślała Kaitlyn

- Cieszę się, że mamy okazję porozmawiać - powiedział pan Zetes głosem, który idealnie pasował do panującej wokół i atmosfery. Był zarówno kojący, jak i autorytarny. Jak głos człowieka, który wie najlepiej. - Od początku wiedziałem, że wy dwoje macie w sobie największy potencjał. I że szybko prześcigniecie pozostałych. Rozumiecie o wiele *więcej*, jesteście o wiele bardziej wyrafinowani.

Wyrafinowani? Kto, niby ja? - pomyślała Kaitlyn. Ale głęboko w środku poczuła się mile połączona. Na pewno była bardziej wyrafinowana niż większość dzieciaków w *Thoroughfare*, ponieważ ich *jedynym* marzeniem była kariera cheerleaderki albo gwiazdy futbolu, *podczas* gdy ona *myślała* o całym świecie. I jak się do niego dostać.

- Macie... jakby to powiedzieć, szersze horyzonty - kontynuował pan Zetes, jakby czytał w jej myślach. To wystarczyło, bym szybko otrzeźwiała i rzuciła mu zaalarmowane spojrzenie, jego przenikliwe stare oczy były uśmiechnięte i mówił dalej. - Jesteście ludźmi z wizją, tak jak ja. - Uśmiechnął się. - Tak jak ja.

Sposób, w jaki powtórzył te słowa, sprawił, że Kaitlyn poczuła niepokój.

Zaraz się wszystkiego dowiemy, pomyślała. Cokolwiek to jest. Cały czas do czegoś zmierzał i zdaje się, że właśnie dobrnęliśmy do celu.

Zapadła długa cisza. Pan Zetes *wpatrywał* się w biurko, uśmiechając się nieznacznie.

Wydawał się pogrążony w myślach. Gabriel spokojnie popijał drinka, mrużąc oczy i spoglądając w podłogę, pogrążony we własnych myślach. Kaitlyn

była zbyt zdenerwowana, by cokolwiek powiedzieć czy się pokruszyć. Czują, że serce zaczęło jej mocniej bić.

Cisza zaczynała robić się nieznośna, ale w końcu Gabriel uniósł głowę. Spojrzał panu Zetesowi prosto w oczy, lekko się uśmiechnął i zapytał:

- A jaka jest pańska wizja?

Pan Zetes zerknął na Kaitlyn, ale była to czysta formalność. Zakładał, że Gabriel mówi w imieniu ich obojga.

Kiedy znowu zabrał głos, jego ton był konspiracyjny, jakby dzielili wspólną tajemnicę. Jakby zdążyli dojść do porozumienia.

- Stypendium to oczywiście dopiero początek. Naturalnie oboje zdajecie sobie z tego sprawę. Wy dwoje macie... tak ogromny potencjał... że przy odpowiednim treningu, moglibyście sami ustalić cenę.

Gabriel posłał mu lekki uśmiech.

- A co oznacza odpowiedni trening?

- Chyba najwyższy czas, bym wam pokazał. - Odstawił pustą szklankę. - Chodźcie ze mną. Wstał i odwrócił się w kierunku pokrytej orzechową boazerią ściany. Kiedy wyciągnął rękę, by jej dotknąć, Kaitlyn rzuciła Gabrielowi zdumione spojrzenie. Ale on na nią nie patrzył, całą uwagę skupił na panu Zetesie.

Panel przesunął się. Kaitlyn ujrzała ciemny prostokąt, a potem czerwone światło, które uruchomiło się automatycznie. Na tym tle odbijała się sylwetka pana Zetesa.

Mój rysunek! - pomyślała Kaitlyn.

Chociaż nie do końca. Pan Zetes nie miał na sobie płaszcza, a czerwone światło nie było aż tak jaskrawe. Jej rysunek był raczej symbolem niż faktyczną interpretacją zdarzeń, ale od razu to rozpoznała.

- Chodźcie za mną - powiedział pan Zetes, odwracając się w ich stronę. Oczekiwał chyba, że będą zdumieni, ale Kaitlyn nie mogła się na to zdobyć. A kiedy Gabriel minął ciemny prostokąt drzwi i ruszył po schodach, zdała sobie sprawę, że nie mogła protestować. Było za późno. Pan Zetes przyglądał się jej, a za jej plecami stały psy. Nie miała wyjścia. Ruszyła za Gabrielem.

Schody były dłuższe niż te w Instytucie i prowadziły do'; korytarza, przy którym było wiele innych drzwi i korytarzy. To cały podziemny kompleks, pomyślała Kaitlyn. Pan Zetes zaprowadził ich na sam koniec.

- To jest... bardzo szczególne pomieszczenie. - Zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami. - Niewiele osób miało okazję je zobaczyć. Chcę, żebyście je zobaczyli.

Otworzył drzwi, odwrócił się w ich stronę i wskazał, by weszli do środka. Cały czas obserwował ich twarze. W zielonym fluorescencyjnym świetle z korytarza jego skóra miała niezdrowy kredowy wygląd, a oczy wydawały się lśnić.

Kaitlyn miała wrażenie, że dostaje gęsiej skórki. Nagle poczuła, że cokolwiek tam było, musiało być przerażające.

Gabriel wszedł do środka. Pan Zetes cały czas ją obserwował, a oczy lśniły mu na trupiej twarzy.

Nie miała wyjścia.

Pokój był zaskakująco biały. Kaitlyn tak właśnie wyobrażała sobie laboratoria w Instytucie. Białe ściany, biała glazura, wszystko lśniące, nieskazitelnie czyste i sterylne. Wokół było mnóstwo nieznanymi sprzętów, w tym olbrzymia klatka pokryta metalową siatką. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Gdy wreszcie mogła skupić na czymś wzrok, dostrzegła przedmiot, który stał na środku pokoju... i natychmiast zapomniała o wszystkim innym.

To było... co? Kamienna roślina? Rzeźba? Model statku kosmicznego? Nie miała pojęcia, ale nie mogła oderwać od tego wzroku. Przedmiot przykuwał uwagę, jak wyjątkowo piękny obraz, z tym że to nie było piękne. Było okropne.

I coś Kaitlyn przypominało.

Był wysoki, miał mleczny kolor i był na wpół przezroczysty. To powinno dać jej do myślenia. Ale cały czas miała wrażenie, że była to okropna parodia rośliny, chociaż wiedziała, że tak nie jest.

Przedmiot był czymś pokryty. Pasożytami, pomyślała w rozpaczy Kait. I w tym momencie zdała sobie sprawę, że były to narośla, mniejsze kryształki wyrastające z większego. Sterczały na wszystkie strony, jak ramiona gwiazdy albo olbrzymie świąteczne dekoracje. Jednak całość nie sprawiała radosnego wrażenia, wyglądała raczej obscenicznie.

- Boże słodki, co to jest? - wyszeptała Kaitlyn. Pan Zetes się uśmiechnął.

- Wyczuwasz jego moc - powiedział z aprobatą. - Świetnie. Masz całkowitą rację, może być przerażający. Ale może być też niezwykle przydatny.

Podszedł do... przedmiotu... i stanął obok, a psy chodziły za nim krok w krok. Kiedy spojrzął na kryształ, Kaitlyn dostrzegła w jego oczach podziw i zachłanność.

- To bardzo stary kryształ - szepnął. - Gdybym wam powiedział, skąd pochodzi i tak byście mi nie uwierzyli. Ale mogę wam obiecać, że was zadziwi. Może generować energię, jakiej nie jesteście w ślinie sobie wyobrazić.

- To jest właśnie ten trening, o którym pan wspominał? - zapytał Gabriel.

- To narzędzie do treningu. - Pan Zetes wpatrywał się w kryształ. - Coś, co może wzmocnić waszą moc. Trzeba to robić stopniowo, by uniknąć szkód, ale mamy dużo czasu.

- To coś może wzmocnić naszą moc? - Gabriel zapytał z pogardą i niedowierzaniem.

- Kryształki potrafią gromadzić energię psychiczną - powiedziała cicho Kaitlyn. Jej głos wydawał się odległy, nawet dla niej samej. Czuła się tak, jakby nagle znalazła się w jakimś koszmarze.

Pan Zetes przyglądał się jej wnikliwie.

- Wiesz o tym? - zapytał.

- Gdzieś... to słyszałam.

Pokiwał głową, ale nie spuszczał z niej wzroku.

- Wy dwoje macie potencjał, a kryształ posiada moc, by go rozwinąć. A ja mam... - Zawahał się, jakby zastanawiał się jakich słów użyć.

- Co pan ma? - zapytał Gabriel. Pan Zetes się uśmiechnął.

- Kontakty - odpowiedział. - Klientów, można powiedzieć; Mogę znaleźć osoby, które będą gotowe słono zapłacić za wasze usługi. Oczywiście te kwoty będą cały czas rosły, w miarę jak rozwinięcie swoje umiejętności.

Klientów, pomyślała Kaitlyn. Lista od sędzi Baidwin. Lista,! potencjalnych klientów.

- Chce nas pan wynająć? - wypaliła, zanim zdążyła się powstrzymać. - Jak, jak... - Była zbyt *zdeenerwowana*, by dokończyć zdanie.

Ale Gabriel zrobił to za nią.

- Jak płatnych morderców - zasugerował. Jego głos zmroził jej krew w żyłach, ponieważ wcale nie wydawał się oburzony. Brzmiał całkiem spokojnie, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Ależ nie - zaprzeczył pan Zetes. - Myślę, że nie byłoby zbyt dużo zabójstw. Ale jest wiele sytuacji biznesowych, i w których wasze umiejętności mogłyby być bardzo przydatne, *j Szpiegostwo korporacyjne, gospodarcze*, wpływanie na świadków w procesach. Nie, wolałbym nazywać was telepatycznym i zespołem uderzeniowym, przydatnym w bardzo różnych sytuacjach.

Zespół uderzeniowy. Projekt „Czarna Błyskawica”, przypomniała sobie Kaitlyn. Słowa nabazgrane na kartce. Miał zamiar zamienić ich w paranormalny zespół do brudnej roboty.

- Nie miałem zamiaru mówić wam o *tym wszystkim już teraz* - ciągnął dalej pan Zetes. - Ale prawda jest taka, że wy- J darzyło się coś niespodziewanego. Oczywiście pamiętacie Marisol Diaz. Cóż, mam pewien kłopot z jej rodziną. Niektórzy | zaczęli przysparzać... problemów. Zrobili się podejrzliwi. Obawiam się, że nie załatwię tego za pomocą pieniędzy. Muszę ich 3 uciszyć w inny sposób.

Nastąpiła cisza. Kaitlyn nie była w stanie wykrztusić słowa, miała wrażenie, jakby coś stało jej w gardle. Gabriel przyglądał się uważnie panu Zetesowi.

- Mówił pan, że nie będziemy zabójcami - powiedział.
Pan Zetes zrobił zbolaną minę.

- Nie chcę, żebyście ich zabili, tylko uciszli. Jeżeli potrafili e zrobić to w inny sposób, będę bardzo szczęśliwy.

Kaitlyn wreszcie zdołała pokonać blokadę, którą miała w gardle.

- To pan załatwił Marisol - wykrztusiła. - To przez pana łapadła w śpiączkę.

' - Nie miałem wyjścia - odpowiedział pan Zetes. - Zrobiła się taka niezrównowazona. Tak przy okazji, dziękuję, że zwróciłaś mi na to uwagę. Gdybyś nie powiedziała Joyce, nie mógłbym tak szybko zareagować. Marisol pracowała ze mną od kilku lat i sądziłem, że rozumie, czym się zajmujemy.

- Badanie pilotażowe - szepnęła Kaitlyn.

- Tak. Powiedziała ci o tym? Iak, to była wielka strata. Nie wiedziałem wtedy, że tylko najsilniejsze umysły, tylko ci najbardziej uzdolnieni są w stanie wytrzymać kontakt z tak olbrzymim kryształem. Wybrałem sześciu najlepszych uczniów, których udało mi się znaleźć w okolicy, ale to była katastrofa. Później zdałem sobie sprawę, że będę musiał znacznie poszerzyć zakres poszukiwań i objąć nimi cały kraj, by znaleźć tych, którzy będą w stanie przetrwać trening.

- Ale co się stało z tamtymi? - nie wytrzymała Kaitlyn. -Tymi, którzy brali udział w badaniu pilotażowym...

- Och, to była straszna strata - westchnął pan Zetes, jakby powtarzał coś, co powinna zrozumieć za pierwszym razem. -To były bardzo zdolne umysły, przynajmniej niektórzy z nich mieli prawdziwy talent. To przykre, gdy widzi się tego typu umysły zredukowane do obłądu.

Kaitlyn nie była w stanie nic powiedzieć. Czowała, że włosy na karku stają jej dęba, a w oczach miała łzy.

- Naprawdę myślałem, że Marisol to rozumie, ale w końcu okazało się, że jest inaczej. Na początku była bardzo dobrym pracownikiem. Ale zbyt dużo wiedziała i nie dała się przekupić. Była też zbyt wybuchowa, by dać się zastraszyć. Naprawdę nie miałem innego wyjścia - dodał. - Ale popełniłem błąd, używając leków zamiast kryształu. Sądziłem, że nagły atak będzie bardziej skuteczny, ale zamiast umrzeć trafiła do szpitala, a jej rodzina robi teraz problemy. To *wszystko jest* bardzo skomplikowane.

Może i wyglądał jak hrabia, ale był porządnie stuknięty, pomyślała Kaitlyn. Naprawdę zdrowo walnięty. Nawet nie zdawał sobie sprawy, co by na to powiedzieli normalni ludzie. Spojrzała na Gabriela i poczuła, że dostaje gęsiej skórki.

Rozdział 15

Gabriel nie wyglądał tak, jakby uważał, że to czyste szaleństwo. Może nieco niesmaczne, ale nie szalone. Na jego twarzy pojawiło się nawet zrozumienie, jakby usłyszał o czymś, co było nieprzyjemne, ale konieczne.

- Ale *możemy* się tym zająć - powiedział pan Zetes, podnosząc na nich wzrok i odzyskując dawny wigor. - A jak już będzie po wszystkim, będziemy mogli skupić się na tym, co jest naprawdę ważne. Oczywiście, jeżeli jesteście zainteresowani?

W jego głosie pojawiła się lekka nutka zapytania. Spojrzał na Gabriela i przeniósł wzrok na Kaitlyn, czekając na ich odpowiedź. Kaitlyn nie mogła w to uwierzyć. Jego ciemne przenikliwe oczy wydawały się tak czujne. Naprawdę nie wiedział, j co ona czuje? Jakim cudem patrzył na nią tak, jakby *oczekiwał* jej zgody?

W końcu wybuchła, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Wylała z siebie cały strach, gniew, obrzydzenie i przerażenie.

- Pan jest *szalony* - *stwierdziła*. - *Kompletnie walnięty*, rozumie pan? To jest chore. Jak pan może spokojnie mówić o tym, że ludzie tracą rozum, jakby... jakby... - Zaczęła płakać

1 mówić bez żadnego ładu i składu. - A Marisol - jęknęła. - Jak I mógł jej pan to zrobić? W
dodatku chce nas pan zamienić w... Pan jest kompletnie walnięty. Zły.

Zdaje się, że wpadłam w histerię, pomyślała. Kompletnie oszalałam. Krzyczała tak, jakby jej wrzaski miały przynieść coś dobrego. Ale nie mogła się powstrzymać.

Pan Zetes wydawał się mniej zaskoczony od niej. Może niezadowolony, ale nie zdumiony.

- Zły? - zapytał, marszcząc czoło. - Obawiam się, że to zbyt emocjonalne i niezbyt dokładne słowo. Jest wiele rzeczy, które wydają się złe, ale enszerszym ymiarzens3894]TJl/R31 12 Tff0.99941 0 0 1.2
eli nad t7.8

do pana nie przył wybuchła. -

ą

dne z nich. o nawet nie

e w tym momencie jeste

li ci

ść

. pojrzał twardo na abрила. - o takiego?
- To prwa - rzuciła aityn. - Powiedz mu.

Pan Zetes podszedł do konsoli, która znajdowała się po drugiej stronie pokoju. Nacisnął jakiś przycisk i drzwi do klatki się zamknęły.

- Już mówiłam - syknęła nerwowo Kaitlyn. - Jeżeli mnie tu zatrzymasz, oni będą o tym wiedzieć...

Pan Zetes przerwał jej w pół zdania, jakby w ogóle jej nie słyszał. Zwrócił się do Gabriela.

- Zabij ją.

Nagle Kaitlyn poczuła, jak oblewa ją lodowaty strach. Zdała sobie sprawę, jaka była głupia. Zrozumiała, w jakiej znalazła się sytuacji, i nie była w stanie oddychać. Ani myśleć.

- Nie obawiaj się, to tylko klatka Faradaya - pan Zetes wyjaśnił Gabrielowi. - Jest skonstruowana w ten sposób, by powstrzymać normalne fale elektromagnetyczne, ale nie powstrzyma twojej mocy. Jest taka sama jak to stalowe pomieszczenie, które znajduje się w Instytucie, a z tamtym łatwo sobie poradziłeś.

Gabriel się nie odzywał. Jego kamienny wyraz twarzy nic jej nie mówił i nie była w stanie określić jego uczuć. Może była po prostu otępiała.

- No dalej - powiedział pan Zetes, powoli tracąc cierpliwość. - Wierz mi, nie ma innego wyjścia. Gdyby tak było, oszczędziłbym sobie szukania kolejnego obiektu o jej umiejętnościach, ale nie mam wyboru. Połączenie musi zostać przerwane. A jedynym sposobem jest śmierć któregoś z was.

Gabriel wziął głęboki wdech.

- Połączenie musi zostać przerwane - powtórzył ponurym głosem. I w tym momencie Kaitlyn wreszcie coś poczuła. On naprawdę tak myślał.

- No to bierz się do roboty - ponaglał go pan Zetes. - Wiem, że to przykre, ale musisz to zrobić. W końcu, nie pierwszy raz kogoś zabijasz. - Zerknął na Kaitlyn. - Słyszałaś o tym? Wysysa ze swoich ofiar całą życiową energię. Niezwykła moc. - Na jego twarzy pojawił się wyraz makabrycznej satysfakcji.

Jednak po chwili znowu stracił cierpliwość.

- Gabrielu, wiesz, co możesz zyskać. Będziesz mógł mieć wszystko, czego tylko zapragniesz. Pieniądze, władzę, odpowiednią pozycję w świecie. Ale musisz ze mną współpracować. Musisz udowodnić swoją wartość.

Gabriel stał nieruchomo jak posąg. Poza tamtym jednym zdaniem, nie wypowiedział ani jednego słowa. W Kaitlyn obudził się nagle artystyczny duch i obserwując go, pomyślała, że jego twarz jest naprawdę piękna. Wyglądał jak wyrzeźbiony w białym marmurze anioł, od którego wziął swoje imię. Z wyjątkiem oczu, które nie miały w sobie nic anielskiego. Były ciemne i nieprzeniknione, a w tej chwili również bezlitosne. I zimne jak czarna dziura. Łatwo było wyobrazić sobie zabójcę o takich oczach.

Nagle dostrzegła w nich smutek. Jest mu przykro, że musi mnie zabić? Zastanawiała się Kaitlyn.

Nie czuła połączenia.

- Dalej - nalegał pan Zetes.

Gabriel zerknął na Kaitlyn, a potem przeniósł wzrok na mężczyznę o białych włosach.

- Wolałbym zabić ciebie - odezwał się swobodnym tonem. Kaitlyn nie rozumiała, o co chodzi. Pomyślała, że Gabriel

wyraża po prostu swoje preferencje, a nie odmawia.

Ale pan Zetes nie wyglądał na szczególnie rozbawionego. Schował rękę za plecy.

- Jeżeli nie jesteś ze mną, jesteś przeciwko mnie, Gabrielu - powiedział. - Jeśli nie będziesz ze mną współpracował, będę musiał potraktować cię jak wroga.

- Chyba nie będziesz miał na to czasu - odparł Gabriel, robiąc krok do przodu.

Kaitlyn chwyciła za metalową siatkę, która otaczała klatkę. Jej otępiały umysł wreszcie zrozumiał, co się stało. Miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem, ale wydawało jej się to nie na miejscu.

Nie zabijaj go, odezwała się do Gabriela. *Nie zabijaj go naprawdę, nie widzisz, że to wariat? Musimy powiadomić policję albo jakąś instytucję, nie możemy tak po prostu zabijać ludzi.* Gabriel rzucił jej krótkie spojrzenie.

- To ty jesteś stuknięta - powiedział. - Nikt nie zasługuje na to bardziej niż on. Chociaż muszę przyznać, że pańska propozycja miała pewne zalety - dodał. - Szczególnie jeśli chodzi o korzyści.

Pan Zetes spoglądał to na Kaitlyn, to na Gabriela. Zmrużył *oczy* i lekko pokiwał głową. Kaitlyn czekała na jakikolwiek objaw strachu, ale go nie dostrzegła. Pan Zetes wydawał się spokojny, a nawet zrezygnowany.

- Więc nie zmienisz zdania? - zapytał Gabriela. Gabriel zrobił kolejny krok w jego stronę. - Dobranoc - powiedział.

Pan Zetes wyjął rękę zza pleców i Kaitlyn dostrzegła w jego dłoni czarny, nowoczesny i groźnie wyglądający pistolet.

- Baron, Prince, waruj! - zaryczał. A potem dodał: - Jak *tylko* się poruszycie, psy rzucą się wam do gardła. No i jest jeszcze pistolet, a jestem bardzo dobrym strzelcem. Myślisz, że twój nóż pomoże ci pozbyć się całej naszej trójki, zanim cię zabiję?

Gabriel się roześmiał w niepokojący sposób. Chociaż stał do niej tyłem, Kaitlyn wiedziała, że posłał panu Zetesowi swój najbardziej olśniewający i niepokojący uśmiech.

- Nie potrzebuję noża - powiedział. Pan Zetes pokręcił lekceważąco głową.

- Obawiam się, że jest coś, o czym nie wiesz. Joyce nie testowała cię od czasu nawiązania tego... nieszczęsnego połączenia, prawda?

- I co z tego?

- Gdyby to zrobiła, odkryłbyś, że telepata, który znajduje się w stabilnym połączeniu, ma spore trudności z wydostaniem się poza sieć. Z tego co wiem, jest to prawie niemożliwe. Innymi słowy, młody człowieku, z wyjątkiem komunikacji w ramach waszej pięcioosobowej grupy, straciłeś swoją moc.

Kaitlyn wyczuła u Gabriela rosnące niedowierzanie. Opuścił swoje mury i całą uwagę skupił na czymś innym. Nagle poczuła coś, co przypominało cofanie się fal tuż przed tsunami, jakby zbierał w sobie siły. Przygotowała się na atak, czekając, aż uwolni swoją moc.

A raczej spróbuje. Zamiast uderzyć w pana Zetesa, fala rozbiła się wokół nich.

Więc to prawda. Nie mógł połączyć się z nikim innym. Ani żeby się porozumieć, ani żeby skrzywdzić.

- A teraz usiądź, proszę, na tamtym krześle - powiedział pan Zetes.

Kaitlyn zerknęła na krzesło, którego wcześniej nie zauważyła. Stało po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko drzwi i wyglądało przerażająco nowocześnie. Było zrobione z metalu.

Mając przed sobą lufę pistoletu, a po obu stronach psy, Gabriel cofnął się w stronę krzesła. Usiadł.

Pan Zetes podszedł do niego i wykonał kilka szybkich ruchów. Kiedy się odsunął, Kaitlyn dostrzegła, że przykuł Gabriela kajdankami.

Pan Zetes stanął za krzesłem i wyciągnął dwa urządzenia[^] przypominające skrzydła. Po chwili unieruchomił głowę Gabriela za pomocą urządzenia, które wyglądało tak, jakby doskonale nadawało się do operacji głowy.

- Kryształ potrafi nie tylko zwiększać moc - odezwał się pan Zetes. - Może też powodować straszliwy ból, a nawet doprowadzić do obłądzenia. Oczywiście, tak się właśnie stało w trakcie badania pilotażowego. - Zrobił krok do tyłu. - Wygodnie ci? - zapytał.

Kaitlyn przypomniała sobie ból, który poczuła, gdy miała przyczepiony zaledwie odłamek kryształu, wielkości jej paznokcia.

Pan Zetes podszedł do olbrzymiego przedmiotu z naroślami, który znajdował się na środku pokoju. Kaitlyn zauważyła, że podtrzymująca go metalowa konstrukcja była ruchoma. Cała struktura, choć niewątpliwie bardzo ciężka, dała się przesunąć.

Pan Zetes, bardzo ostrożnie i delikatnie, przesunął kryształ w stronę Gabriela. Przechylił go na bok, aż jedna z końcówek, jedna z jego narośli dotknęła czoła Gabriela.

Dokładnie tam, gdzie znajdowało się jego trzecie oko.

- To chwilę potrwa, więc wyjdę teraz z pokoju - powiedział pan Zetes. - Wrócę za jakąś godzinę. Myślę, że do tego czasu zmienisz zdanie.

Wyszedł, zabierając ze sobą psy.

Zostali sami, ale Kaitlyn czuła, że nie może nic zrobić.

Spojrzała zdesperowanym wzrokiem na drzwi metalowej klatki i zaczęła je z całej siły szarpać. Ale jedynie skaleczyła palce. Po jakiś dwóch minutach zdała sobie sprawę, że nie da rady otworzyć drzwi, ani pięścią, ani kopniakami, ani napierając na nie całym ciężarem swojego ciała.

Daj sobie spokój - odezwał się Gabriel. Powiedział to z takim wysiłkiem, że od razu zerknęła w jego stronę.

Był całkowicie nieruchomy, a jego twarz wydawała się biała jak papier. Ponieważ sama przestała się ruszać, poczuła jego ból.

Próbował go zatrzymać i zamknąć w sobie, by ona nie czuła cierpienia. Ale nawet to, co trochę do niej docierało, było bardzo bolesne.

Czuła, że jej głowę rozsadza ciśnienie, jak wtedy, gdy Joyce użyła swojego kryształu, ale to było o wiele gorsze. Jakby coś tam rosło i próbowało wydostać się na zewnątrz. Poczuła też niesamowity żar, jakby ktoś przyłożył jej do czoła rozgrzaną pochodnię. I ból...

Kaitlyn poczuła, że nogi się pod nią uginają, i położyła się na podłodze klatki.

Po chwili podciągnęła się i usiadła.

Och, Gabrielu...

Daj mi spokój.

- Tak mi przykro - wyszeptała jednocześnie na głos i telepatycznie. *Tak mi przykro...*

Daj mi spokój! Nie potrzebuję cię...

Ale Kaitlyn nie mogła zostawić go w spokoju. Była z nim zamknięta i dzieliła z nim narastające fale cierpienia. Czuła, jak przełamują jej bariery, jak ją pochłaniają... Tak, jak i pozostałych. Całą piątkę, która była połączona w sieci.

Kaitlyn! Usłyszała w oddali czyjś głos.

Połączenie było bardzo słabe i przerywane, ale Kaitlyn od razu rozpoznała głos Roba.

I poczuła coś więcej niż ból. Poczuła moc. Kryształ dawał Gabrielowi moc.

Rob, słyszysz mnie? Lewis, Anna, słyszycie mnie?

Kaitlyn, co się dzieje? Gdzie jesteś?

To oni, Gabrielu! Udało się! To oni! Pomimo ogromnego bólu Kaitlyn przez moment poczuła niemal histeryczną radość.

W każdej chwili możemy stracić połączenie, szepnął Gabriel. Ale Kaitlyn doskonale wyczuwała jego emocje, w tym momencie nie dzieliły ich już żadne bariery. Kryształ je zburzył. Czuła jego ulgę i radość.

Rob, jesteśmy w domu pana Zetesa. Musicie się dowiedzieć, gdzie to jest, i to szybko. Kaitlyn powiedziała im o gabinecie i panelu. *Pewnie będzie zamknięty, ale Lewis sobie poradzi. Ale musicie się pospieszyć.*

Jeżeli chcecie znaleźć nas żywych, dodał Gabriel. Kaitlyn była zdumiona, że w ogóle był w stanie mówić. Wiedziała, że wziął na siebie większość bólu, i nagle poczuła dla niego ogromny podziw.

Zachowaj to dla siebie, czarownico, odezwał się.

Zdała sobie sprawę, że w jego ustach był to komplement. Czarownica. Cóż, będzie musiała do tego przywyknąć.

Mogłeś powiedzieć panu Zetesowi, że mnie zabijesz. Mógłbyś zyskać dla siebie trochę czasu, powiedziała.

Nie negocjuję z takimi ludźmi jak on.

Pomimo bólu, który zdążył przybrać odcień szkarłatu i karminu, Kaitlyn poczuła dumę i triumf.

Widzisz? - odezwała się do Roba. *Pan Zetes mylił się co do nas wszystkich. Widzisz, jak bardzo się mylił?*

Ale Roba już nie było. Połączenie albo zostało przerwane, albo ból był już na tyle silny, że przesłaniał wszystko inne.

Oparła się o metalową klatkę, wyczuwając jej chłód.

Trzymaj się, pomyślała. *Trzymaj się. Trzymaj. On już idzie.*

Nie wiedziała, czy powiedziała to do siebie, czy do Gabriela, ale on odpowiedział. *Wierzysz w to?* To ją trochę ożywiło.

Oczywiście, powiedziała. *Jestem tego pewna. I ty też.*

To niebezpieczne. Rzykuje własne życie, jeśli tu przyjdzie, przestrzegął Gabriel.

Dobrze wiesz, że przyjdzie, odparła Kaitlyn z przekonaniem, ponieważ była tego pewna.

- Cnotliwy Rob - odparł na głos Gabriel, prychnąwszy przy tym z pogardą, ale zaraz się zamknął i zawył z bólu.

Kaitlyn nie pamiętała, co się potem działo. Czas odmierzały kolejne serie niekończącego się cierpienia, które w końcu przybrało odcień czerwieni i bieli, jak stopiona skała. Nie liczyła kolejnych uderzeń bólu, ale nie czuła niczego innego. Była sama, zdana na łaskę kolejnych fal cierpienia, które rzucały nią jak pływakiem porwanym przez silny prąd wody.

Sama, z wyjątkiem Gabriela. Był przy niej, cały czas byli połączeni. Ból rzucał nimi wokół i prawie się nie wyczuwali. Kaitlyn nie sądziła, by jej obecność miała dla niego jakiegokolwiek znaczenie, ale ona cieszyła się, że z nią był.

Upłynęło bardzo dużo czasu, zanim w końcu, w otaczającym ją chaosie, wyczuła czyjąś obecność.

Kaitlyn, Gabriel. Słyszycie nas? Kaitlyn! Gabriel!

Rob, powiedziała słabym i urywanym głosem, który wydawał się tak cichy pośród ogromnych fal, że nie myślała, że ją usłyszy.

Dzięki Bogu! Kait, jesteśmy tu. W jego domu. Wszystko będzie dobrze. Joyce jest z nami. Ona jest po naszej stronie. Nie wiedziała o tym, co on robi. Idziemy wam pomóc, Kait. Słowa Roba brzmiały niemal gorączkowo. Kait wyczuła w nim emocje, których nigdy wcześniej nie czuła. Ale nie była w stanie teraz o tym myśleć. Za bardzo cierpiała.

Straciła przytomność, aż w końcu poczuła czyjąś obecność.

Rob. Resztkami sił podciągnęła się do góry. Pokój wydawał jej się zbyt jasny, ale również dziwnie szary i ponury. Światło zmieniało się jak błyskawica. Przed nią stał Rob, który niczym złoty anioł zemsty zdołał przedrzeć się przez jej cierpienie. Byli też Lewis i Anna. Oboje płakali. *Joyce*, której potargane jasne włosy przypominały dmuchawiec. Biegli w stronę kryształu, ale ich ruchy wydawały się przerywane, jakby widziała ich pod stroboskopem.

Po chwili przestała odczuwać ból, jakby ktoś nagle wyłączył światło.

Oczywiście został po nim ślad i *normalnie Kaitlyn nie* byłaby w stanie go wytrzymać. Ale to było nic w porównaniu z tym,

co czuła przed chwilą, i nagle było jej cudownie. Znowu mogła myśleć, oddychać, widzieć.

I zobaczyła, jak Joyce odsuwa od Gabriela terminal z kryształem. Gabriel miał rozciętą skórę, a z rany ciekła krew. Pomimo metalowej opaski musiał jakoś poruszyć głową. Krew lała się strumieniami po jego twarzy i wyglądał tak, jakby płakał.

A tego by nie zniósł, pomyślała Kaitlyn. Ale Gabriel o tym nie wiedział. Zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu nie - miała z nim kontaktu, przestał nawet krzyżeć. Był nieprzytomny. Nagle drzwi od klatki Faradaya otworzyły się i po chwili był już przy niej Rob, który wziął ją ramiona.

Mc ci nie fest? Boże, Kait, myślałem, że cię stracę.

Znowu to poczuła. Zupełnie nowe uczucie, niemal bolesne, ale zupełnie inne.

Kaitlyn spojrzała mu prosto w oczy.

Nie wiedziałem, powiedział. Nie zdawałem sobie sprawy, ile mogę stracić.

Poczuła się tak, jakby nagle przeniosła się z powrotem do tamtego popołudnia, gdy patrzył na nią ze zdumieniem, na progu odkrycia, które miało zmienić ich życie. Z tym że teraz nie był już na progu. W jego złotych oczach dostrzegła zrozumienie, które biło tak jasnym blaskiem, że z trudem mogła na niego patrzeć.

To byłoby tak, jakbym utracił samego siebie, swoją własną duszę, mówił Rob, ale tak, jakby nie mówił do niej, a dopiero zdał sobie z tego sprawę. *A teraz znowu cię odnalazłem. Moją drugą połowę.*

Kaitlyn poczuła to samo, co przedtem, a świat wokół nich zamarł w cichym oczekiwaniu. Ale tym razem oprócz ciszy były też radość i pewność. Nie byli już na progu. Właśnie go przekroczyli. Wszystko zostało już powiedziane, bez słów, a nawet myśli. Jakby ich dusze połączyły się w uścisku, nie tylko w sieci i nie tylko z powodu uzdrawiającej mocy Roba, chociaż oba te elementy były w tym obecne.

To było coś więcej. To była jedność, całość, o której Kaitlyn nigdy nawet nie śniła.

Jestem z tobą. Należę do ciebie.

Jestem częścią ciebie. Zawsze będę.

Nawet nie wiedziała, które z nich to powiedziało. Oboje czuli to samo.

Po to się urodziłem.

Trzymali się za ręce. Kaitlyn czuła przepływającą między nimi moc i energię, która przypominała miliony migoczących światełek, czystą, orzeźwiającą wodę, muzykę i gwiazdy. Ale czuła też, że tak jak on uzdrowił ją, tak ona uzdrowiła jego. Oddała mu to, co stracił w wypadku, tę część, której mu brakowało.

Wszystko było takie proste i naturalne. Jakby oboje wiedzieli, co trzeba zrobić, jakby zawsze to wiedzieli. Uniosła głowę, a on się nachylił. Ich usta się zetknęły.

Po chwili wymienili najbardziej delikatny i niewinny pocałunek, jaki można sobie wyobrazić.

Kait nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że całowanie chłopaka może być tak przyjemne.

Nawet Roba. Owszem, przeczuwała, że jego pocałunek może być cudowny, ale w tym nie było nic fizycznego. Czuła się tak, jakby utonęła w jego oczach, jakby bez końca spadała w dół w blasku słońca i złota.

Urodziłem się dla siebie. Dla tego.

Uniosła ich słoneczna, złota fala.

Nagle, jak przez mgłę, Kaitlyn zdała sobie sprawę, że słyszy jakiś dźwięk. Ludzki głos.

- Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale Rob, na miłość boską, mamy tu coś do zrobienia!
v:ifj||

To była Joyce. W porównaniu z cudownymi odgłosami, które Kaitlyn słyszała przed chwilą, jej głos nie brzmiał zbyt melodyjnie. Joyce spoglądała na nich ze zniecierpliwieniem, a na twarzy Anny nadal widoczne były łzy. Od ich przyjscia upłynęła zaledwie minuta lub dwie. To niemożliwe. W głębi serca Kaitlyn czuła, że minęło co najmniej parę godzin. Ale to był czas prawdziwy, czas duszy a nie ten, który upływał na tej ponurej planecie. Oboje z Robem unosili się w powietrzu ładnych parę godzin, ale tutaj zajęło to zaledwie minutę.

Rob puścił jej rękę. Było to krótkie, ale trudne rozstanie. Kaitlyn zacisnęła dłoń i poczuła pustkę.

- Przepraszam. Chyba mogę pomóc Gabrielowi - odezwał się Rob. Wstał, zrobił krok do przodu i odwrócił się do Kait. Uklęknął przy niej. *Zapomniałem powiedzieć, że cię kocham.* Kaitlyn roześmiała się zdumiona. Jakby trzeba było o tym mówić.

- Idź i pomóż Gabrielowi - wyszeptała.

- Nie, oboje jesteście mi potrzebni - powiedziała Joyce. -I to szybko. Transfer energii nic tu nie da, Rob. Musimy go natychmiast sprowadzić z miejsca, w którym się znajduje. Chcę, żebyście wszyscy czworo dotknęli kryształu.

Jej słowa wreszcie wyrwały Kaitlyn ze snu i sprowadziły na ziemię.

- Co takiego? - zapytała, wstając na równe nogi. Zauważyła, że fizycznie czuła się dobrze. Była silna. To dzięki uzdrawiającej mocy, która jednak przepłynęła między nią a Robem.

- Chcę, żebyście wszyscy dotknęli kryształu - powtórzyła cierpliwie Joyce. - Gabriel też...

- Nie!

- Kaitlyn, to jedyny sposób.

- Ale sama widziałas, co się stało!

- Tym razem to potrwa bardzo krótko, ale *wszyscy* musicie dotknąć kryształu. Wszyscy, którzy są połączeni. A teraz pospieszcie się, na miłość boską. Nie rozumiecie, że pan Zetes może w każdej chwili wrócić?

Kaitlyn chwiejnym krokiem wyszła z klatki. Nie mogła pozwolić, by Gabriel znowu dotknął kryształu. To było niemożliwe, zbyt okrutne. Ten kryształ był zły. Wiedziała o tym...

Ale Joyce mówiła, że to jedyny sposób.

Kaitlyn spojrzała na Joyce, która wpatrywała się w nią jasnymi akwamarynowymi oczami. Jej wzrok był udręczony, ale wydawał się szczery.

- Nie chcesz go uratować, Kaitlyn? Kaitlyn nagle poczuła w dłoni skurcz.

Czuła, że musi coś narysować, ale nie było na to czasu. Poza tym nie miała niczego, czym mogłaby rysować. W sterylnym laboratorium nie było ani jednego długopisu czy ołówek.

- Proszę, zaufajcie mi. Chodź, Lewisie. Przygotujcie się, by dotknąć kryształu. Kiedy powiem: „teraz”, złapcie jakąś końcówkę.

Lewis wziął głęboki wdech i pokiwał głową. Trzymał rękę w gotowości.

- Anno? Dobrze. Dziękuję. Rob? Rob spojrzał na Kaitlyn.

Gdyby tylko mogła coś narysować... Ale nie mogła. Spojrzała na Roba i wykonała bezradny gest.

- Lepiej to zrobmy - wyszeptała. Joyce zamknęła oczy i westchnęła z ulgą.

- Dobrze. Słuchajcie, ja stanę za Gabrielem. Jak powiem: „teraz”, przysunę do niego kryształ, a każde z was złapie którąś z końcówek, jasne?

Kaitlyn czuła, że wszyscy się zgodzili. Wyciągnęła rękę i ruszyła w kierunku kryształu, ale jej umysł pracował na pełnych obrotach.

Nie mogę rysować... przynajmniej nie rękami. Ale moja moc nie znajduje się w dłoniach. Jest w mojej głowie, w moim umyśle. Gdybym tylko mogła narysować to w głowie...

Rozdział 16

Jak tylko o tym pomyślała, coś zaczęło się dziać. Wyobraziła sobie swoje ulubione pastelowe kredki, w różnych odcieniach.

Najpierw wezmę trochę cytrynowego z odrobiną bladej ochry. Potem trochę cielistego i dwie niewielkie plamki jasnoniebieskiego i werońskiej zieleni.

W porządku! Co to jest? Odsuń się! Odsuń się i popatrz.

Kaitlyn zrobiła w głowie krok do tyłu, a kreski i kropki ułożyły się w całość. Joyce. To niewątpliwie była Joyce.

Potem szary. Szare kreski i łuki. Jakiś kształt, szklanka. I kolor cielisty, który ją trzyma. Joyce trzymała szklankę.

- Wszyscy gotowi? - zapytała Joyce.

Kaitlyn stała w miejscu, nie otwierając oczu. Skoncentrowała się na następnym kawałku układanki. Głęboki oliwkowy odcień oraz dużo palonej umbry i głębokiej czerwieni w miejscu włosów. Brąz i czerwień połączyły się, tworząc mahoń. Marisol. Obraz przedstawiał Joyce i Marisol. Joyce podawała Marisol szklankę...

- Trzymam już jego głowę - powiedziała Joyce. - A teraz...

Mentalny i zwykły krzyk Kaitlyn przerwał jej w pół słowa.

Nie róbcie tego! Nie róbcie! Ona jest po stronie Zetesa!

Przez ułamek sekundy pomyślała, że może jednak się pomyliła. Joyce mogła nieświadomie dać coś Marisol, chociaż rysunek na to nie wskazywał. Może nie przedstawiał prawdziwego zdarzenia, ale choć raz jego znaczenie było dla Kaitlyn oczywiste. Symbolizował zło i niebezpieczeństwo. Jak rysunek starej wiedźmy podającej Królowie Śnieżce zatrute jabłko, który Kaitlyn widziała, gdy była dzieckiem.

Kiedy otworzyła oczy, wiedziała, że się nie pomyliła. Joyce przycisnęła głowę Gabriela do kryształu, a na jej twarzy pojawiło się coś, czego Kaitlyn nigdy wcześniej nie widziała. Wraz zwierzęcej furii.

Ona cały czas o wszystkim wiedziała, pomyślała Kaitlyn i zrobiło jej się niedobrze. Widziała, że wszyscy byli wstrząśnięci, zwłaszcza Rob. Ale w ostatniej chwili usłyszeli jej krzyk i nikt nie dotknął kryształu.

Z wyjątkiem Gabriela, który z powodu ogromnego bólu, powoli odzyskiwał przytomność.

Kaitlyn rzuciła się do przodu, by odsunąć od niego Joyce, i w tym samym momencie ruszył Rob. Ale zanim zdążyli do niego dobiec, otworzyły się drzwi i wokół zapanował chaos.

To był pan Zetes z psami. Nagle Kaitlyn poczuła, że coś w nią uderzyło z siłą rozpędzonej ciężarówki. Upadła na ziemię, a jeden z psów zaczął ją szarpać. Pan Zetes wyciągnął pistolet. Joyce cały czas trzymała głowę Gabriela przy kryształach.

- Przerwę połączenie! Przerwę połączenie! - krzyczała.

Rob zaczął walczyć z drugim psem. Anna próbowała odciągnąć od niego zwierzę, ale jej krzyki ginęły w ogólnym hałasie.

- Jest łatwiejszy sposób! Tylko jedno z nich musi umrzeć! - ryknął pan Zetes, celując w Lewisa.

I tak to się skończy, pomyślała Kaitlyn. Czuła się dziwnie zobojętniała. Nikt nie mógł pomóc Lewisowi. Nikt nie mógł powstrzymać pana Zetesa od strzału.

Czuła, jak starszy mężczyzna zaciska palec na spuście. W tym momencie całe pomieszczenie przypominało skończony obraz, a każdy szczegół wyrwał się jej w pamięci, jak błysk lampy w aparacie. Rob i Anna walczyli z rottweilerem, Lewis stał w miejscu, sparaliżowany strachem, co wyglądało niemal komicznie, a Joyce pochylała się nad Gabrielem. Jego policzki zalane były krwią i właśnie otwierał oczy...

W tym samym momencie poczuła, że Gabriel zaczął się budzić. Cały czas bardzo cierpiał, ale był wściekły. Ktoś robił mu krzywdę. Ktoś groził jego towarzyszom.

Gabriel przystąpił do ataku.

Pan Zetes mówił, że telepata, który znajduje się w stabilnym połączeniu, nie może sięgnąć poza sieć, ale Gabriel był podłączony do źródła o niewyobrażalnej mocy. Jego umysł zapłonął jak supernowa, uderzając w cztery różne strony. Z bezwzględną precyzją i niesamowitą siłą posłał w kierunku Zetesa, Joyce i psów ognisty płomień.

Kaitlyn poczuła tylko cień siły, którą uwolnił, ale już to ścięło ją z nóg.

Pan Zetes upadł na ziemię, nie oddając ani jednego strzału, a Joyce uderzyła o ścianę. Pies, który szarpał Kaitlyn, nagle *dostał* drgawek, jakby poraził go prąd, i całkowicie znieruchomiał.

Po chwili Gabriel przestał. Odsunął się od kryształu i osunął na ziemię. W pomieszczeniu zapadła cisza, wszyscy stali w miejscu.

Wynośmy się stąd! - krzyknął Rob.

Kaitlyn nie wiedziała, jak udało im się wydostać z budynku. I Rob przejął nad wszystkim kontrolę. Całą drogę niośł Gabriela, a Kaitlyn, Anna i Lewis pomagali sobie nawzajem. Przez dłuższy czas potykali się o siebie i ciągnęli do przodu, aż w końcu znaleźli się na trawniku. Trawa była chłodna od *rosy*. To było cudowne i Kaitlyn z radością się na niej położyła. Czuła się tak, jakby właśnie wydostała się z pożaru.

W końcu odezwał się Lewis.

- Czy oni nie żyją? - zapytał *szeptem*.

Psy chyba nie żyją, powiedziała Anna. Kaitlyn przyznała jej rację, nie wspominając o tym, że widziała jak z oczu, nosa i *uszu* psa, który na niej leżał, trysnęła krew.

Ale pan Zetes i Joyce, sama nie wiem, dokończyła Anna. *Oni chyba żyją*.

- A więc Joyce wcale nie chciała uratować Gabriela - szepnął Lewis.

- Chciała przerwać połączenie - odezwała się Kaitlyn zachrypniętym głosem. - Nawet gdyby miało nas to zabić. Gabriel nie jest im do niczego potrzebny, gdy jest podłączony do sieci... Nie pytajcie dlaczego. Wyjaśnię wam później.

- Więc Joyce okazała się zła. - Lewis pokiwał głową. To proste, niewinne stwierdzenie zrobiło na Kait ogromne wrażenie. Czuła, że coś się w niej poruszyło.

Joyce była zła. Przez cały ten czas była przeciwko nim i była gotowa ich wykorzystać.

Marisol się jednak myliła. Joyce o *wszystkim* wiedziała. Wiedziała o wielkim kryształce i nie miała żadnych oporów, by go użyć. Na pewno wiedziała też o sekretnym pokoju.

- Boże - wyszeptała Kaitlyn. - Jak mogłam być taka głupia? To był pewnie jej pokój. Tam były same kopie, pamiętasz Rob? Duplikaty. Pan Zetes pewnie trzymał swoje papiery tutaj, a ona w Instytucie.

- Kaitlyn - wyszeptał Rob, a w jego głosie wyczuła zarówno cierpienie, jak i czułość. Nie mógł jej dotknąć, gdyż cały czas trzymał Gabriela. - Nie rób tego. Nie warto.

Kaitlyn spojrzała na niego ze zdumieniem i zdała sobie sprawę, że po policzkach spływają jej łzy. Dotknęła swojej wilgotnej twarzy i poczuła ucisk w klatce piersiowej.

A potem zaczęła szlochać. Nie płakała tak, odkąd skończyła osiem lat.

Poczuła, jak Anna ją objęła.

Zostawcie ją, powiedział Rob. *Zasługuje na to, żeby się wyplakać. Tak jak my wszyscy.*

Płacz szybko ustał i Kaitlyn od razu poczuła się lepiej. Gabriel zaczął się budzić.

- Tym razem - odezwał się Rob - nie masz wyboru. Jesteś ledwo żywy, a nie możemy tu dłużej zostać. Musisz przyjąć ode mnie pomoc. - A potem dodał cicho, by jego słowa miały większe znaczenie: *Przed chwilą uratowałeś mi życie. Jest tylko jeden sposób, żebyśmy mogli się odwdziżyć.*

Gabriel zamrugnął. Wyglądał okropnie. Ból wykrzywił jego przystojną twarz zalaną krwią. Ale zdobył się jeszcze na odrobinę arogancji.

- Tylko dlatego, że nie mogę cię powstrzymać - wyszeptał.

Kaitlyn przestała pociągać nosem i się uśmiechnęła.

Nie warto tak mówić, gdy nie masz wokół siebie żadnych murów, powiedziała. *Tak mi się bardziej podobaś. Mury to nic dobrego.*

Gabriel ją zignorował. W tym momencie i tak nie mógł niczego zrobić.

Rob delikatnie go dotknął i Kaitlyn poczuła, że Gabriel odzyskuje siłę, która płynęła z punktów uzdrawiających Roba i z całej sieci. Położyła rękę na dłoni Roba, dodając własną] energię, którą Rob skierował na Gabriela. Lewis i Anna podeszli bliżej i dodali swoją moc.

Cała czwórka, ściśle ze sobą połączona, oddawała Gabrielowi życie i energię.

Kaitlyn poczuła jego głód i strach, który nagle zamienił się w zdumienie. Nigdy wcześniej nie czuł takiego przepływu energii, pomyślała. Wiedziała, co czuje, i przeżywała to razem z nim - migoczące światła, czysta woda, orzeźwienie. Przebudzenie ze snu i powrót do prawdziwego

życia. Wyczuła też zdumienie i radość Anny i Lewisa. *A nie wierzyłem, gdy mówili mi o kundalini*, odezwał się Lewis. *Chryste, chyba się myliłem.*

O czym? - zapytała Anna, uśmiechając się w myślach. *Kundalini to stare chińskie pojęcie zdrowotne. Nawiązuje do chi. Przypomnij mi kiedyś, to ci o tym opowiem.*

Na pewno, powiedziała Anna, nie przestając się uśmiechać.

Kiedy wszyscy mieli już dość sił, gotowi byli *ujeżdżać* tygrysy i rzucać się na słońce, Rob podniósł wysoko rękę.

- Wystarczy - dodał - Powinniśmy się ruszyć. Myślę, że Anna ma rację, pan Zetes i Joyce żyją. Musimy się stąd wynieść.

- Ale dokąd? - zapytała Kait. Odkryła, że może się już podnieść, a nawet poruszać.

Gabriel też był już na nogach.

- Przede wszystkim wynieśmy się z San Francisco - odparł, wycierając twarz mokrą od rosy koszulką. Gdy wstał, od razu się od nich odsunął.

Tego można się było spodziewać, pomyślała Kaitlyn. Nie powinnam być rozczarowana. On potrzebuje przestrzeni.

- Oczywiście, że musimy uciekać z San Francisco. Ale co potem? Gdzie mamy jechać? Do domu?

Jak tylko to powiedziała, zrozumiała, że to niemożliwe. Jeżeli pan Zetes i Joyce przeżyli, zaczną jej szukać. Kaitlyn dużo

O nich wiedziała i stanowiła takie samo zagrożenie jak Marisol. Na pewno będą chcieli... ją uciszyć.

I chociaż uwielbiała swojego ojca, zbyt dobrze go знаła. Był kochającym, ale niepraktycznym i rozkojarzonym człowiekiem. Najszczęśliwszy był wtedy, gdy znajdował się w swoim świecie, podśpiewując pod nosem i wykonując drobne naprawy. W jaki sposób miałby ją ochronić? Nie rozumiałby nawet jej historii, a co dopiero zaproponował jakąkolwiek pomoc. Poza tym, gdyby wróciła do domu, naraziłaby go na niebezpieczeństwo. Joyce i Zetes z łatwością by ją tam znaleźli. A potem by ją zabili, i wszystkich tych, którzy wysłuchali jej historii.

Kaitlyn nie miała najmniejszych wątpliwości, że pan Zetes miał *swoje* sposoby na zabijanie ludzi. Miał kontakty. Miał klientów. Coś by wymyślił.

Spoglądając na pozostałych, zrozumiała, że musieli dojść do podobnych wniosków. Czuła ich rosnące zdumienie.

- Ale w takim razie... dokąd mamy iść? - wyszeptał Lewis zachrypniętym głosem.

- Musimy ich jakoś powstrzymać - odezwał się Rob. - Nie tylko Zetesa i Joyce, ale wszystkich, którzy biorą w tym udział. Muszą być jeszcze inne osoby, jak ta sędzia. Musimy znaleźć sposób, by ich powstrzymać.

Kaitlyn czuła, że brakuje jej tchu. Spojrzała na Roba. Owszem, kochała go, ale tak naprawdę... tak naprawdę myślała tylko o tym, jak uchronić siebie i swoich przyjaciół. "To i tak było wystarczająco trudne.

- Jeśli ich nie powstrzymamy - zaczął Rob, odwracając się patrząc jej prosto w oczy - to znowu to zrobią. Znajdą inną grupę dzieciaków i będą znowu próbować.

Rob liczył na nią. Ufał jej. I oczywiście miał rację.

- To prawda - przyznała cicho Kaitlyn. - Nie możemy do tego dopuścić.

- Zgadzam się - odezwała się spokojnie Anna. Nastąpiła chwila ciszy, a potem Lewis powiedział:

- O rany... Dobra, możecie na mnie liczyć. Wszyscy spojrzeli na Gabriela.

- Ja nawet nie mam domu - rzucił szyderczo. - Wiem tylko, że na pewno nie wrócę do celi.

- To chodź z nami - zaproponował Rob.

- Nawet nie wiecie, dokąd chcecie iść.

- Ja chyba wiem - powiedziała Kaitlyn. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

- Wpadłam na pewien pomysł - oznajmiła. - Nawet nie wiem, skąd przyszedł mi do głowy... Ale, pamiętacie tamten sen, ten w którym byliśmy wszyscy razem? Pokiwali głowami.

- A może... Może to miejsce ze snu jest prawdziwe? Kiedy o tym myślę, mam wrażenie, że tak właśnie jest. Wy też macie takie uczucie?

Wszyscy patrzyli na nią sceptycznie, z wyjątkiem Anny, która wydawała się pogrążona w myślach.

- Wiesz - zaczęła - miałam podobne wrażenie, gdy byłam w tym śnie. Ta plaża wydawała się prawdziwa. Była podobna do tych, które są tam, gdzie mieszkam, na północy. Wydawała się... niemal znajoma. I ten biały dom...

- Czekaj - powiedziała Kaitlyn. - Dom. Biały dom. - Jej mózg pracował na pełnych obrotach. Gdzieś już widziała ten dom. Dzisiaj po południu, gdy Joyce testowała ją z kawałkiem kryształu, ale czy tylko?

Nigdy nie narysowała tamtego obrazu, od razu zniknął. Ale teraz poczuła, że może jej się udać.

Nie myśl, *rysuj*. Rysuj w głowie. *Uwolnij umysł*.

Nie wiedziała, czy to przez kryształ, czy to z powodu desperacji, ale nagle jej umysł zaczął lekko i płynnie rysować. Nie musiała nawet myśleć o tym, jakich kolorów użyć. Same się przed nią pojawiały. Po chwili rysunek był gotowy.

Przedstawiał biały dom. A wokół drzwi rosły *czerwone róże*. Dom wydawał się samotny, ale w nieokreślony sposób piękny. W oknie zauważyła twarz o karmelowej skórze, skośnych oczach i lekko kręconych brązowych włosach.

Mężczyzna, który ją zaatakował, ale czy faktycznie ją zaatakował?

Chwycił ją za rękę i próbował z nią porozmawiać, gdy czekała na Joyce. Rzucił się na nią w ogrodzie za Instytutem, a ona go uderzyła. Mówił, że jest lekkomyślna i w ogóle nie myśli. Teraz zaczęła myśleć. Kimkolwiek był, znajdował się w tym domu ze snu. I pokazał jej rysunek różanego ogrodu, w którym była fontanna z kryształem.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że to kryształ. Ale gdy ujrzała ogromny, potworny kryształ pana Zetesa, zaczęła sobie coś przypominać.

Kryształ w ogrodzie różanym nie wyglądał... złowrogo. Był czysty i jasny, i nie miał tych obrzydliwych narośli. Wyglądał... czysto.

Ale co to wszystko miało znaczyć? Kaitlyn nie miała pojęcia, ale wzięła głęboki wdech i próbowała wyjaśnić to przyjacielom.

Kiedy skończyła, zapadła cisza.

- Więc mamy podążać za snem - powiedział szyderczo Gabriel, wydymając usta.

Jego słowa przypadły Kait do gustu.

- Dokładnie. - Uśmiechnęła się do niego. - I zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

- Cokolwiek się stanie, będziemy razem - dodał Rob.

Kaitlyn spojrzała na niego. Było jej zimno, była wykończona. Wiedziała, że to dopiero początek. Nie mieli nawet pojęcia, w którą stronę jechać i jak.

Ale to nie miało znaczenia. Wszyscy przeżyli i byli razem. I kiedy spojrzała w złote oczy Roba, wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Koniec cz.1